

Polska Zbrojna

NR 3 (851) MARZEC 2017

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4523

NIEZBĘDNIK
PORADY
PRAWNE

MISJE DLA SUPERMENÓW

Żołnierze tylko jednej
polskiej jednostki
mogą wykonywać
takie operacje



➔
**PLK ROBERT
KOPACKI**

opowiada
o specyfice służby
w GROM-ie

TRENAŻERY

**SZKOLENIE
NA SYMULATORACH
TO JUŻ NIE FANTASTYKA,
LECZ CODZIENNOŚĆ
W POLSKIM WOJSKU**

KONIEC Z MILCZENIEM

Przywraca dobre
imię rodzicom,
którzy zostali
zamordowani
przez UB

SYMULACJA POLA WALKI





WYSTAWA
NARODOWA KOREI
POŁUDNIOWEJ

HONOROWY PATRONAT
PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ
POLSKIEJ
ANDRZEJA DUDY

25 YEARS
LAT
MSPO

XXV MIĘDZYNARODOWY SALON PRZEMYSŁU OBRONNEGO

5-8.09.2017, KIELCE



Partner strategiczny:
PGZ
POLSKA GRUPA ZBRÓJENIOWA

WWW.MSPO.PL

Targi Kielce
exhibition & congress centre

TARGI DAJĄ WIĘCEJ

Sprawdź na:

■ www.targidajawiecej.pl

■ facebook.com/targidajawiecej

Z SZEREGU WYSTĄP



IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

” 1 MARCA OBCHODZIMY NARODOWY DZIEŃ PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

Na symulatorach i trenażerach ćwiczą nie tylko studenci wyższych uczelni wojskowych i młodzi żołnierze, lecz także doświadczeni oficerowie. To rozwiązanie, ze wszech miar korzystne, pozwala na bardzo intensywne szkolenie i jednocześnie przynosi znaczące oszczędności. W niniejszym numerze prezentujemy trenażery różnych rodzajów sił zbrojnych. Z tych urządzeń mogą korzystać strzelcy, pancerniacy, piloci, marynarze, a nawet medycy.

Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych to czas zadumy, ale też dobry moment na popularyzację wiedzy o bohaterach, których przez kilkadziesiąt lat starano się wymazać z naszej historii i świadomości społecznej. Dlatego też przez niemal cały marzec, aby uczcić pamięć o nich, będziemy biegać, brać udział w grach miejskich i historycznych, słuchać wykładów, uczestniczyć w koncertach. Najważniejsze jednak, żeby nie umknęły nam wartości, którym hołowali Wyklęci. Miesięcznik „Polska Zbrojna” od dawna walczy o przywrócenie pamięci o Niezłomnych. Przedstawia sylwetki tych niezwykłych ludzi i przypomina ich odważne akcje. Dzięki rozmowom z tymi bohaterami nie tylko poznajemy ich historie, lecz także uczymy się, jak dziś wychowywać młodzież.

W marcowym numerze polecamy szczególnie tekst o Magdalenie Zarzyckiej, córce Stefanii i Władysława, żołnierzy WiN-u, która zdecydowała się przerwać milczenie, żeby przywrócić godność swoim rodzicom i innym żołnierzom podziemia niepodległościowego. Po wojnie byli katowani i mordowani przez UB, a niektórzy z wyrokiem śmierci musieli opuścić ojczyznę i na Zachodzie – zapomniani przez rodaków – układali sobie życie. Niestety wielu z nich odeszło już na wieczną wartę.





Zdjęcie na okładce:
Michał Zieliński,
MD/dział graficzny

NR 3 (851) MARZEC 2017

TEMAT NUMERU

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK,
PAULINA GLIŃSKA

10 / Wirtualne pole walki

Jak dobrze przygotować żołnierza do zadań, a jednocześnie oszczędzić czas i pieniądze?

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

16 / Szkolenie z przyszłością

Ppłk Krzysztof Kuba o tym, jak nowoczesna technologia zmienia armię.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

19 / Torpeda w zacinzu

Trenażer systemu lekkiej torpedy ZOP MU-90.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

22 / Laser na poligonie

Tajniki szkolenia z użyciem laserowego symulatora strzelań.

ARMIA

EWA KORSAK

26 / Na niespokojne czasy GROM

Płk Robert Kopacki o służbie w elitarniej jednostce wojsk specjalnych.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

32 / Szturm z zaskoczenia

Specjaliści z Lublińca o wadach i zaletach użycia śmigłowców w operacjach bojowych.

EWA KORSAK

36 / Misje dla supermenów

Combat search and rescue, czyli ewakuowanie rozbitków.

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

40 / Zawsze blisko

Jacy kandydaci na terytorialsów trafiają do lubelskiej wojskowej komisji uzupełnień?

MICHAŁ ZIELIŃSKI

44 / Test przed Orzyszem

Ostatni sprawdzian Amerykanów przed służbą w korytarzu suwalskim.

ARKADIUSZ DWULATEK

48 / Migawki z Afganistanu

Baza w Gamberi okiem fotoreportera Combat Camery.

MARCIN GÓRKA

52 / Na linii ognia

Międzynarodowe ćwiczenia „Bison Drawsko '17”.

ANNA DĄBROWSKA

56 / Zmechanizowani z Budowa

W cyklu „Wojsko od kulis” prezentujemy 2 Brygadę Zmechanizowaną Legionów im. Marszałka Józefa Piłsudskiego.

MICHAŁ NIWICZ

62 / Ostry dyżur

Co robi chirurg, kiedy nie jest na wojnie, czyli fotoreporter „Polski Zbrojnej” na ostrym dyżurze.

ANNA DĄBROWSKA

66 / Inwestycja w naukę

Co dalej z programami „Kościeszko” i „Katedry ad hoc”?

Znajdziesz nas tutaj:



ARSENAŁ

KRZYSZTOF WILEWSKI

72 / Wystrzałowe pociski

JASSM – nowe uzbrojenie do F-16.

TADEUSZ WRÓBEL

77 / Krok ku samodzielności

Istanbul – pierwsza turecka fregata rodzimej konstrukcji.

STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI

86 / Geopolityczna zadyszka

Nowe oblicze Izraela po kilku latach względnego spokoju.

TADEUSZ WRÓBEL

92 / Nieustanne zmiany

Izraelskie Siły Obronne pracują nad planem modernizacji armii.

WITOLD REPETOWICZ

94 / Wrota kleski

Al-Bab – symbol syryjskiej wojny i tureckiej kompromitacji.

ROBERT SENDEK

97 / Rosji świeczkę i NATO ogarek

Serbowie nie mogą się zdecydować, czy bliżej im do Wschodu, czy do Zachodu.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

102 / Zrozumieć Rosję

Wywiad z Barbarą Włodarczyk o rosyjskich paradoksach i niepodzielnej władzy Putina.

HISTORIA

PIOTR KORCZYŃSKI

108 / Lance, szable w dłoń!

Bitwa pod Borujkiem – ostatnia szarża kawalerii.

TOMASZ GOS

113 / Pogoń za wolnością

Brawurowa ucieczka ppor. Franciszka Jareckiego samolotem MiG-15bis.

JAKUB NAWROCKI

117 / Wykłęty życiorys

Przypominamy postać Tadeusza Narkiewicza „Ciemnego”.

TADEUSZ WRÓBEL

120 / Afrykańscy kawalerzyści

Spahisi – elita francuskiej lekkiej kawalerii.

HORYZONTY

JACEK SZUSTAKOWSKI

128 / Wojsko piłkę kopie

Po 22 latach do gry powróciła reprezentacja WP w piłkę nożną.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

133 / Koniec z milczeniem

Magdalena Zarzycka, dziecko wykłębionych urodzone w więzieniu w lubelskim zamku.

MAGDALENA MIERNICKA

141 / Mówili na nas słoneczniki

Barwne życie kawalerzysty i wojenne trudy wspomina porucznik Henryk Prajs, weteran 3 Pułku Szwoleżerów Mazowieckich.

KADR





**MISTRZOSTWA 21 BRYGADY STRZELCÓW
PODHALAŃSKICH**, które odbyły się na krytej pływalni
przy Miejskim Ośrodku Sportu i Rekreacji w Jarosławiu,
rozegrano na dystansach 50 i 100 m oraz w sztafetach
drużynowych. Zwycięzcy indywidualni wywalczyli
przepustkę do Gorzowa Wlkp. na mistrzostwa
Dowództwa Generalnego organizowane przez
11 Lubuską Dywizję Kawalerii Pancernej.

FOT. TOMASZ JANICKI/21 BSP

Specjaliści dla obrony terytorialnej

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Dawni (komandos) będą szkolić terytorialsów.

Koncepcja powołania mobilnego zespołu szkoleniowego (MZS) wojsk obrony terytorialnej opiera się m.in. na metodzie treningowej stosowanej przez siły specjalne w szkoleniu nowych formacji. Teraz z podobnych rozwiązań skorzysta WOT. „MZS WOT stworzą byli żołnierze wojsk specjalnych. Będą mogli dzielić się swoją unikatową wiedzą, kompetencjami i doświadczeniem zawodowym”, mówi gen. bryg. Wiesław Kućka, dowódca WOT-u. Zespół ma podlegać Dowództwu Wojsk Obrony Terytorialnej. Jego podstawowym za-

daniem będzie szkolenie instruktorów i kadry dowódczej WOT-u oraz żołnierzy w wybranych specjalnościach wojskowych.

Do zespołu dołączą byli operatorzy o różnych specjalnościach. Będą to m.in. ratownicy pola walki, łącznościowcy, snajperzy, a także żołnierze naprowadzający lotnictwo na cele naziemne, czyli JTAC-y, oraz wojskowi z pododdziałów zabezpieczenia desantowania. Dowództwo WOT planuje, że specjaliści z zespołu zostaną podzieleni na trzy grupy instruktorskie: południe, centrum i północ. Grupa

południe będzie się specjalizować w szkoleniu z zielonej taktyki, czyli w prowadzeniu działań w rejonach słabo zurbanizowanych i w górach. Grupa centrum zajmie się szkoleniem z taktyki czarnej, czyli z prowadzenia walki w terenach miejskich. Grupa północ z kolei będzie ukierunkowana na szkolenie z ratownictwa i ochrony infrastruktury krytycznej. Byli operatorzy lub funkcjonariusze zostaną zatrudnieni w zespołach jako pracownicy cywilni i będą mogli jednocześnie pełnić terytorialną służbę wojskową. PZ, MKS ■

Wiropląty coraz bliżej

MON rozpoczyna negocjacje w sprawie dostaw śmigłowców.

Inspektorat Uzbrojenia MON zaprosił trzy firmy, które wcześniej złożyły oferty wstępne, do negocjacji handlowych w sprawie dostaw dla armii 16 śmigłowców. Są to: amerykański koncern Lockheed Martin, do którego należą zakłady lotnicze w Mielcu, włoski holding Leonardo, który jest właścicielem PZL Świdnik oraz europejska grupa Airbus Helicopters. MON spodziewa się niezwłocznego przedłożenia przez nich ofert wstępnych i szybkiego prowadzenia niezbędnych negocjacji z komisją przetargową.

Dla komandosów polskie wojsko chce kupić osiem maszyn przeznaczonych do misji poszukiwawczo-ratowniczych w warunkach bojowych, a dla marynarki wojennej osiem śmigłowców przystosowanych do zwalczania okrętów podwodnych i wykonywania misji ratowniczych. Pierwszeństwo mają te dla wojsk specjalnych, ponieważ rezerwy maszyn wykorzystywanych obecnie do dyżurów na morzu skończą się z upływem 2019 roku. Negocjacje w sprawie śmigłowców morskich będą prowadzone po analizie proponowanych przez oferentów har-

monogramów możliwych dostaw. Ministerstwo dopuszcza możliwość pozyskania maszyn w dwóch transzach po cztery sztuki.

„Jednocześnie resort obrony przewidział zobowiązanie dostawcy do utworzenia centrum serwisowego w Wojskowych Zakładach Lotniczych nr 1 w Łodzi wraz z uwzględnieniem zdolności do remontowania zespołów głównych oraz pozyskaniem przez krajowy przemysł możliwości modernizacji śmigłowców”, napisano w komunikacie MON. Jak informuje resort obrony, postępowanie w sprawie śmigłowców jest prowadzone w trybie przewidzianym dla zamówień o podstawowym znaczeniu dla bezpieczeństwa państwa. PZ, KW ■

Wstęp do dyskusji o marynarce

Powstała „Strategiczna koncepcja bezpieczeństwa morskiego RP”.

Fregaty wielozadaniowe powinny stać się głównymi okrętami sił morskich, a marynarka wojenna powinna się koncentrować na zabezpieczeniu polskich interesów także poza Bałtykiem – to główne założenia „Strategicznej koncepcji bezpieczeństwa morskiego RP”, zaprezentowanej przez Biuro Bezpieczeństwa Narodowego. Opracowali ją specjaliści z BBN-u, wojskowych uczelni, w tym Akademii Marynarki Wojennej, oraz Rady Budowy Okrętów, która zrzesza m.in. emerytowanych oficerów MW.

Zdaniem autorów dokumentu, przede wszystkim należy zmienić sposób myślenia o polskiej marynarce. „Nie możemy skupiać się wyłącznie na przygotowaniach do odparcia ewentualnej agresji. Powinniśmy działać tak, by do niej nie dopuścić, i to nie tylko na Bałtyku”, uważa kmdr por. rez. Maciej Janiak, przewodniczący

RBO. Z koncepcji wynika, że siły morskie warto oprzeć na dużych wielozadaniowych okrętach. Kluczowe znaczenie, według autorów, mają fregaty zdolne do zwalczania zagrożeń z powietrza, wody i spod jej powierzchni. Potrzebne są też okręty podwodne, niekoniecznie jednak wyposażone w pociski manewrujące. Jak przekonują autorzy dokumentu,



Bałtyk to morze wymagające i małym okrętom trudniej tutaj manewrować. Duże jednostki mogą się też okazać pomocne w razie ewentualnego konfliktu z Rosją. Według strategii, rekonstrukcja polskiej marynarki powinna się oprzeć na krajowym przemyśle, warto też m.in. wzmocnić morskie oddziały Straży

Granicznej oraz odzyskać pełnię praw żeglugowych w Cieśninie Piławskiej. Strategia, jak podkreślają autorzy, stanowi wstęp do dyskusji o marynarce. PZ, ŁZ



Zmiany w dowództwie

Gen. dyw. Jarosław Mika został nowym dowódcą generalnym.

Panie generale, ma pan długie doświadczenie dowódcze, współpracował pan z naszymi sojusznikami na misjach, a także w Polsce, dlatego jestem przekonany, że tę funkcję będzie pełnił człowiek doświadczony”, mówił prezydent Andrzej Duda, kiedy wręczał gen. dyw. Jarosławowi Mice akt mianowania na stanowisko dowódcy generalnego rodzajów sił zbrojnych. Zwierzchnik sił zbrojnych wręczył także akt odwołania ze stanowiska dotychczasowemu dowódcy generalnemu gen. broni Mirosławowi Różańskiemu i podziękował mu za służbę. Gen. Różański stał na czele DGRSZ od połowy 2015 roku, był autorem reformy dowodzenia, która została wprowadzona 1 stycznia 2014 roku. „Ostatnie 15 lat to zmiany sprzętu, procedur, szkolenia, ale też zmiana mentalności naszych żołnierzy. Armia może być powodem do dumy dla społeczeństwa”, mówił żegnający się z wojskiem gen. Różański.

Gen. Jarosław Mika przez trzy lata stał na czele 11 DKPanc. Wcześniej pełnił służbę w 12 Dywizji Zmechanizowanej w Szczecinie na stanowisku zastępcy dowódcy – szefa sztabu. Był także dowódcą Brygady Wsparcia Dowodzenia Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego i 20 Brygady Zmechanizowanej. Dwukrotnie służył poza granicami kraju – w 2007 roku w Iraku jako asystent dowódcy dywizji, a w 2011 roku w Afganistanie jako zastępca dowódcy regionu wschodniego ds. koalicyjnych. PZ, EK, MKS, MM

„Życie to czas, w którym szukamy Boga.
Śmierć to czas, w którym Go znajdujemy.
Wieczność to czas, w którym Go posiadamy”.

św. Franciszek Salezy

Pani Ani Putkiewicz,
redaktor naczelnej portalu polska-zbrojna.pl,
wyraży głębokiego współczucia i wsparcia
w trudnych chwilach po śmierci
Mamy
składają kierownictwo i pracownicy
Wojskowego Instytutu Wydawniczego.

TEMAT NUMERU

/ TRENAŻERY

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
PAULINA GLIŃSKA

WIRTUALNE POLE WALKI

Katapultowanie, walka z dezorientacją przestrzenną, prowadzenie KTO Rosomak czy strzelanie z leoparda – tego m.in. uczą się żołnierze ćwiczący na symulatorach, którymi dysponuje nasza armia. Taki trening to już nie fantastyka, lecz codzienność.



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Szkolenie z użyciem symulatorów to oszczędność czasu, pieniędzy i sprzętu. Taki trening niejednokrotnie bywa też bardziej efektywny niż ćwiczenie w realnych warunkach. Polscy żołnierze korzystają z różnego rodzaju urządzeń treningowych od wielu lat. Rewolucja rozpoczęła się w polskiej armii w latach dziewięćdziesiątych poprzedniego stulecia. To wtedy powstały symulatory bojowych wozów piechoty czy czołgów T-72. Urządzenia te szybko jednak okazały się niewystarczające. Brak nowoczesnej technologii był odczuwalny zwłaszcza po uzawodowieniu armii i postawieniu przed nią nowych wymagań, m.in. służby na misjach. Ze względu na brak odpowiedniego sprzętu początkowo, podczas przygotowania jednostek do pierwszych zmian w Iraku i Afganistanie, naszych żołnierzy szkoliły mobilne zespoły treningowe armii amerykańskiej, wyposażone w systemy VBS (Virtual Battlespace). Amerykanie wypożyczali nam także laserowe symulatory strzelań i zapraszali do ośrodka szkolenia w niemieckim Hohenfels. Dzisiaj z nowoczesnych symulatorów i trenażerów korzystają w Polsce żołnierze wszystkich rodzajów sił zbrojnych.

AKROBACJE NA SUCHO

Pierwszy na świecie symulator lotu zbudował Edwin Albert Link. W 1929 roku zaprezentował „link trainer” (znany także jako „blue box”), czyli konstrukcję, w której organowe pompy i miechy zaprzęgnięto do symulowania przechyłów kabiny samolotu. Wyposażony w urządzenia sterownicze i przyrządy kontroli lotu „link trainer” umożliwiał symulowanie pilotażu, pochYLENIE maszyny, kierunki lotu i turbulencje. „Było to pierwsze szkoleniowe urządzenie symulacji lotu pozwalające szerzej spojrzeć na problematykę metodyki przygotowania pilotów do wykonywania coraz bardziej złożonych zadań

w powietrzu”, mówi mjr pil. Mariusz Garbacz, szef Zespołu Symulatorów i Urządzeń Treningowych w Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie.

Szkoła Orląt, która jest jedyną uczelnią wojskową w Polsce kształcąca przyszłych pilotów samolotów i śmigłowców, już na pierwszym etapie edukacji oswaja studentów z symulatorami. Dęblińska placówka dysponuje obecnie 14 urządzeniami tego typu. Są wśród nich m.in. trenażery i symulatory samolotowe, śmigłowcowe, a także spadochronowe, dezorientacji przestrzennej i katapultowania. „W obecnym systemie kształcenia podchorążowie naszej uczelni odbywają szkolenie symulatorowe w wymiarze 90 godzin podczas całych studiów. Na pierwszym roku mają pięć godzin, na drugim 25 oraz 30 na konkretnym typie statku powietrznego, a na czwartym i piątym roku po 15 godzin na maszynie danego typu”, wylicza mjr Garbacz.

Na symulatorach piloci mogą się uczyć nie tylko prawidłowego wykonywania czynności w kabinie, lecz także samego lotu i działania w sytuacjach awaryjnych. W efekcie te urządzenia służą zarówno do nauki podstaw pilotażu, jak i do doskonalenia umiejętności. Wykładowcy z WSOSP efekty treningu porównują do tych, które osiąga się realnie, w powietrzu na pokładzie statku powietrznego. W czasie wirtualnych lotów instruktorzy są w pełni skupieni na czynnościach i decyzjach podejmowanych przez kursanta. Nie muszą też na bieżąco korygować jego błędów, bo później do omówienia zadania wykorzystują rejestrację treningu na wideo.

Na symulatorze pilot może też ćwiczyć jedynie wybrane elementy pilotażu. Gdyby trening na prawdziwym śmigłowcu odbywał się w wyznaczonej strefie, to za każdym razem pilot musiałby wykonać start, lot do strefy, powrót na lotnisko i lądowanie. Z godzinnego lotu efektywny czas pracy wyniósłby 20 minut. „Możliwość powtórzenia danego elementu lub całego lotu, ale



NOWOCZESNE SYMULATORY ODWZOROWUJĄ DOWOLNY TEREN I ZMIANY WARUNKÓW ATMOSFERYCZNYCH

też trudnych elementów pilotażu oraz sytuacji awaryjnych bez ryzyka wypadku, jest jedną z najważniejszych zalet symulatora. Umożliwia on przeprowadzenie praktycznie nieograniczonej liczby powtórzeń sekwencji czynności operatorskich podczas sesji szkoleniowej”, dodaje szef Zespołu Symulatorów i Urządzeń Treningowych w Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych.

BEZSTRESOWE SZKOLENIE

Instruktorzy z Dębłina oraz piloci zawodowi zwracają uwagę na jeszcze jeden aspekt wirtualnego treningu. Dzięki symulatorom lotnicy mogą ćwiczyć procedury w sytuacjach awaryjnych, więc często doprowadzają do maksymalnych przeciążeń lub krytycznych warunków. Nie oznacza, to jednak, że podchorążowie czy zawodowi piloci lekceważą powagę sytuacji. „Czasami studenci próbują eksperymentować, ale to nie ma związku z lekceważeniem niebezpieczeństwa. Żeby zmierzyć się z trudnym zadaniem, czasami trzeba rozważyć wszelkie możliwe rozwiązania, również te o wysokim stopniu ryzyka i wybrać wariant działania, który zapewni powodzenie misji. Doskonale się do tego nadaje symulator, bo eliminuje konsekwencje złej oceny sytuacji”, mówi mjr Garbacz.

Jest w tym wszystkim jednak pewna pułapka – wirtualne latanie jest całkowicie bezpieczne i obniża poziom stresu, który piloci mogliby odczuć w analogicznej sytuacji w powietrzu. Taka jest opinia por. pil. Jacka Chorzewskiego z 33 Bazy Lotnictwa Transportowego w Powidzu, doświadczonego pilota, który za sterami samolotu C-130 Hercules spędził ponad 350 godzin. Oficer jest absolwentem WSOSP, ale szkolenie symulatorowe na tej maszynie przeszedł w USA. „Nigdy nie da się wyeliminować pewności, że nic się nie stanie, bo to tylko symulator. W czasie takiego szkolenia nigdy też nie osiągniemy takich emocji, jak w czasie prawdziwego lotu. Jest jednak wyjście z tej pułapki: po prostu trzeba bardzo poważnie podchodzić do szkolenia”, podkreśla Chorzewski.

„Trening na symulatorze nie zastąpi rzeczywistych warunków szkolenia lotniczego, ale umiejętne połączenie teorii i praktyki na takim urządzeniu pozwala wyćwiczyć wiele pożądanych zachowań psychomotorycznych. A to w połączeniu ze szkoleniem w powietrzu umożliwia osią-

gnięcie zamierzonych celów w szkoleniu lotniczym w znacznie krótszym czasie. Ponadto wirtualne treningi budują świadomość sytuacyjną”, dodaje mjr Garbacz.

O tym, że odpowiednia równowaga w szkoleniu jest kluczem do sukcesu, jest przekonany także płk pil. Piotr Iwaszko, dowódca 23 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim: „Symulatory czasami są jedynym sposobem na naukę niektórych procedur podczas operacji lotniczych. Chodzi tu np. o procedury awaryjne, czyli szczególne przypadki w locie, oraz instrument flight rules (IFR) przy minimalnych warunkach atmosferycznych. Gdy już faktycznie się zdarzą, mogą się wiązać z wystawieniem szkolonej załogi na niebezpieczeństwo”.

Oficer zwraca uwagę na zmiany, które zaszły w szkoleniu pilotów w mińskiej bazie od czasu, gdy do jednostki trafił symulator lotu MiG-29. Maszyna stanowi dokładne odwzorowanie wnętrza zmodernizowanego myśliwca w wersji M. Szkolenie podstawowe przechodzi na nim teraz 11 podporuczników z 23 Bazy. Wcześniej ukończyli szkolenie naziemne. „Obecnie są w trakcie 20-godzinnego szkolenia symulatorowego. Widzę, jak szybko nabierają prawidłowych nawyków, wiedzą, co mają robić. Liczę na to, że gdy już wejdą do prawdziwego samolotu, będą bardzo dobrze przygotowani. Kiedyś taki trening był możliwy na ziemi tylko w kabinie prawdziwego samolotu lub dwa razy w roku na symulatorze na Słowacji. Teraz to jest przełom w szkoleniu także dla instruktorów”, mówi płk Iwaszko.

Oczywiście trenażer jest nie tylko dla lotniczych debiutantów. „Z takiego szkolenia korzystamy regularnie, m.in. w Czechach lub na Litwie, bo tam są symulatory Mi-17”, opowiada pilot tego śmigłowca z 7 Eskadry Działań Specjalnych z Powidza. „Sytuacje awaryjne, takie jak pożar czy wyłączenie dwóch silników, ćwiczymy w wirtualnych warunkach w składzie załogi: piloci, technicy pokładowi i strzelcy, którzy są dla nas jak dodatkowa para oczu. Symulator jest niezbędny także po to, by ćwiczyć współdziałanie w załodze wieloosobowej”, przyznaje.

Z wirtualnego treningu korzystają także mińscy, doświadczeni piloci. „Niezwykle istotne jest to, że w ten sposób możemy wykonywać loty przy minimalnych warunkach atmosferycznych. Każdy, nawet najbardziej doświad-





MEDYCZNY TRENING

W WIM-ie powstało Centrum Symulacji Medycznej, w którym znalazły się dwa supernowoczesne, sterowane komputerowo symulatory medyczne. To przypominające człowieka fantomy, odwzorowujące reakcje ludzkiego organizmu, m.in. puls, oddech, rytm serca, krwawienie, a nawet łzawienie. Dzięki programom komputero-

wym można wywołać u nich obrażenia i zaburzenia funkcjonowania organizmu, których może doznać żołnierz na polu walki lub cywil podczas wypadku. Chodzi np. o obrażenia ośrodkowego układu nerwowego, krwotoki, rany, złamania.

W stołecznym szpitalu jest planowane także uruchomienie urządzenia, która ma pomóc cierpiącym na PTSD. Dla laika ten sprzęt wygląda jak zaawansowana gra komputerowa. Chory wkłada słuchawki, gogle, specjalne rękawice i kilkunastokilogramową wojskową kamizelkę kuloodporną. W czasie seansu czujniki urządzeń me-

dycznych rejestrują parametry pracy najważniejszych narządów człowieka. Specjalny program komputerowy sprawia, że kiedy weteran się porusza, odwraca głowę, to obserwuje zmieniający się krajobraz, a do jego uszu dochodzą typowe odgłosy, na przykład z afgańskiej rzeczywistości, oraz dźwięki walki. Dzięki takiej terapii pacjent bierze udział w wydarzeniach wywołujących w nim paraliżujący lęk. Ta zaawansowana gra komputerowa prowadzona pod kontrolą terapeuty to doskonała metoda leczenia fobii, zarówno u żołnierzy, jak i cywilów. ■

SYMULATOR C-295M

Na terenie 8 Bazy Lotnictwa Transportowego wkrótce pojawi się symulator lotów C-295M. Do tej pory piloci tych transportowców musieli wyjeżdżać na treningi do Sewilli. Podstawą urządzenia jest kabina, będąca repliką kokpitu samolotu, wyposażona w systemy imitacji ruchu i przeciążeń, informatyczne oraz wizualizacji, a także stanowisko instruktora. Symulator pozwoli przećwiczyć różne scenariusze powietrznych misji – od kołowania i startu, aż po lądowanie. Jednorazowo trening będzie mogło prowadzić dwóch pilotów i technik pokładowy. Urządzenie umożliwi także przećwiczenie jednej z najtrudniejszych sytuacji, czyli awarii i wyłączenia jednego z silników.

czony pilot, aby przedłużyć aktualność wykonywania tego rodzaju lotów, powinien raz na dwa miesiące wykonać lot w takich warunkach lub zasiąść za sterami samolotu szkolno-bojowego. Teraz do aktualizacji uprawnień nie jest konieczne użycie samolotu”, tłumaczy dowódca mińskiej bazy.

Bezdiskusyjne jest także to, że symulatory, choć nie są tanie, w dłuższej perspektywie przynoszą wymierne oszczędności finansowe – od kilkudziesięciu do kilkuset procent w zależności od typu statku powietrznego. Znacznie zmniejsza się też liczbę godzin spędzonych w powietrzu, co wpływa korzystnie na koszty eksploatacyjne samolotu czy te związane z użytkowaniem przestrzeni powietrznej. Płk Iwaszko zauważa, że po wprowadzeniu szkolenia na nowym symulatorze znacząco zmniejszyło się użycie sprzętu bojowego mińskiej bazy: „Dzięki temu spadło wykorzystanie resursów. W wypadku szkolenia

podstawowego i doskonalącego to jakieś pół tysiąca mniej godzin w skali roku”.

NIE TYLKO SKRZYDŁA

Symulatory i trenażery to także obowiązkowe wyposażenie Akademii Marynarki Wojennej i Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu. Gdyńska uczelnia dysponuje około 20 tego rodzaju urządzeniami. Kadra i studenci mogą np. ćwiczyć strzelanie z zestawu artyleryjsko-rakietowego Wróbel II, karabinu maszynowego czy wyrzutni rakiet przeciwlotnych Grom. Akademia ma też symulatory, które pozwalają walczyć z okrętami przeciwnika za pomocą rakiet RBS-15 Mk III.

W technologię inwestuje także uczelnia wrocławska. W Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych z symulatorów i trenażerów korzystają podchorążowie oraz oficerowie. Uczelnia ma urządzenia, które pozwalają na trening

taktyczny, szkolenia strzeleckie, a także takie, które mają nauczyć np. kierowania rosomakiem. „Symulatory to niezbędne narzędzie, dzięki któremu możemy przygotować żołnierzy do działania na polu walki. Najlepiej jeśli trening jest prowadzony na różnych poziomach. Na początek powinno się ćwiczyć na тренаżerach, później na symulatorach komputerowych, a na końcu takich w wersji life. Taki układ pozwala ocenić efekty szkoleniowe”, mówi płk Czesław Dąbrowski, kierownik Zakładu Symulacji Taktycznych WSOWL. Oficer zaznacza jednak, że żaden symulator nie zastąpi szkolenia w polu. „Wirtualny trening ma być wstępem do realnych ćwiczeń”, dodaje.

Wrocławską uczelnią jest jedyną w Polsce placówką, która dysponuje systemami symulacyjnymi na trzech różnych poziomach. Składają się na nie: system konstruktywnej symulacji taktycznej PACAST (Polish Academy Command and Staff Trainer) do szkolenia dowódców związków taktycznych i jednostek albo mniejszych pododdziałów, VBS – do kształcenia umiejętności żołnierzy w drużynach, plutonach i kompaniach, oraz laserowy system strzelań do szkolenia umiejętności ogniowych żołnierzy w warunkach rzeczywistego pola walki.

Uczelnia z Wrocławia kupiła w 2013 roku system PACAST, który pozwala na prowadzenie treningów z taktyki i szkolenie zespołów reagowania kryzysowego, np. w czasie powodzi. Z oprogramowania korzystają oficerowie – od podporucznika do kapitana. Wrocławską WSOWL ma 22 stanowiska komputerowe dla ćwiczących. „System nie wymaga dodatkowego oprzyrządowania w postaci manipulatorów, joysticków i тренаżerów”, wyjaśnia mjr Piotr Szczepański, rzecznik prasowy WSOWL. Oficerowie mogą wirtualnie kierować natarciem, obroną, działaniami opóźniającymi, a także walką w terenie zurbanizowanym lub górskim. System pozwala też na przeszkolenie żołnierzy z forsowania rzek oraz uczy, jak zaplanować trasy przemarszu. Żołnierze muszą brać pod uwagę także warunki pogodowe podczas wykonywania zadania. „Wpływają one np. na mobilność wojska oraz widoczność w terenie. Źle oszacowana trasa czy niewłaściwe użycie wozów bojowych zostaną od razu przez system zweryfikowane jako błąd”, dodaje mjr Piotr Szczepański.

Nowością jest symulator typu life, czyli taktyczny laserowy system broni strzeleckiej – LSS, w którym do celów strzela się wiązkami lasera (wcześniej uczelnia dostała symulator strzelań Śnieżnik). Urządzenie składa się nie tylko z nadajników montowanych na broń, lecz także z odbiorników w postaci wkładanych przez żołnierzy kamizelek i opasek na hełmy. System ma też stację kontrolną, która w trakcie szkolenia nadzoruje na bieżąco jego przebieg. Operator stacji widzi, co robi każdy żołnierz. Może również kierować szkoleniem, wprowadzając obszary zamino-

wane, ogień artylerii, strefy skażone. „Rezultaty szkolenia z użyciem tego symulatora od razu są widoczne. Jeśli ktoś został ranny, to usłyszymy komunikat, np. o trafieniu w prawą rękę”, tłumaczy płk Dąbrowski. Uczelnia wkrótce będzie miała również symulator taktyczny KTO Rosomak dla plutonu zmotoryzowanego. „Trening z użyciem symulatorów zwiększa czujność żołnierzy, rozbudza ich wyobraźnię, wpływa na większe zaangażowanie w zajęcia. Możemy przeciwstawić różnego rodzaju trudne sytuacje, np. urwanie koła w rosomaku, pożar w przedziale bojowym transportera czy uszkodzenie wieży”, mówi kierownik Zakładu Symulacji Taktycznych WSOWL.

Urządzeniami treningowymi dla żołnierzy wojsk lądowych dysponuje jednak więcej ośrodków. Jaskry służą wojskowym od listopada 2015 roku, m.in. w 12 Brygadzie Zmechanizowanej, poznańskim Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych i WSOWL we Wrocławiu. Jaskier składa się z kabiny kierowcy KTO, w której znajdują się wszystkie urządzenia i systemy występujące w pojeździe. Żołnierz obserwuje sytuację na zewnątrz pojazdu na trzech dużych wyświetlaczach, a dzięki hydropneumatycznym siłownikom poruszającym kabiną może poczuć się jak podczas prawdziwej jazdy w trudnym terenie.

Polskie wojsko systematycznie powiększa też swoją bazę szkoleniową o cyfrowe systemy szkolno-treningowe Śnieżnik. To wirtualna strzelnica, w której cele są wyświetlane na długim na kilkanaście metrów ekranie. Do dyspozycji jest praktycznie każdy typ broni, który występuje w naszej armii. Dziś ze śnieżników korzystają m.in. żołnierze poznańskiego Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych, Akademii Marynarki Wojennej, Wojskowej Akademii Technicznej i Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych, a także Komendy Portu Wojennego w Świnoujściu, 7 Brygady Obrony Wybrzeża w Łęborku, Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia w Toruniu, 15 Brygady Zmechanizowanej w Giżycku.

Wojsko korzysta też z systemów JTLS i JCATS. Pozwalają one żołnierzom na trenowanie kilkudziesięciu tysięcy sytuacji występujących na poziomie taktycznym i operacyjnym. Oficerowie mają możliwość pokierowania walką, a także zarządzania w czasie sytuacji kryzysowej. JTLS jest dostępny w rembertowskim Centrum Symulacji i Komputerowych Gier Wojennych, a JCATS – w 9 Brygadzie Wsparcia Dowodzenia w Białobrzegach.

To jednak nie wszystko. Niemal od dekady w 10 Brygadzie Kawalerii Pancernej w Świątoszowie działa Ośrodek Szkolenia „Leopard”. Został utworzony, gdy armia dostała z Niemiec pierwsze czołgi Leopard 2A4. Na symulatorach uczy się tam co roku około tysiąca czołgistów, żołnierzy pododdziałów zabezpieczenia oraz słuchaczy uczelni wojskowych. ■

SZKOLENIE Z PRZYSZŁOŚCIĄ

Z Krzysztofem Kubą

**o zmianie metod szkolenia, strzelaniu wiązką laserową
i symulatorze konia rozmawia Łukasz Zalesiński.**

Zanim przejdziemy do współczesności, trochę historii. Kiedy w polskiej armii pojawiły się pierwsze symulatory?

A miał pan okazję oglądać symulator konia? Kiedyś był używany w polskiej kawalerii. Dzięki niemu ułani mogli nauczyć się, jak prosto siedzieć w siodle, a jednocześnie używać szabli czy lancy. Na to pytanie naprawdę trudno odpowiedzieć, bo armia praktycznie od zawsze używała w celach szkoleniowych ekwiwalentów uzbrojenia. Drewniane miecze, szable, przekrój czołgu T-34, który dziś można oglądać w poznańskim Muzeum Broni Pancernej... To wszystko są wyanalizki tej kategorii. Choć pewnie należałoby je nazwać nie tyle symulatorami, ile тренаżerami. Żaden z nich nie odtwarzał przecież hipotetycznej sytuacji z pola walki.

Rewolucja przyszła wraz z armią zawodową...

Właściwie rozpoczęła się już w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Tworzyliśmy symulatory przygotowujące do obsługi bojowych wozów piechoty lub czołgów T-72. Potem obudowywaliśmy je cyfrowymi urządzeniami. Dziś, ze względu na poziom zaawansowania technologicznego, nie są postrzegane

jako atrakcyjne. Trzeba jednak pamiętać, że były przygotowywane przede wszystkim z myślą o żołnierzach zasadniczej służby zawodowej. Kiedy nastała armia zawodowa, zaczęło nam brakować nowoczesnych technologii. Odczuliśmy to szczególnie podczas przygotowań żołnierzy do misji w Iraku i Afganistanie. Korzystaliśmy wówczas z mobilnych zespołów armii USA, które były wyposażone w systemy VBS [Virtual Battlespace Systems – wirtualne pole bitwy]. Od Amerykanów wypożyczaliśmy laserowe symulatory strzelania i wysyłaliśmy wojskowych do specjalistycznego ośrodka w Hohenfels. Wówczas też stało się jasne, że pozyskanie nowoczesnych symulatorów, utworzenie centrów szkolenia to kluczowa sprawa dla naszej armii.

Udało się to osiągnąć?

Wbrew pozorom mamy rozbudowaną bazę symulatorów...

A dlaczego wbrew pozorom?

Funkcjonuje pewien stereotyp, że w tej dziedzinie jesteśmy armią zapóźnioną. To oczywiście fałsz. Mamy co prawda pewne braki, ale często wynikają one z celowego działania. Zależy nam na tym, by system był budowany zgodnie z przyjętym wcześniej planem, aby był spójny i oparty na najnowocześniejszych dostępnych rozwiązaniach. Podzieliliśmy go na cztery segmen-

MIROSLAW CYRYL WÓJTOWICZ

*Symulatory to
przyszłość.
Dzięki nim ar-
mia zmienia się
nie tylko pod
względem tech-
nicznym, lecz
także mentalnym*

ty szkolenia: pierwszy – szkolenie żołnierza specjalisty, drugi – na poziomie załogi, plutonu i kompanii, trzeci – batalionu i wreszcie czwarty – sztabów i dowództw od brygady wzwyż. W tej chwili duże nasycenie sprzętem mamy w segmentach pierwszym i ostatnim. Sztabowcy i dowódcy większych związków taktycznych mogą się szkolić za pomocą choćby systemów JTLS [Joint Theater Level Simulation – system symulacyjny działań połączonych] i JCATS [Joint Conflict and Tactical Simulation – system symulacji pola walki]. Pozwalają one na przećwiczenie kilkudziesięciu tysięcy sytuacji występujących na polu walki na poziomie taktycznym i operacyjnym. Oficerowie mają możliwość pokierowania walką czy zarządzania w czasie sytuacji kryzysowej. JTLS jest dostępny w rembertowskim Centrum Symulacji i Komputerowych Gier Wojennych, a JCATS w 9 Brygadzie Wsparcia Dowodzenia w Białobrzegach. Luki, o których wspominałem, dotyczą dwóch środkowych segmentów. Oczywiście nie jest jednak tak, że nie mamy możliwości szkolić się na szczeblu plutonu czy batalionu. W 10 Brygadzie Kawalerii Pancernej mamy na przykład kompletny system przypisany czołgom Leopard. Budowaliśmy go od końca lat dziewięćdziesiątych, a specjalistyczny ośrodek szkolenia uruchomiliśmy w 2007 roku.

Jaki sprzęt będziemy kupować w najbliższym czasie?

W tej chwili kluczowe znaczenie mają dla nas kompleksowy system symulacji pola walki oraz laserowe symulatory strzelań. Upraszczając, można powiedzieć, że żołnierze uzyskają specjalne nakładki na broń osobistą, a także czołgi czy transportery opancerzone. Będą one emitować wiązkę lasera, a specjalne detektory wychwycą, czy dosięgła ona celu i jaki rezultat wywołała. Innymi słowy: czy przeciwnik został zabity, ranny, czy jego sprzęt został całkowicie zniszczony, czy tylko uszkodzony? Najważniejsze jednak jest to, że walczy się z realnym przeciwnikiem. Dzięki takim rozwiązaniom zmienia się cała filozofia szkolenia.

Dlaczego?

Żołnierze zyskają więcej swobody, a działanie na poligonie będzie zbliżone do realnej sytuacji taktycznej. Dziś ćwiczący strzelają ze ślepej amunicji. Nie jesteśmy w stanie w pełni zweryfikować, czy robią to skutecznie. Kiedy część z nich sięga po ostrą amunicję, inni muszą uważać, by nie wejść na linię strzału. Poruszają się więc w ściśle określonych kierunkach i przestrzeniach poligonu. Wkrótce jednak te bariery znikną. Dzięki nowoczesnej technologii w pełni obiektywnie ocenimy, jak żołnierz, pododdział i dowódca wykonali zadanie. Jeśli zrobią to źle, to sprawdzimy, dlaczego. No i nie należy zapominać o efekcie psychologicznym – damy dowódcy i żołnierzowi pewność co



**PSKBPiSS**

Nosisz mundur?

**Interesujesz się
bronią palną?**

**Chcesz uzyskać
pozwolenie na broń?**

Dołącz do nas!

www.pskbpiss.pl
+48 732 75 75 75
**Polskie Stowarzyszenie
Kolekcjonerów Broni Palnej
i Strzelectwa Sportowego**

Dzięki nowoczesnej technologii w pełni obiektywnie ocenimy, jak żołnierz, pododdział i dowódca wykonali zadanie. Jeśli zrobią to źle, to sprawdzimy, dlaczego

do jego wysokiej wartości i poczucie przewagi nad przeciwnikiem.

To znaczy?

Kiedys, w jednym z państw Europy Zachodniej, miałem okazję obserwować ćwiczenia z użyciem laserowych symulatorów strzelań. W budynku pięciu żołnierzy tzw. OpFor-u [opposition force – siły opozycji] broniło się przed ćwiczącą kompanią. I oni trafiali jednego atakującego po drugim. Ratownicy medyczni znosili wielu „rannych” i „zabitych” w pobliżu dowódcy kompanii, a on musiał szybko się pozbierać, coś wymyślić, żeby nie stracić wszystkich swoich ludzi. Proszę mi wierzyć, nawet jeśli żołnierze nie umierają naprawdę, takie realistyczne działanie robi piorunujące wrażenie.

Kiedy polscy żołnierze będą mogli skorzystać z tego typu urządzeń?

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, pierwsze ćwiczenia z wykorzystaniem laserowych symulatorów strzelań będzie można przeprowadzić w 2018 roku. Na razie na poziomie plutonu, może kompanii. W 2019 roku najpewniej w ten sposób będziemy mogli już standardowo wyszkolić bataliony. Sprzęt dostarczymy najpierw na wschód kraju – na tamtejsze poligony i do jednostek. W przyszłości ten system zostanie zsynchronizowany z JCATS-em. Żołnierze będą wykonywali zadania w terenie, a ich poczynania będą widoczne w urządzeniach systemu wyższego poziomu. Umożliwi to szkolenie dowództw i sztabów w czasie realnej walki pododdziałów. W ten sposób realizujemy ideę tzw. symulacji rozproszonej.

Zakup systemów używanych na polu walki to priorytet. Do tego dochodzą symulatory wykorzystywane do szkolenia w samych jednostkach, takie jak śnieżniki czy jaskry...

Pierwsze śnieżniki trafiły do polskiej armii w 2009 roku. Dziś można z nich korzystać, choćby w poznańskim Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych, 10 Brygadzie Kawalerii Pancernej w Świętoszowie, Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni czy na poligonie w Orzyszu. Tylko w 2015 roku szkoliło się z ich użyciem 45 tys. osób. Program cały czas jest kontynuowany. Śnieżników przybywa, a jedno-

cześnie zmienia się samo urządzenie. Żołnierze wchodzą do pomieszczenia, biorą do ręki specjalnie dostosowaną broń i dzięki wirtualnej projekcji stają się częścią pola bitwy. W symulatorze mogą również ćwiczyć załogi roso-maków i innych pojazdów. Istotne jest, by tego typu szkolenia były organizowane dla pododdziałów.

Jaskry, czyli symulatory, dzięki którym kierowcy kołowych transporterów opancerzonych Rosomak mogą ćwiczyć jazdę w terenie – na poligonie, pustyni, w mieście – przypominającym ten afgański czy iracki, to nabytki jeszcze nowsze. W tej chwili stoją w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu i Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu. Jaskry łączymy tak, by mogły działać w grupach. Wówczas żołnierze mają możliwość treningu na poziomie plutonu. Symulacja rozproszona, czyli scalanie w jeden system symulatorów, które stoją w Poznaniu i we Wrocławiu, w tym akurat wypadku nie będzie pożądaną zdolnością. Rosomaki, które współpracują ze sobą na polu walki, zwykle działają w niewielkich odległościach od siebie. Łączenie ich przy tak dużym dystansie byłoby sztuczne i drogie. Symulatory, o których mówimy, są urządzeniami najwyższej światowej klasy, polskiej produkcji, zbudowanymi z udziałem narodowego potencjału naukowego.

Pieniądze na zakup kolejnych symulatorów pochodzą z programów modernizacji sił zbrojnych, ale nie tylko...

Wojskowe uczelnie często kupują symulatory z własnych funduszy. W ten sposób Wyższa Szkoła Oficerska we Wrocławiu kupiła laserowe symulatory strzelań firmy Saab. A my pilnie obserwujemy, jak się sprawują. To oczywiście tylko jeden z wielu przykładów.

Symulatory to przyszłość. Dzięki nim armia zmienia się nie tylko pod względem technicznym, lecz także mentalnym. Sprzęt, który pozyskujemy, zalicza się do najnowocześniejszych w Europie. A co cieszy nie mniej, spora jego część pochodzi od polskich producentów. Oni również mogą i będą korzystać na technologicznej rewolucji w wojsku. ■

Ppłk KRZYSZTOF KUBA jest zastępcą szefa Oddziału Bazy Szkoleniowej Inspektoratu Szkolenia Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.



KRZYSZTOF MIŁOŚZ/AKADEMIA
MARYNARKI WOJENNEJ

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

TORPEDA W ZACISZU

Do Bojowego Centrum Informacji sływa meldunek: wykryliśmy okręt podwodny przeciwnika. Decyzja: odpalamy torpedę. Na monitorze komputera przesuwają się kolumny cyfr. Przez chwilę można zapomnieć, że to nie pokład fregaty, lecz trenażer w jednej z sal Akademii Marynarki Wojennej.



Trenażery i symulatory w szkoleniu marynarzy nie tylko pozwalają w spokoju przećwiczyć obsługę różnego rodzaju urządzeń, lecz także przynoszą ogromne oszczędności.

Wygłąda niepozornie: niespełna 3 m długości, waga nieco ponad 300 kg, z czego zaledwie jedna dziesiąta to ładunek wybuchowy. Przy starszej, półtonowej torpedzie SET-53, która spoczywa pod przeciwległą ścianą, wygląda niczym maleństwo. Jednak to właśnie MU-90 stanowi dla okrętu podwodnego dużo większe zagrożenie.

„MU-90 to torpeda typu »wyrzuci i zapomnij«”, wyjaśnia kmdr por. dr inż. Adam Cichocki, kierownik Zakładu Uzbrojenia Okrętowego w gdyńskiej Akademii Marynarki Wojennej. Odpowiednio zaprogramowana może śledzić dziesięć celów, poruszać się po najbardziej optymalnej trajektorii, tak by wybrać najskuteczniejszą metodę ataku. Rozwija prędkość przeszło 50 w., mało tego, nawet

ta minimalna, z jaką się porusza, czyli 29 w., jest większa niż maksymalna torpedy starego typu. Do tego dochodzą zasięg około 20 km i głębokości, na których operuje – górna granica to 3 m, dolna zaś aż 1000 m. MU-90 można wystrzelić z fregaty typu Oliver Hazard Perry, a także zrzucić ze śmigłowców SH-2G i Mi-14PL.

ZIELONE ŚWIATŁO

„Eksplozja niewielkiego ładunku wcale nie musi zatopić okrętu podwodnego”, przyznaje kmdr por. Cichocki. „Wystarczy, że torpeda wypali w kadłubie niewielką dziurkę. Resztę zrobi ciśnienie wody. Jeśli nawet uszkodzona jednostka zdoła dowiec się do portu, zostanie na długi czas wyłączona z walki, a jej remont pochłonie miliony”.



I właśnie wierna replika MU-90 stanowi element trenażera, któremu będę miał okazję się za moment przyjrzeć.

Ale najpierw pewna terminologiczna zawilosc. Nazywa urządzenie, o którym mowa, brzmi: trenażer systemu lekkiej torpedy ZOP MU-90. Z powodzeniem jednak można je określić mianem symulatora. Powód? Łączy cechy obydwu. Trenażer – bo ćwiczący siadają przed monitorem interfejsu, takim jak na okręcie czy pokładzie śmigłowca, a także obsługują istniejącą w realu replikę torpedy. Symulator – bo biorą udział w wirtualnej rozgrywce wykreowanej na komputerze instruktora, który siedzi w sąsiedniej sali.

Tak więc jesteśmy na fregacie, a obsługujący sonar operatorzy wykryli obecność okrętu podwodnego. „Logika podpowiada, że skoro my go dostrzegliśmy, on widzi nas już od dawna. Niewykluczone, że sposobi się do ataku. Dlatego trzeba działać szybko”, tłumaczy kmdr por. Cichocki. Decyzja: odpalamy torpedę. „Wcześniej jednak trzeba przygotować jej misję – zaprogramować. Pierwszym krokiem jest wprowadzenie danych, które potem będą przetwarzane na podstawie skomplikowanych algorytmów, dotyczących sytuacji podwodnej czy sygnałów hydroakustycznych”, wyjaśnia kmdr por. Cichocki. Przede wszystkim więc podajemy odległość od celu, kierunek i prę-

kość, z jaką się porusza. Głębokość, na której znajduje się okręt, trzeba oszacować samemu, bo sonar, inaczej niż radar do obserwacji celów nawodnych, nie podaje obrazu 3D. Następnie możemy wprowadzić do systemu dane środowiskowe: czy morze jest gładkie, a jeśli nie, to jak mocno faluje, a także, jaki mamy rozkład batymetrii, innymi słowy – w jaki sposób rozchodzi się w morzu dźwięk. Te dane mogą znacząco ułatwić pracę systemowi poszukiwania i klasyfikacji celu, w który została wyposażona torpeda.

Jednocześnie uruchamiamy wyrzutnię. „Na fregacie są dwie, po jednej na burcie. Każda wyrzutnia jest wyposażona w trzy rury”, wyjaśnia kmdr por. Cichocki, a na monitorze pojawia się schemat, który obrazuje

Trenażery biorą udział w wirtualnej rozgrywce wykreowanej na komputerze instruktora, który siedzi w sąsiedniej sali.

Żeby uzbroić torpedę, ćwiczący musi do niej podejść i w wolne miejsce u jej szczytu wsunąć niewielką kwadratową skrzyneczkę.



jego słowa. „Tutaj operator może zobaczyć, w których rurach znajdują się torpedy i czy istnieje komunikacja pomiędzy preseterem a wyrzutniami”, tłumaczy oficer. Zielone światło świadczy o tym, że wszystko jest w porządku. „W tej chwili jest podgrzewana wyrzutnia na prawej burcie i to właśnie z niej wyrzucimy torpedę”, zapowiada kmdr por. Cichocki.

Zanim to jednak nastąpi, trzeba ją uzbroić w zapalnik. I tutaj ze świata wirtualnego przechodzimy na chwilę do realnego. Ćwiczący musi podejść do leżącej pod ścianą torpedy i w wolne miejsce u jej szczytu wsunąć niewielką kwadratową skrzyneczkę.

Tymczasem okręt podwodny zbliża się z każdą minutą. System podpowiada, że jest już 8,3 km od nas. Teraz musimy jeszcze określić, w jaki sposób torpeda powinna się zbliżyć do celu, tzn. jak długo ma to robić, pozostając maksymalnie cicho, a kiedy włączyć tryb poszukiwania, który bezpośrednio poprzedza atak. Kolejna odpowiedź: optymalna długość fazy podejścia to 6,7 tys. m.

Przekręcamy kluczyk bezpieczeństwa. Zielone światło. Teraz możemy sobie wyobrazić, jak torpeda wpada do wody. I jak przez chwilę stoi dziobem w dół, a w tym czasie woda zalewa baterię i inicjuje w niej reakcję chemiczną. Wreszcie, jak rusza i mknie do celu.

Właścicielem тренаżera jest Komenda Portu Wojennego w Gdyni. Niespełna cztery lata temu został kupiony

za pieniądze z programu modernizacji sił zbrojnych. Korzystają z niego operatorzy z 3 Flotylli Okrętów i Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej. „Oczywiście podobne ćwiczenia bez odpalania torpedy można przeprowadzić bezpośrednio na fregacie lub w śmigłowcu. Ale podczas wyjścia w morze czy w trakcie lotu nie zawsze jest na to czas”, podkreśla kmdr por. Cichocki.

Zajęcia na тренаżerze mają także podchorążowie AMW – studenci nawigacji oraz mechatroniki. „Choć już jako oficerowie tego uzbrojenia bezpośrednio obsługiwać nie będą. Zrobią to podlegający ich rozkazom marynarze i podoficerowie. Oni sami jednak muszą wiedzieć, jak ono działa”, zaznacza kmdr por. Cichocki.

OD WRÓBLA DO RAKIETY

Akademia Marynarki Wojennej ma do dyspozycji około 20 symulatorów i тренаżerów. „Podchorążowie i kadra sił morskich mogą u nas ćwiczyć na przykład strzelanie z zestawu artyleryjsko-rakietowego Wróbel II, wielkalibrowego karabinu maszynowego czy wyrzutni rakiet przeciwlotniczych Grom. Broń tego typu znajdziemy na większości polskich okrętów”, wyjaśnia kmdr por. Wojciech Mundt, rzecznik AMW. Treningi są prowadzone w warunkach zbliżonych do tych na morzu. A wszystko za sprawą ruchomych platform, dmuchaw czy trójwymiarowego obrazu, który przesuwają się przed oczami ćwiczącego po założeniu specjalnych gogli. Akademia ma symulatory, które pozwalają stoczyć wirtualną walkę z okrętami wroga za pomocą rakiet RBS-15 Mk III (ich właśnie używają załogi małych okrętów rakietowych typu Orkan) czy też skoordynować akcję ratowniczą na morzu (pomocze w tym symulator GMDSS, czyli ogólnoswiatowego systemu powiadamiania o niebezpieczeństwie na morzach i oceanach).

„Naszą bazę konsekwentnie rozbudowujemy i unowocześniamy”, podkreśla kmdr por. Mundt. Przykładem jest tworzony od kilku lat symulator-trenażer okrętu podwodnego. Jego zasadniczą część powstała w kadłubie okrętu podwodnego typu Kobben, który stanął na dziedzińcu Akademii. Podchorążowie mogą tutaj ćwiczyć na przykład manewry związane z wynurzaniem i zanurzaniem okrętu.

Trenażery i symulatory w szkoleniu przyszłych i obecnych marynarzy odgrywają kluczową rolę. Pozwalają w spokoju przećwiczyć obsługę różnego rodzaju urządzeń czy uzbrojenia, przynoszą też ogromne oszczędności. „Wystarczy wspomnieć, że torpeda MU-90 kosztuje około miliona dolarów. W świecie wirtualnym możemy wyrzucić ją wielokrotnie”, podsumowuje kmdr por. Mundt. ■



Trenażer systemu torpedy ZOP MU-90

Ćwiczący siedzą przed monitorem interfejsu, takim jak na okręcie czy pokładzie śmigłowca, a także obsługują istniejącą w realu replikę torpedy.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

LASER NA POLIGONIE

Kilka małych czujników i imitatorów wiązek laserowych rewolucjonizuje szkolenie w polskim wojsku.

W Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Łądowych we Wrocławiu pluton podchorążych przygotowuje się do zajęć. Oprócz typowego wyposażenia – szelek taktycznych, ładownic, hełmów, broni i innych akcesoriów – przyszli dowódcy wkładają dodatkowe, lekkie kamizelki, a na hełmy opaski z czujnikami. Specjalne urządzenia umieszczają także na lufach broni oraz na pancierzach wozów terenowych typu Humvee wykorzystywanych w zajęciach. Z daleka wyglądają niemal jak wszystkie inne plutony przygotowane do działań bojowych. Oni jednak na treningu z marszu ubezpieczonego połączonego z działaniami podczas zasadzki będą używali laserowego symulatora strzelania.

REALIZM POŁA WALKI

Tego nowoczesnego sprzętu podchorążowie z wrocławskiej szkoły mogą używać od kilku miesięcy. Chcę się od nich dowiedzieć, jak przez

ten czas zmieniło się ich szkolenie. Już pierwsze wypowiedzi nie pozostawiają wątpliwości. „Ten sprzęt bardzo urealnia działania. Skończyła się już strzelanina na zajęciach, kiedy z góry było wiadomo, że nasi muszą wygrać”, wyjaśnia plut. pchor. Patryk Fendrych. System wskazuje każde trafienie. Żołnierz postrzelony śmiertelnie zostaje wyeliminowany z walki. Lżej ranny, oceniony przez program, że ma więcej niż 60% funkcji życiowych, po 30-sekundowej przerwie może kontynuować działania. „Głośnik w kamizelce powiadamia ćwiczącego o każdej zaistniałej sytuacji”, dodaje st. kpr. pchor. Kamil Adach.

W trakcie rozmowy sierż. pchor. Piotr Ulewicz pokazuje granat. „Takie są w zestawie symulatora. Można ich używać jak prawdziwych w walce w bliskim kontakcie. Kiedy detonują w pobliżu przeciwnika, na wszystkie strony wyrzucają wiązki laserowe emitujące odłamki”, opisuje podoficer. Inni uczestnicy pokazują kolejne tego typu urządzenia, takie jak nakładki na lufę kara-



BOGUSŁAW POLITOWSKI

KOMENTARZ

CZESŁAW
DĄBROWSKI

Wojsko potrzebuje systemów treningowych, które można zabrać na zajęcia w terenie. Nie mamy wpływu na decyzje, jaki rodzaj laserowych symulatorów strzelań będzie kupowany. Wszystkim jednak możemy służyć radą w tej dziedzinie. LSS, który kupiliśmy, spełnia bowiem wszelkie nasze oczekiwania. ■

Płk CZESŁAW DĄBROWSKI jest
kierownikiem Zakładu Symulacji
Taktycznych w WSOWL.

binu maszynowego UKM lub ręczny granatnik przeciwpancerny – RPG-7. To wszystko jednak dotyczy osobistego wyposażenia żołnierzy. Inne zestawy czujników, odbiorników, nadajników, anten, zasilaczy i baterii montuje się natomiast na pojazdach wykorzystywanych w zajęciach. Co ważne, urządzenia symulatora nie są przypisane jednemu rodzajowi sprzętu. Zostały tak skonstruowane, aby można je było zamontować na pojazdach każdego typu.

REWOLUCJA W SZKOLENIU

Kiedy ogląda się miniaturowe urządzenia, trudno uwierzyć, że kilka małych czujników i imitatorów wiązek laserowych może zrewolucjonizować szkolenie. W wyposażeniu indywidualnym żołnierza jest bowiem tylko dziewięć takich czujników w kamizelce, sześć na hełmie, a na lufie broni mała kostka. Całości dopełniają zasilacz, głośnik, wmontowane w kamizelkę dwie anteny krótkiego i dalekiego zasięgu, GPS, czujnik pochylenia oraz bransoletka zakładana na przegub ręki. Kpt. Dawid Dobies, wykładowca z Zakładu Symulacji Taktycznej wrocławskiej uczelni,

już wiele razy się przekonał, że dzięki LSS szkolenie o wiele bardziej niż dotychczas przypomina realne działania bojowe. Na dowód uruchamia komputer, który jest najważniejszą częścią systemu, włącza odpowiedni program i wyjaśnia działanie symulatora.

Dowiaduję się, że gdy uczestnik szkolenia włoży oprzyrządowanie i je włączy, w komputerze, na tle mapy terenu wgranej do programu, pojawia się taktyczny znak żołnierza, wskazujący na wojska własne, przeciwnika lub obiekt nieznany. Obsługujący program, wpisuje nazwisko ćwiczącego i za pomocą odpowiedniego koloru przypisuje go np. do plutonu nacierającego, grupy poruszającej się w konwoju lub ekipy pozorującej przeciwnika. Określa także liczebność pododdziału oraz rodzaj sił, do których należy, np. zmechanizowany, rozpoznawczy albo artylerii.

Od tego momentu program przez cały czas śledzi ruchy żołnierza (oraz wszystkich innych biorących udział w szkoleniu). Dzięki wmontowanemu w kamizelkę GPS-owi określa jego pozycję geograficzną. Pokazuje, czy porusza się on w pozycji wyprostowanej, czy się czołga. Rejestruje również, że uczestnik szkolenia został postrzelony. Wtedy ➔

system informuje żołnierza – za pomocą głośników i przez wibracje umieszczonej na przegubie bransolety, na której świeci się odpowiednia dioda – czy jest całkowicie wyeliminowany z walki, czy tylko ranny.

Jeśli żołnierz zostaje trafiony śmiertelnie, system automatycznie odłącza w jego broni możliwość prowadzenia ognia. Podobnie dzieje się z karabinkiem w razie ciężkiego zranienia. Gdy uczestnik szkolenia jest tylko lekko ranny, broń zostaje zablokowana do chwili, aż do poszkodowanego podejdzie kolega i przez naciśnięcie odpowiedniego przycisku w bransoletce zapozoruje udzielenie pomocy medycznej. Jeżeli jednak pomoc medyczna nie nadejdzie, system komputerowy pokazuje, że stan rannego powoli się pogarsza, aż w końcu żołnierz zostaje wyeliminowany z walki. Co więcej, jeśli ma na sobie kamizelkę kuloodporną, prowadzący zajęcia zmienia w systemie odpowiednie opcje i rejestrator zranień reaguje z większą tolerancją.

Szkolący się z użyciem laserowego symulatora strzelania muszą korzystać z ćwiczebnej amunicji, bo tylko strzał może wyzwolić emisję wiązki laserowej. Dzięki temu trenowane działania taktyczne są zbliżone do tych na prawdziwym polu walki także pod względem akustycznym. Głośniki kamizelek są tak skonstruowane, że wydają odpowiednie dźwięki nawet wówczas, gdy przeciwnik strzela niecelnie. Żołnierz wtedy słyszy, jak pozorowane pociski czy odłamki ze świstem przelatują obok niego. Dowódca prowadzący szkolenie może również zasymulować wezwanie wsparcia ognia artylerii. Po takiej informacji żołnierze są zmuszeni do odpowiedniego zachowania, bo w każdej chwili mogą zostać zranieni wirtualnymi odłamkami.

WALKA NA POWAŻNIE

„To wszystko zmusza nas do tego, żebyśmy zachowywali się jak w prawdziwej walce”, podkreślają podchorążowie. Dodają, że na zajęciach skończył się czas udawania, chodzenia w pozycji wyprostowanej, gdy akurat powinno się być nisko przy ziemi. Kpt. Dobies dodaje, że na jednych z zajęć testowych czterech żołnierzy pozoracji działających w obronie w krótkim czasie zniszczyło cały nacierający pluton, którego żołnierze nie zdawali sobie sprawy z możliwości nowego urządzenia i beztrudno podeszli do szkolenia.

Wykładowca wyjaśnia, że system pozwala prowadzącemu zajęcia ustawić na wybranym obszarze pole minowe. Nierozważny żołnierz, po wejściu na taki teren, w każdej chwili może usłyszeć komunikat, że został zabity lub ranny. Za pomocą LSS wywołuje się też wirtualne skażenie terenu. Jeśli uczestnicy szkolenia w odpowiednim czasie nie przeprowadzą wtedy dekontaminacji, zostaną uznani za niezdolnych do walki.

PODODDDZIAŁY UCZELNI MOGĄ WSPÓŁ-DZIAŁAĆ Z ŻOŁNIERZAMI NAJWAŻNIEJSZYCH ARMII NATO, UŻYWAJĄCYMI SYMULATORÓW PODOBNEJ KLASY



Oprogramowanie symulatora jest bardzo rozbudowane. Dzięki temu rejestruje się, ile amunicji zużył każdy uczestnik zajęć w określonym czasie. Zlicza jego celne strzały i pudła oraz pokazuje, jak prowadził ogień w określonej sytuacji. Zapisuje się też, z jakiej odległości oddawał celne strzały i jaki był ich efekt. Można też oznaczyć trasę, którą poruszał się każdy żołnierz i pojazd.

Pluton podchorążych wyposażony w LSS pierwszy raz przeszedł szkolenie 12 grudnia 2016 roku na przykoszarowym placu ćwiczeń na Rakowie. Do dziś w programie jest zapisany przebieg tych zajęć i wszystkich kolejnych. Jest to przydatna funkcja, bo dowódca nawet po jakimś czasie może omówić szkolenie. Przebieg ćwiczeń prezentuje na dużym ekranie, żeby ocenić zachowanie w walce każdego żołnierza albo drużyn czy plutonów jako całości. Dzięki szczegółowym danym może rozliczyć podwładnych z poniesionych strat, efektywności prowadzonego ognia

NOWOCZESNY WROCŁAW

Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych ma laserowy symulator strzelań (LSS), składający się z kompletnego oprzyrządowania dla 60 żołnierzy używających beryli. Kupiono także sześć nadajników do karabinów maszynowych UKM oraz 12 granatów. Dodatkowo podchorążowie mają do dyspozycji dwa komplety oprzyrządowania LSS do montowania na pojazdach oraz oprzyrządowanie do szkolenia z działań taktycznych w budynkach. To ostatnie składa się z czterech nadajników i 20 czujników do montażu w pomieszczeniach. Mogą zostać umieszczone w czterech budynkach lub w jednym, ale za to w 20 pomieszczeniach. ■

BRANSOLETA ZAKŁADANA NA PRZEGUB RĘKI INFORMUJE, CZY ŻOŁNIERZ ZOSTAŁ „RANNY”, CZY TEŻ CAŁKOWICIE WYELIMINOWANY Z WALKI.

Takie **granaty** montowane w zestawie symulatora wyrzucają wiązki laserowe emitujące „odłamki”.

Jeden z elementów symulatora montowany na pojazdach wykorzystywanych w zajęciach.

na różnych odległościach, ze zużytej amunicji, a nawet, jak w czasie meczów piłkarskich, z pokonanych kilometrów. Łatwo może wskazać błędy popełnione przez żołnierzy i ich dowódców. Po odwzorowaniu zakończonych ćwiczeń i zestawieniu ich z przeprowadzonymi wcześniej ma też możliwość porównania i omówienia postępów. Podchorążowie oraz ich wykładowcy uważają, że

najlepiej by było, gdyby w czasie studiów mogli się nauczyć również obsługi symulatora. Przydałoby się im to w szkoleniu podwładnych, gdy będą już dowódcami. Na razie jednak jest tylko jedno urządzenie tego typu dla pododdziałów piechoty w naszej armii. A skoro nie ma go w żadnej jednostce, do której podchorążowie mogą trafić, bezcelowe jest uczenie jego obsługi. ■

ARMIA

/ NA CELOWNIKU



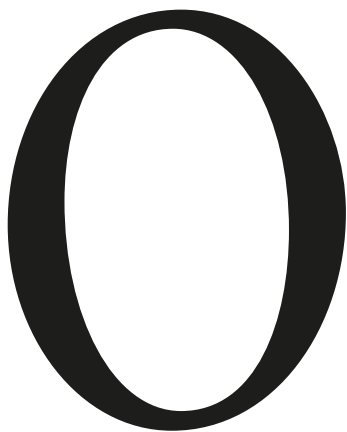
MICHAŁ NIWICZ

NA NIESPOKOJNE CZASY GROM

Z Robertem Kopackim

o służbie w GROM-ie, wypadku, w którym zginął żołnierz
tej jednostki, i o tym, jak specjaliści zabezpieczali szczyt NATO
i Światowe Dni Młodzieży rozmawia Ewa Korsak.





Objął pan dowodzenie GROM-em we wrześniu 2016 roku. Tuż po wypadku, do którego doszło w czasie szkolenia; zginął wtedy żołnierz jednostki.

To był kpt. Jacek „Gienek” Motyczko, żołnierz zespołu bojowego GROM, zwanego wśród nas zespołem wodnym. Wybitna osobowość. Jeden z nielicznych, który skończył kurs SEALs w USA. Pokładaliśmy w nim wiele nadziei, mieliśmy szczególne plany z nim związane. Znałem go osobiście, zresztą jak wszystkich, którzy u nas służą. Jacek osierocił córeczkę, która urodziła się tuż po jego śmierci.

Wiele niedomówień pojawiło się po tym wypadku. Co tak naprawdę wydarzyło się na Westerplatte?

Za wcześniej, by o tym mówić. Wciąż jest prowadzone postępowanie prokuratorskie w tej sprawie. Analizowaliśmy ten wypadek w jednostce i, według nas, doszło do zbiegu wielu bardzo nieszczęśliwych zdarzeń.

Możemy mówić o czyjejś winie, o zaniedbaniach?

Nie. Nie posunąłbym się do oskarżania kogokolwiek. Mijemy na uwadze to, że nasze działania bojowe, ale też szkolenia, wiążą się z dużym ryzykiem.

W sieci pojawiło się nagranie, na którym widać szczegóły wypadku. Jak to się stało, że

ktoś sfilmował ćwiczenia? Zostały źle zabezpieczone?

Ze względu na charakter wykonywanych zadań szkolimy się nie tylko na poligonach. Miejsca, w którym wydarzył się wypadek, niestety nie można było w całości odizolować. Widać je m.in. z ogólnodostępnego portu, z którego odpływają promy do Szwecji. Podejrzewam, że dla filmującego te ćwiczenia wypadek był atrakcją turystyczną. Żałuję jednak, że ludzie nie mają świadomości, jakie szkody może wyrządzić publikacja takiego nagrania. Mogę sobie tylko wyobrazić, co po niej przeżyła rodzina żołnierza, który zginął.

To są trudne okoliczności do przejmowania dowodzenia. W dodatku po nominacji zarzucono Panu brak doświadczenia w służbie w wojskach specjalnych.

Od 2008 roku służę w Jednostce Wojskowej GROM, z krótką, kilkumiesięczną przerwą na służbę w Dowództwie Wojsk Specjalnych w Krakowie. W chwili otrzymania nominacji na dowódcę jednostki wojskowej byłem jej szefem sztabu.

Jednostkę pod Pana dowództwem czekają zmiany? Czy będzie Pan kontynuował pracę płk. Piotra Gąstała?

Płk Gąstał, Piotrek wyznaczył kilka dobrych kierunków szkolenia, a więc i rozwoju GROM-u, których będziemy się trzymać. Chodzi m.in. o ćwiczenia z najlepszymi jed-



MICHAŁ NIWICZ

Zmienia się sytuacja geopolityczna, więc i my musimy się zmieniać. Będziemy zatem tak się rozwijać, aby o krok wyprzedzać nowe zagrożenia

nostkami specjalnymi z całego świata. Przede wszystkim jednak wciąż analizujemy różnego rodzaju zagrożenia i do nich dopasowujemy szkolenia tak, byśmy byli gotowi do przeciwdziałania im. Krótko mówiąc, zmienia się sytuacja geopolityczna, więc i my musimy się zmieniać. Będziemy zatem tak się rozwijać, aby o krok wyprzedzać nowe zagrożenia.

Zmiany dotyczą również sposobu zaangażowania w misje poza granicami kraju?

Bierzemy udział w działaniach poza granicami kraju. Tylko tyle na ten temat mogę powiedzieć.

A w kraju? W 2016 roku żołnierze mieli do wykonania co najmniej dwa zadania, które znane były opinii publicznej – zabezpieczenie Światowych Dni Młodzieży oraz szczytu NATO.

Obie operacje były przeprowadzane wspólnie z Biurem Operacji Antyterrorystycznych. Działaliśmy 24 godziny na dobę i nie było nawet jednej sekundy, by w tym czasie ktoś nie trzymał ręki na pulsie. Mamy uprawnienia, wynikające z planu zarządzania kryzysowego resortu obrony narodowej, do prowadzenia działań kontrterrorystycznych w kraju, a nasza aktywność w czasie szczytu NATO i ŚDM była możliwa dzięki ustawie o Policji, która przewiduje użycie sił zbrojnych do wykonywania szczególnych zadań.

Na czym one polegały?

Policja, GROM i wszystkie służby odpowiadające za bezpieczeństwo zbierały informacje. Po ich analizie wspólnie planowaliśmy i prowadziliśmy działania operacyjne. 24-godzinne dyżury pełniliśmy tam, gdzie występowało zagrożenie. Zawsze byliśmy na miejscu, gdy zachodziła taka potrzeba.

Interweniowaliście?

Nie był to dla nas czas spokojny, ale naszych działań nie było widać. Niech tak pozostanie.

Współpracowaliście z Jednostką Wojskową Agat. To znaczy, że prowadzicie też wspólne szkolenia?





Na stronie internetowej www.grom.wp.mil.pl można znaleźć podstawowe informacje o rekrutacji do GROM-u

Tak. Agat ma wspierać jednostkę GROM w czasie operacji, więc w zasadzie nie ma dużych ćwiczeń bez żołnierzy tej jednostki. Współpracujemy również z siłami powietrznymi, z 7 Eskadrą Działań Specjalnych, a także z 25 Brygadą Kawalerii Powietrznej. Szkołą się z nami także pułki rozpoznawcze. Ostatnio ćwiczyliśmy z 21 Brygadą Strzelców Podhalańskich.

Współpraca z innymi rodzajami sił zbrojnych zacieśniła się w Afganistanie, gdzie m.in. korzystaliśmy z rosomaków. Szkolenie z obsługą tych wozów, kierowcami oraz „gunerami”, było zatem nieuniknione. Ale my też chcieliśmy to robić. Przecież to byli ludzie, którzy mogli ratować nam życie. Ze szkoleniem z innymi rodzajami sił zbrojnych jest tylko jeden problem – brak czasu.

Bo oprócz ćwiczeń z polską armią szkolicie się też z jednostkami z całego świata.

Robimy to non stop. Przed nami kolejne szkolenia zimowe – w strefie koła podbiegunowego, ale też na pustyniach i w górach. Ćwiczymy z czołowymi jednostkami amerykańskich i brytyjskich sił specjalnych, ale też z wojskami specjalnymi krajów nadbałtyckich: Finlandii, Norwegii, Litwy, Łotwy, które dziś chcą się uczyć od nas.

A czego wy się uczycie od innych?

Moi żołnierze ćwiczą z najlepszymi w ekstremalnych warunkach. Ostatnio jeden z nich uzyskał certyfikat instruktorski na kursie SERE w USA. Zaliczył też bardzo trudne i wyczerpujące szkolenie w dżungli amazońskiej. Dokładamy wszelkich starań, aby co roku kierować żołnierzy na prestiżowe uczelnie zagraniczne, żeby podnieśli swoje kwalifikacje. W 2016 roku jeden z chłopaków ukończył studia podyplomowe w Szkole Dowódczo-Sztabowej Wojsk Lądowych w Fort Leavenworth w USA, a teraz kolejny w Waszyngtonie w takim samym trybie uczy się przeciwdziałać terroryzmowi. To są studia przeznaczone dla wojsk specjalnych i przynoszą znakomite efekty. Żołnierze wracają do kraju, zajmują kolejne

stanowiska w tym rodzaju sił zbrojnych i zdobytą wiedzę przekazują kolegom. Nauka w zagranicznych uczelniach daje też możliwość zdobycia mnóstwa cennych kontaktów w naszej branży oraz porównania procedur.

Wróćmy na polski grunt. W armii pojawił się nowy rodzaj sił zbrojnych – wojska obrony terytorialnej. Terytorialsów szkołą m.in. byli żołnierze wojsk specjalnych, także GROM-u. To dobry pomysł?

Dlaczego nie? To są świetni instruktorzy. Skoro żołnierze WOT-u uczą się planowania, zabezpieczenia działań w różnym środowisku, to niech wiedzę czerpią od najlepszych.

Słysząc jednak złośliwe komentarze, że terytorialsów wyszkoleni przez wojska specjalne będą mogli was zastąpić.

Życzę sukcesu tej formacji. Nie można jednak porównywać jej do wojsk specjalnych. Odnieśmy się do historii. W czasie II wojny światowej w Armii Krajowej służyło tysiące młodych ludzi, ale instruktorami byli ci najlepsi – cichociemni. Oni byli liderami. Gen. Wiesław Kukula, dowódca WOT-u, chce, by i dziś liderami byli najlepsi, czyli byli żołnierze wojsk specjalnych. Oni wiedzą przede wszystkim, jak prowadzić szkolenie, aby było skuteczne. To jednak nie wszystko. Nie można zapomnieć o charyzmie specjalsów. Może świadomość tego, co oni potrafią, jakie zdobyli doświadczenie podczas służby, jak zbudowali sobie reputację, przyciągnie młodych ludzi do obrony terytorialnej.

Czy byli specjalsi nie przydaliby się jednak bardziej w jednostkach specjalnych?

Pyta pani, czy istnieje system wykorzystania ich umiejętności w wojsku? Nie ma. Owszem możemy zatrudnić byłego żołnierza na umowę zlecenie jako trenera, by przeprowadził konkretne szkolenie, ale nie jesteśmy w stanie wykorzystać w ten sposób wszystkich. Ten system w Pol-

sce nie jest do końca dopracowany. Zdajemy sobie z tego sprawę, ale bezpośrednio nie mamy na to wpływu.

A nowi żołnierze? Jakich ludzi chciałby Pan zobaczyć w szeregach GROM-u?

To nie jest miejsce dla narcyzów i zapatrzonych w siebie indywidualistów. Takie osoby nie mają szans przejść selekcji do naszej jednostki. Kandydatów do służby w jednostce GROM wybiera spośród mężczyzn i – chciałbym to podkreślić – kobiet. Jednym z najważniejszych wymagań jest umiejętność pracy w grupie. Przyszli specjaliści muszą też umieć dbać o bezpieczeństwo całego zespołu. Kolejne kryterium to odporność na stres. W trakcie działań bojowych, a także podczas szkolenia żołnierze mogą się znaleźć w niezwykle trudnych sytuacjach, kiedy trzeba zachować zimną krew. Tu wracamy do punktu pierwszego. W tych okolicznościach żołnierz nie działa sam. Jest grupa, są koledzy, na których zawsze może liczyć. Dlatego tak ważna jest umiejętność współpracy.

Jaki jest zatem idealny kandydat na żołnierza GROM-u?

Opracowany został profil psychologiczny żołnierza. Nie będę mówić o szczegółach, ale część psychologiczną selekcji czy kwalifikacji można porównać do wąskiego korytarza. Jeśli kandydat się w nim zmieści, to jest szansa, że będzie u nas służył.

Gdzie szukacie takich ludzi?

Nie szukamy, to kandydaci szukają nas. Trafiają do nas wyłącznie ludzie z innych służb mundurowych: policji, straży granicznej, straży pożarnej, służby więziennej, BOR-u. Przyjmujemy też osoby mające stopień wojskowy w rezerwie oraz po przeszkoleniach wojskowych, np. w narodowych siłach rezerwowych. Decyzję o przystąpieniu do selekcji zwykle podejmują po wspólnych szkoleniach.

A Ośrodek Szkolenia Wojsk Specjalnych w Lublińcu?

Przeglądamy się ludziom, którzy biorą udział w tym szkoleniu. Mamy też pomysł, aby przyjmować kandydatów bezpośrednio z cywila. Po ukończeniu selekcji przechodziliby oni przeszkolenie wojskowe w ośrodku w Lublińcu, po którym trafialiby do nas.

Założmy, że ktoś pragnie służyć w GROM-ie. Ma cechy, o których Pan mówi, ukończył szkolenie wojskowe. Gdzie ma się zgłosić?

Odsyłam do strony internetowej www.grom.wp.mil.pl, na której można znaleźć podstawowe informacje o rekrutacji. Znajduje się tam też numer telefonu kontaktowego

do działu kadrowego, pod którym specjaliści udzielą odpowiedzi na wszelkie pytania dotyczące naboru.

Jak kondycyjnie przygotować się do selekcji?

Przed wszystkim trzeba dbać o kondycję, i to nie miesiąc czy dwa przed selekcją. Nie mówię jednak o takiej aktywności, jak ćwiczenia na siłowni. Trzeba budować siłę fizyczną i psychiczną. Przekraczać granice własnej wytrzymałości. Dobrym pomysłem są bieganie, chodzenie po górach oraz wielogodzinne marsze na orientację z dużym obciążeniem. O sukcesie w selekcji decyduje determinacja.

Przypuszczam, że macie wielu kandydatów. Ilu udaje się przejść selekcję?

Na stu żołnierzy przechodzi ją od 10 do 20%. Ten odsetek nie zmienia się od lat. Zgłasza się jednak mniej kandydatów niż kiedyś. Pytałem nawet byłych żołnierzy GROM-u, jak oni zdobywali informacje o jednostce. Przecież nie było internetu, a na selekcję stawiało się 200 osób. Było z czego wybierać. Co się zmieniło? Dlaczego jest mniej chętnych? Niska samoocena? Brak wiary we własne siły? A może po prostu pragnienie wygodnego życia? Poza tym kiedyś część osób, które zetknęły się z wojskiem w czasie obowiązkowej służby zasadniczej, szukała w armii swojego miejsca, niektórzy właśnie w GROM-ie.

Cieszy mnie jednak to, że w ostatnim czasie do kwalifikacji przystępuje coraz więcej kobiet. Większość kandydatek kończy go z pozytywnym wynikiem. Jak widać, wcale to nie jest słaba płęć.

Przecież zainteresowani wojskami specjalnymi dziś mają informacji pod dostatkiem. Jest internet, są branżowe pisma, książki, nie mówiąc już o grach komputerowych.

Tak, często ludzie, którzy fascynują się takimi gramami czy literaturą sensacyjną, szybko się zapalają do służby w wojskach specjalnych. Tyle że równie szybko ich zapala gaśnie. To wymagająca służba. Najpierw selekcja, a później jeszcze przeprowadzka do Warszawy lub Gdańska... Dla niektórych to zbyt duże wyzwania. Brak determinacji w dążeniu do celu przeważnie decyduje o porzuceniu marzeń. Również tych o służbie w GROM-ie. ■

Płk ROBERT KOPACKI jest dowódcą Jednostki Wojskowej GROM. Wcześniej służył w 6 Batalionie Desantowo-Szturmowym w Niepołomicach, potem w 6 Brygadzie Desantowo-Szturmowej. Do GROM-u trafił w 2008 roku – został szefem oddziału operacyjnego. W 2011 roku objął stanowisko szefa sztabu jednostki.

KADR

/ WOJSKA SPECJALNE

MICHAŁ ZIELIŃSKI

SZTURM Z ZASKOCZENIA

Komandosi z Lublińca w operacjach często wykorzystują śmigłowce, bo są one niezbędne w działaniach specjalnych.



Zarówno w sytuacjach bojowych, jak i podczas ćwiczeń komandosi JWK operowali na różnego typu śmigłowcach sojuszników.



→ MICHAŁ ZIELIŃSKI



NAJWIĘKSZYM ATUTEM ŚMIGŁOWCÓW JEST MOŻLIWOŚĆ PIONOWEGO STARTU I LĄDOWANIA ORAZ ZAWISU W POWIETRZU

Technik pokładowy melduje pilotom gotowość do lotu. Trzy śmigłowce UH-60M Black Hawk z Brygady Lotnictwa Szturmowego amerykańskiej 1 Dywizji Pancernej podrywają się do startu. W ładowni jednego z nich jest kilku zamaskowanych operatorów uzbrojonych w karabinki HK416. Na ramionach mężczyzn widać charakterystyczne naszywki z symbolem kotwicy i biało-czarne flagi z orłem w koronie.

Po chwili śmigłowce lądują przy kompleksie, w którym najprawdopodobniej znajduje się jeden z poszukiwanych celów. Sekcje bojowe błyskawicznie opuszczają maszyny i przystępują do szturm. Black hawki tworzą pierścień wokół miejsca prowadzenia operacji. Krążą nad zabudowaniami, bo czekają na podjęcie operatorów. „Śmigłowce przede wszystkim zapewniają nam mobilność. Dzięki nim możemy szybko zareagować, zaskoczyć przeciwnika i opuścić teatr działań”, tłumaczy „Józek”, jeden z dowódców służących w Jednostce Wojskowej Komandosów z Lublińca. Kiedy operatorzy wykonują swoje zadania, piloci mogą

przewodzą obserwację okolicy lub zapewnić bezpośrednie wsparcie ogniowe. Ze względu na złożony charakter operacji specjalnych trudno jest wskazać typ śmigłowca, który sprawdziłby się w każdych okolicznościach. „Wszystko zależy od tego, co chcemy osiągnąć, ile osób bierze udział w operacji i jakie panują warunki w miejscu akcji. Według tego klucza dobiera się konkretne maszyny. Jednocześnie siły specjalne muszą być gotowe do tego, żeby wykorzystywać sprzęt, który w danym momencie jest dostępny”, zaznacza „Józek”.

Śmigłowce, mimo wielu zalet, mają pewne ograniczenia. Podczas planowania należy wziąć pod uwagę ich podatność na nawet najprostsze środki obrony przeciwlotniczej, ograniczony pułap i zasięg oraz hałas wirnika. Dzięki specjalistycznym modernizacjom można zminimalizować niektóre niedogodności. Niezależnie od możliwości technicznych ostatecznie powodzenie operacji z użyciem śmigłowca zależy jednak od wyszkolenia, umiejętności i doświadczenia zarówno pilotów, jak i operatorów. ■



**NA POKŁADZIE
ŚREDNIEJ
WIELKOŚCI
ŚMIGŁOWCA
MIEŚCI SIĘ JEDNA
SEKCJA BOJOWA**



PLAN DZIAŁANIA

W fazie planowania specjalista od operacji powietrznych analizuje zmienne i zestawia oczekiwania dowódców z możliwościami technicznymi oraz ograniczeniami atmosferycznymi. W czasie wykonywania zadań sekcje utrzymują kontakt z załogą. Często jeden z komandosów jest odpowiedzialny za koordynację działań pilotów i operatorów.



Operatorzy JWK na międzynarodowych ćwiczeniach „Black Swan '16”





AMERYKANSKI
SPECJALISTA
paraescue jumper
(PJ) chociaż zajmuje
się ratowaniem
życia, jest wyszkolo-
ny na poziomie
wojsk specjalnych.

EWA KORSAK

MISJE DLA SUPERMENÓW

Tu liczą się czas, dobry plan i trafne decyzje. Kiedy żołnierze wykonujący misje combat search and rescue ratują komuś życie, nierzadko narażają własne.

W Polsce misje combat search and rescue, czyli ewakuowania rozbitków, wykonuje 2 Eskadra Śmigłowców, wchodząca w skład 56 Bazy Lotniczej z Inowrocławia.

„Spełniamy natowskie wymagania dotyczące planowania i prowadzenia misji odzyskiwania personelu”, mówi ppłk pil. Piotr Kowalski, dowódca Eskadry. Dłatego kilka tygodni temu żołnierze Bazy wzięli udział w szkoleniu specjalistycznym – „Frozen Fury '17”. Towarzyszyli im Amerykanie z 57 Eskadry Ratowniczej – specjaliści od odzyskiwania personelu. Każde zadanie, które mieli wykonać, opierało się na innym scenariuszu, ale cel był ten sam – ewakuować rozbitków, którzy znaleźli się na terenie przeciwnika. Do izolacji personelu może dojść w różnych okolicznościach: dwóch pilotów katapultowało się z samolotu, który miał awarię, samolot z dziennikarzami na pokładzie musiał awaryjnie wylądować na terenie przeciwnika albo po prostu żołnierz odłączył się od swojego oddziału. W każdym z takich wypadków trzeba rozpocząć misję ratowniczą (personnel recovery – PR).

WYŚCIG Z CZASEM

Scenariusz szkolenia „Frozen Fury” przewidywał, że z uszkodzonego samolotu katapultuje się dwóch pilotów. Jednemu z nich udało się nawiązać utajniony kontakt z macierzystą Bazą dzięki specjalnej radiostacji ratowniczej, w którą jest wyposażony każdy lotnik. „Możliwe jest śledzenie prawie każdego jego kroku za pomocą sieci satelitarnej”, wyjaśnia ppłk Piotr Kowalski. „Dzięki temu specjaliści w Bazie szybko mają dokładne dane o tym, gdzie w danej chwili znajduje się rozbiłec”.

Gdy do Bazy trafia powiadomienie o zdarzeniu, zaczyna się wyścig z czasem. Nad planem ewakuacji pracuje zespół zadaniowy (personnel recovery task force – PRTF). To około 30 osób, więc można powiedzieć, że to

**CO JEST
NAJWAŻNIEJ-
SZE PODCZAS
OPERACJI
COMBAT
SEARCH AND
RESCUE?
OCALIĆ ŻYCIE**

minijednostka przygotowująca plan misji i zajmująca się odzyskaniem rozbitka. Każdy z członków tego grona dołącza do grupy zaangażowanej w kolejne etapy operacji: plan i trasę lotu, łączność, sposób działania w rejonie celu, taktykę naziemną, udzielenie pomocy medycznej. Opracowanie planu trwa od czterech do sześciu godzin. „Czas ma tu duże znaczenie, bo przeważnie im dłużej rozbiłec przebywa w odosobnieniu, tym bardziej komplikuje się plan działania. A szanse bezpiecznego odzyskania go z wykorzystaniem metod wojskowych maleją”, przyznaje ppłk Kowalski. Za całość operacji jest odpowiedzialna osoba, która

kieruje przygotowaniem, akceptuje i zgrywa plany działania stworzone przez poszczególne osoby lub zespoły. To rescue mission commander – RMC. Do miejsca, w którym znajduje się rozbiłec, zostaje wysłana grupa ratunkowa. Jej skład zależy od konkretnego zadania, ale obowiązkowymi elementami są śmigłowce ratownicze (rescue vehicle), śmigłowce i samoloty osłony (rotary wing escort, fixed wing escort), a także samoloty, które osłaniają akcję i są odpowiedzialne za ewentualną walkę w powietrzu z maszynami przeciwnika (rescue combat air patrol).

SPECJALIŚCI OD RATOWANIA

Pododdział, który ma znaleźć rozbitka, potwierdzić jego tożsamość i przetransportować do miejsca, skąd całą grupę podejmie śmigłowiec (extraction forces) jest na pokładzie śmigłowca ratowniczego. Ten zespół również ➔

WOJSKOWI MISJE PRZEDZIAŁ NA CZTERY ZASADNICZE RODZAJE

SAR (search and rescue) – poszukiwania rozbitka w środowisku znanym i przyjaznym, jedyne bariery do pokonania to niekorzystna pogoda czy ukształtowanie terenu. Ratowana osoba nie musi mieć za sobą szkolenia SERE (survival, evasion, resistance, escape) ani współpracować z siłami ratującymi – ważne jest tylko nawiązanie łączności, podanie położenia i oczekiwanie na pomoc.

CR (combat recovery) – misje odzyskiwania nieprzeszkolonych osób, przebywających na terenach objętych konfliktem.

CSAR (combat search and rescue) – misję wykonuje się, gdy na terenie objętym konfliktem zbrojnym ratuje się rozbitka przeszkolonego, znającego procedury, wyposażonego w zestaw ratunkowy.

NAR (non-conventional assisted recovery) – misje prowadzone przez wojska specjalne, choć biorą w nich udział także osoby z innych służb specjalnych. Takie działania często są połączone z operacją bezpośredniego odbijania zakładników.



W ćwiczeniach „Frozen Fury” specjaliści PJ podzieliли się swoim doświadczeniem z polskimi żołnierzami.

udziela pomocy medycznej. W amerykańskiej 57 Eskadrze Ratowniczej tworzą go pararescue jumper (PJ) oraz dowodzący nimi CRO (combat rescue officer). To specjaliści od ratowania życia, ale wyszkoleni na poziomie wojsk specjalnych: są spadochroniarzami, nurkami, wiedzą, jak przetrwać w ekstremalnych warunkach. Aby zostać jednym z nich, trzeba przejść niezwykle trudne szkolenie, które trwa aż dwa lata. Kończy je zaledwie 10% kandydatów. O tym kursie mówi się, że jest jak szkoła dla supermenów, bo misje, które wykonują specjaliści PJ w armii, są jak wyjęte z komiksu o takich bohaterach.

W szkoleniu „Frozen Fury” specjaliści PJ podzieliли się swoim doświadczeniem z polskimi żołnierzami. „To było cenne spotkanie. Koledzy z 57 Eskadry Ratowniczej są praktykami, rzemieślnikami, mają bardzo duże doświadczenie, zdobywane przez lata w realnych warunkach”, wyjaśnia por. Jacek Soroczyński, dowódca sekcji ratownictwa medycznego 2 Eskadry Śmigłowców. „Szczególnie cenne okazały się patenty, które »sprzedali« nam Amerykanie. Mamy podobny sprzęt, ale oni

wiedzą, jak wykorzystać go w 110%”, przyznaje Soroczyński. „Na przykład nasze rolowane SKED. Oczywiście wiemy, jak ich używać, wielokrotnie to robiliśmy na naszych szkoleniach, ale specjaliści PJ pokazali nam, jak wykorzystywać linki i taśmy w niestandardowy, ale skuteczny sposób. Niezwykle przydatne były też wspólne zajęcia na temat metod wydobywania rozbitków z wraków statków powietrznych”, dodaje żołnierz.

POLSKA WERSJA

W Polsce część zadań amerykańskich PJ-ów wykonują ratownicy medyczni i strzelcy pokładowi z 2 Eskadry Śmigłowców. Ratownicy to żołnierze, którzy ukończyli studia na uczelniach medycznych oraz liczne kursy specjalistyczne. „Każdy z nas ma za sobą godziny dyżurów w lokalnym pogotowiu ratunkowym. Najważniejsza jest dla nas praktyka i wymiana doświadczeń z kolegami z innych jednostek, ale też spoza resortu obrony”, mówi por. Jacek Soroczyński. „Moi żołnierze są przeszkoleni m.in. z ratownictwa taktycznego, medycyny lotniczej czy postępowania w zdarzeniach



BARTOSZ BERA

masowych. Potrzebujemy specjalistów, którzy wiedzą, jak postępować w przypadku urazów, bo z takimi obrażeniami będą się spotykać na misji”, dodaje. W 2 Eskadrze oprócz ratowników medycznych są strzelcy pokładowi, stanowiący część pododdziału extraction forces. Oni również mają na swoim koncie kursy kwalifikowanej pierwszej pomocy. Nie wykonują wszystkich zabiegów medycznych, jak ratownicy medyczni, ale są dobrze przygotowani do asystowania przy nich, co jest istotne w tak małych zespołach.

W ŚRODKU KONFLIKTU

Na zimowym szkoleniu zespół extraction forces desantował się ze śmigłowców w miejscu, w którym miał przebywać rozbitek. W taki sam sposób przeprowadzono by misję w rzeczywistości. Po odnalezieniu pilota dokonuje się identyfikacji (podczas całej operacji robi się to wielokrotnie, by załoga ratownicza miała pewność, że nikt nie podszywa się pod żołnierza). Członkowie zespołu zadają pytanie, na które rozbitek podał odpowiedź w specjalnej ankiecie przed wyjazdem na operację. „Mamy też zdjęcie

żołnierza”, dodaje por. Jacek Soroczyński. Po pozytywnej identyfikacji ratownicy udzielają pomocy medycznej rozbitekowi, jeśli tego potrzebuje. Mają przy sobie sprzęt niezbędny do zaopatrzenia urazów – szyny, różnego rodzaju opatrunki i 47 rodzajów leków, w tym przeciwbólowe.

Potem następuje ewakuacja – poszkodowanego układa się na noszach rolowanych SKED i przenosi do śmigłowca. W-3PL Głuszc, który został wykorzystany do wykonania zadania we „Frozen Fury”, jest wyposażony jak ambulans. „Mamy na pokładzie m.in. defibrylator, kardiomonitor, respirator i ssak. Pod względem wyposażenia śmigłowiec został dopracowany w każdym szczególe, np. nad głowami mamy nawet zaczepy do kroplówek. Jak widać, głuszc jest znakomicie przygotowany do transportu rannego”, wyjaśnia Soroczyński. Na pokład maszyny można zabrać dwóch pacjentów leżących i zespół ratowników. Jeśli rozbiteków jest więcej, część żołnierzy wraca na pokładzie jednego ze śmigłowców osłony. Taki scenariusz przewidziano zresztą we „Frozen Fury”. Izolowany personel stanowili lotnicy i medycy, którzy po katastrofie samolotu znaleźli się na terenie wroga. Kiedy ich odnaleziono, zostali przetransportowani głuszcem, a pododdział wojsk specjalnych zabezpieczający strefę lądowania wrócił śmigłowcami osłony. Inny scenariusz „Frozen Fury” zakładał z kolei, że jeden z rozbiteków nie przeżył. „Jeśli tak się dzieje, zawsze transportujemy ciało. Nie zostawiamy swoich”, mówi Soroczyński.

W każdym takim zadaniu liczy się przede wszystkim czas. „Jesteśmy małym zespołem, który nie ma dużej siły ognia. Dlatego tak ważne jest, żeby ograniczyć przeciwnikowi czas na reakcję”, wyjaśnia Soroczyński. Ten pośpiech wynika też z innych czynników. „Ogranicza nas również ilość paliwa w śmigłowcach, które na nas czekają i są naszym głównym wsparciem”, mówi medyk. To gdzie i ile czasu czeka śmigłowiec, zależy od planu. Może się przecież zdarzyć, że rozbitek nie będzie w ustalonym miejscu. Po kilkunastu minutach poszukiwań wraca się wtedy do bazy lub szuka do skutku.

Medycy ze spokojem opowiadają o swoich zadaniach, ale żeby zrozumieć, z jak trudnymi i wyczerpującymi misjami mają do czynienia, wystarczy obejrzeć film dokumentalny „Inside Combat Rescue”, który pokazuje służbę specjalistów PJ w Afganistanie. Ewakuacja rannego to nieustanny wyścig z czasem. W niemal samym środku konfliktu albo dosłownie kilkanaście metrów dalej medycy zakładają opatrunki, podłączają kroplówki, podają odpowiednie leki. W działaniu ratowników nie ma paniki, widać, że zachowują zimną krew. Po wykonanej operacji jest czas na krótkie refleksje. Jeden z żołnierzy pytany o to, co jest najważniejsze podczas operacji combat search and rescue, odpowiada: ocalić życie. ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Zawsze blisko

Lubelska brygada obrony terytorialnej jest jeszcze w fazie tworzenia, a już budzi wielkie zainteresowanie.

Koszary przy ulicy Kruczkowskiego, gdzie mieści się batalion dowodzenia Wielonarodowej Brygady, dzieli od centrum miasta kilka kilometrów. Tu znalazła siedzibę także 2 Lubelska Brygada Obrony Terytorialnej. W dwóch trzypiętrowych budynkach mieści się jej dowództwo oraz 23 Batalion OT, jeden z pięciu, które powstaną na Lubelszczyźnie. Do służby w nowym rodzaju wojsk zgłosiło się tutaj już 760 ochotników. Każdego dnia dochodzą kolejni. Chętnych jest więcej niż miejsc.

BATALiony W GOTOWOŚCI

W sierpniu 2016 roku dowództwo nad 2 Lubelską Brygadą Obrony Terytorialnej objął płk Tadeusz Nastarowicz. Pod jego rozkazami w Lublinie będzie służyć tysiąc żołnierzy wojsk obrony terytorialnej oraz ponad setka kadry podoficerskiej i oficerskiej. „Kończy się proces formowania Brygady, pozyskiwania sprzętu wojskowego i dostosowywania do naszych potrzeb niezbędnej infrastruktury”, mówi pułkownik.

Wojskowi, którzy zgłosili się do pracy w jednostce, pochodzą głównie z wojsk operacyjnych, choć wielu z nich to żołnierze rezerwy. Chętni do pododdziałów są najczęściej cywilami (wielu wywodzi się z organizacji proobronnych), ale niektórzy też żołnierzami narodowych sił rezerwowych. „Trudno przewidzieć, ilu z nich zostanie z nami sześć lat, bo tyle maksymalnie będzie wynosił kontrakt. Część pewnie odejdzie wcześniej, ale mam nadzieję, że dzięki ciekawemu szkoleniu na ten krok zdecydują się tylko nieliczni”, stwierdza płk Nastarowicz.

Nadzieje pułkownika mogą się spełnić, bo na Lubelszczyźnie są silne tradycje patriotyczne. „Tu zawsze była Polska, ale historia nas nie

oszczędzała. Mamy wiele miejsc pamięci związanych z walkami o wolność – od powstania styczniowego, przez rok 1918, wojnę z bolszewikami, Wrzesień '39, aż po zmagania żołnierzy polskiego podziemia”, podkreśla dowódca. Dlatego dla wielu ochotników ważne jest złożenie wojskowej przysięgi. Robili tak ich dziadkowie i ojcowie, a oni nie mają takiej możliwości, odkąd zniesiono obowiązkową służbę wojskową. Ci młodzi ludzie czują, że mają powinność bronić swojej małej ojczyzny. „Nie bez przyczyny nasza Brygada dziedziczy tradycje 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK”, podsumowuje płk Nastarowicz.

Batalion w Lublinie niemal w całości został już sformowany. „Mamy broń i niezbędne wyposażenie. Instruktorzy przeszli kurs w Lublińcu i mogą prowadzić szkolenia”, wtrąca pułkownik. W tym roku gotowość do uczestniczenia w nich osiągną pozostałe bataliony: w Zamościu, Chełmie, Dęblinie i Białej Podlaskiej, a w 2018 roku rozpoczną szkolić ochotników. W skład zamojskiego, chełmskiego i bielsko-podlaskiego batalionu wejdzie po pięć kompanii, o jedną mniej będzie miał batalion dębliński.

Zadania postawione przed żołnierzami obrony terytorialnej płk Nastarowicz dzieli na trzy grupy, ale podkreśla, że mają one wspólny mianownik: to wsparcie i obrona lokalnych społeczności. W czasie pokoju żołnierze będą się głównie szkolić. W okresie kryzysu lubelska OT, w myśl zasady „zawsze blisko, zawsze razem”, będzie wspierać władze w usuwaniu skutków klęsk żywiołowych oraz brać udział w akcjach ratowniczych. Gdy wybuchnie konflikt, żołnierze OT będą współdziałać z wojskami ope-

WOJCIECH ROWIŃSKI/SEKCJA SPORTOWO-OBRONNA PRZY ZWIĄZKU ŻOŁNIERZY NSZ (2)



JEDNI MÓWIA, ŻE POCIĄGA ICH MUNDUR, INNI CHCĄ KONTYNUOWAĆ RODZINNE TRADYCJE, ALE WSZYSCY SĄ ZGODNI, ŻE O SVOJE BEZPIECZEŃSTWO MUSIMY ZADBAĆ SAMI, NIE JEST ONO DANE NAM RAZ NA ZAWSZE

racyjnymi. „Wyciągamy wnioski z historii. Teraz także naszą przewagą jest doskonała znajomość terenu. Dlatego jest tak ważne, aby w składzie poszczególnych batalionów znaleźli się żołnierze pochodzący z każdego powiatu. Dla przeciwnika będziemy ością w gardle, nie damy mu swobody działania”, zapowiada dowódca.

REKRUTACJA, CZYLI KONKURS

Chętni, którzy chcą wstąpić do wojsk obrony terytorialnej, kierują pierwsze kroki do wojskowej komendy uzupełnień. Mjr Andrzej Stachyra, szef Wydziału Rekrutacji w WKU w Lublinie, mówi, że wśród kandydatów przeważają żołnierze rezerwy oraz członkowie organizacji i stowarzyszeń proobronnych. Pierwsi ochotnicy zgłosili się w marcu 2016 roku, gdy minister Antoni Macierewicz ogłosił, że powstaną wojska OT. „Wtedy jednego dnia do WKU przyszło ponad sto osób. Do ich obsługi musieliśmy zaangażować wszystkich pracowników naszego wydziału”, wspomina major.

Na początku lutego 2017 roku w bazie lubelskiego WKU było zarejestrowanych 760 chętnych do wstąpienia w szeregi OT (z Lublina i sześciu okolicznych powiatów). To osoby w różnym wieku i z różnym wykształceniem. Ponad połowa kandydatów ma 21–40 lat, choć zdarzają się starsi. Najmłodszy ochotnik urodził się w 1999 roku, najstarszy (porucznik rezerwy) – w 1956 roku. Wśród chętnych jest 60 kobiet (9%), m.in. Paulina, uczennica szkoły średniej. Zgłosiła się, choć wie, że będzie mogła złożyć wniosek dopiero wtedy, gdy skończy 18 lat. Połowa przychodzących do WKU należy do organizacji proobronnej, 346 kandydatów to żołnierze rezerwy, w tym: oficerów jest 25 (najwyższy stopień to podpułkownik), podoficerów – 124, reszta, czyli 193 osoby, to szeregowi.

Nabór prowadzą także WKU w Białej Podlaskiej, Chełmie, Zamościu i Puławach. Łącznie w województwie w bazach wszystkich wojskowych komend uzupełnień znalazło się już ponad 1650 osób. Statystyki się zmieniają, bo każdego dnia zgłasza się kilku, kilkunastu chętnych.

„Czekamy na ogłoszenie rozporządzenia ministra obrony w sprawie szczegółowego trybu powoływania do terytorialnej →

WOJSKOWI, KTÓRZY ZGŁOSILI SIĘ DO PRACY W BRYGADZIE, POCHODZĄ GŁÓWNI Z WOJSK OPERACYJ- NYCH, CHOĆ WIELU Z NICH TO ŻOŁNIERZE REZERWY

służby wojskowej. Gdy wejdzie w życie, rozpocznie się postępowanie rekrutacyjne. Rozmowy kwalifikacyjne z kandydatami będzie prowadzić kilkuosobowa komisja, w skład której wejdą przedstawiciele 2 Lubelskiej Brygady Obrony Terytorialnej i WKU w Lublinie. Nabór będzie miał charakter konkursowy i zostaną wybrane osoby z odpowiednim wykształceniem, najlepszymi kwalifikacjami i umiejętnościami”, tłumaczy mjr Andrzej Stachyra. Atutem mogą być m.in. posiadanie prawa jazdy kategorii C, C+E i D, uprawnienia nurka, pletwonurka, skoczka spadochronowego, operatora maszyn drogowych i ziemnych oraz specjalistyczna wiedza, jaką mają np. informatycy, ratownicy i łącznościowcy. Co do zasady będą przyjmowani kandydaci z kategorią A. W szczególnie uzasadnionych przypadkach (wyjątkowe specjalności) nie wykluczamy odejścia od tej zasady. Dodatkowe punkty można także otrzymać m.in. za sportowe osiągnięcia i znajomość obcego języka. Podczas rozmów z kandydatami na żołnierzy OT mjr Stachyra zamierza zadać im kilka pytań: „Dlaczego chcesz służyć w wojskach obrony terytorialnej? Co wiesz na temat WOT? Jakie masz dodatkowe kwalifikacje i predyspozycje, aby zostać żołnierzem?”.

KANDYDACI NA ŻOŁNIERZY

Media podają informacje o dużym zainteresowaniu wojskami obrony terytorialnej. Wspominają o kolejkach w WKU i profitach czekających przyszłych żołnierzy. Rzadziej – o motywacji. A ta na Lubelszczyźnie odgrywa dużą rolę. „Wzorem są dla nas żołnierze wyklęci”, deklaruje Karol Wołek, prezes Zarządu Głównego Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych. Z 20-osobowej sekcji sportowo-obronnej, która przy nim działa, połowa chce służyć w OT. Wielu pierwsze szlify zdobywało w polowych drużynach sokolich, ochotniczej organizacji paramilitarnej działającej w ramach Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”.

Wojciech Rowiński, Marcin Dzieniewski i Marcin Mańka, członkowie sekcji sportowo-obronnej przy Związku Żołnierzy NSZ, zgłosili się do OT, bo „to ich obowiązek”, bo „ktoś musi bronić domu”, bo „o swoje bezpieczeństwo musimy zadbać sami, nie jest ono dane nam raz na zawsze”. Zgodnie twierdzą, że „warto też mieć umiejętności, które pozwolą przeżyć w trudnych warunkach”. Dlatego wraz z kolegami z sekcji spędzają dwa weekendy w miesiącu w podlubelskich lasach na szkoleniu prowadzonym przez byłych żołnierzy jednostek specjalnych. Poznają tajniki czarnej i zielonej taktyki. Marcin

Dzieniewski uważa, że pogodzi służbę z pracą, bo jest kierowcą. Wojtek Rowiński chciałby trafić do jednostki szybkiego reagowania. Nie wyklucza, że w przyszłości przejdzie do armii zawodowej. Jedni mówią, że pociąga ich mundur, inni chcą kontynuować ro-

dzinne tradycje. W wielu wypadkach patriotyzm zaszczerpił wnukowi dziadek, który walczył w partyzancie podczas II wojny światowej.

Damian Duda jest historykiem sztuki, ale jak żartuje, zawsze było mu po drodze z historią wojskowości. Jest wiceprezesem Legii Akademickiej, największej lubelskiej organizacji proobronnej, z której ponad 80 członków zgłosiło się do wojsk obrony terytorialnej. Zapewne część będzie szukać potem miejsca w armii zawodowej. „Konstytucja RP stanowi, że każdy obywatel ma obowiązki obrony kraju. Traktuję ten zapis dosłownie – jako powinność każdego mężczyzny i jako spuściznę naszych dziadków i ojców”, mówi Damian Duda i opowiada o silnych partyzanckich tradycjach w jego rodzinnym domu, w którym w czasie II wojny światowej działała komórka kontaktowa Batalionów Chłopskich. Zgłoszenie się do OT było dla niego naturalną kolejną rzeczą. „Mogę się realizować zawodowo jako nauczyciel akademicki, a równocześnie wspierać system obrony ojczyzny”, dodaje. Damian ma m.in. uprawnienia instruktora pierwszej pomocy medycznej oraz medycyny pola walki. Tak też widzi swoją przyszłość w OT, choć liczy się z tym, że może dostać inny rozkaz.

Konrad Dziekanowski, także członek Legii, działa w tej organizacji od ośmiu lat. Pracuje jako logistyk w prywatnej firmie oraz jako nauczyciel edukacji wojskowej. Skończył kurs instruktora medycyny pola walki i kurs wsparcia cyberinformatycznego OT. Jest dobrym łącznościowcem, zna systemy wsparcia pola walki i kierowania ogniem. Teraz chciałby służyć jako ratownik medycyny pola walki, ale nie wyklucza innych specjalności, np. chętnie pilotowałby drony.

PRZYSIĘGA NA STARÓWCE

Żołnierze obrony terytorialnej, którzy wcześniej nie pełnili służby wojskowej, zostaną skierowani na 16-dniowe szkolenie podstawowe. Zanim dowódca jednostki (brygady lub batalionu) wyznaczy ich na poszczególne stanowiska, złożą przysięgę. „Prawdopodobnie uroczystość ta odbędzie się na lubelskiej Starówce. Chcemy, by społeczeństwo czuło z nami więź, utożsamiało się z ideą WOT-u, która ma głębokie korzenie w lokalnej społeczności”, mówi płk Tadeusz Nastarowicz. ■

PLUT. PCHOR. MICHAŁ KOŚLA


Data i miejsce urodzenia:

9 kwietnia 1993 roku,
Radom.

W wojsku służy od: 2014 roku.

Tradycje wojskowe: w wojsku służy także mój brat. Mam nadzieję, że to początek wielopokoleniowej tradycji.

Edukacja wojskowa: w latach 2014–2017 Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych im. gen. Tadeusza Kościuszki, specjalność wojska zmechanizowane.

Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś: zawodnikiem, a następnie trenerem zapasów.

Zajmowane stanowisko: słuchacz Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych im. gen. Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu.

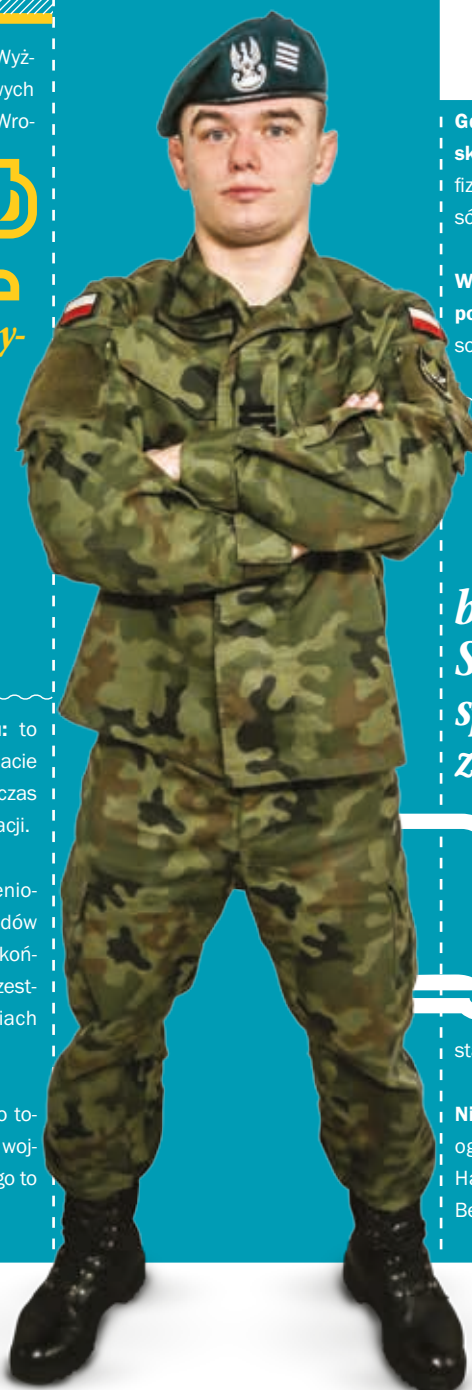


Moje największe osiągnięcie: w 2012 roku zdobyłem III miejsce w mistrzostwach Europy juniorów w zapasach, a w 2014 roku I miejsce w wojskowych mistrzostwach Polski w judo.

Przełomowe wydarzenie w życiu: to 2002 rok i mój pierwszy trening na macie zapasniczej. Odkryłem w sobie wówczas miłość do sportów walki oraz rywalizacji.

Misje i ćwiczenia: program szkoleniowy w WSOWL nie przewiduje wyjazdów na misję, ale mam nadzieję, że po ukończeniu szkoły będę miał szansę uczestniczyć w wielu ciekawych ćwiczeniach oraz misjach.

Najlepsza broń: karabinek Beryl, bo towarzyszy mi od pierwszego dnia w wojsku, ale też Sako, bo strzelanie z niego to czysta przyjemność.



Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: zaostriżylbym rygory z wychowania fizycznego oraz zwiększyłbym liczbę kursów doszkalających.

W umundurowaniu polskiego żołnierza podoba mi się: to, że każdy może dostosować strój do własnych potrzeb.

Co robię po służbie: trenuję zapasy, ale także biegam i pływam. Sporo czasu spędzam też z narzeczoną.


Moja książka życia:

„Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza. W pamięci utkwiła mi zwłaszcza postać Michała Wołodyjowskiego.

Niezapomniany film: bez końca mogę oglądać „1408” w reżyserii Mikaela Håfströma oraz „Ocalonego” Petera Berga.

OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
FOT. PIOTR SZCZEPAŃSKI/WSOWL



MICHAŁ ZIELIŃSKI

MICHAŁ ZIELIŃSKI

TEST

przed Orzyszem

Kawalerzyści z amerykańskiego 2 Pułku przeszli certyfikację na poligonie w Grafenwöhr. To był dla nich ostatni sprawdzian przed służbą w korytarzu suwalskim.

Na leśnej drodze nagle pojawiają się sylwetki żołnierzy. Pojedynczo pokonują oni kilka metrów odsłoniętej przestrzeni i ponownie znikają w zaroślach. Z ich hełmów i kamizelek taktycznych zwisają białe paski materiału; w podobny sposób mają zamaskowane uchwyty karabinów i celowniki. W plutonie można dostrzec sekcję moździerzy oraz dwóch żołnierzy z charakterystycznymi tubami. Javeliny na plecach nie ułatwiają żołnierzom dojścia na wyznaczone pozycje, ale podczas cięższych starć nikt nie będzie narzekał na dodatkowy ciężar.

Pluton dociera na skraj lasu i na niewielkim wzniesieniu błyskawicznie zajmuje stanowiska. Z tego miejsca może obserwować całą okolicę, w tym odległe o kilkaset metrów pozycje wroga. Żołnierze widzą, że sieć okopów i niewielkich bunkrów została wzmocniona przez czołgi T-62. Spodziewali się takiego widoku, więc bezzwłocznie zaczynają wykonywać swoje zadanie. Sekcje karabinów maszynowych rozkładają stanowiska wzdłuż linii wzniesienia, tuż za ich plecami dwóch specjalistów skręca moździerz. Strzelcy wyborowi lustrują okolicę, a inni żołnierze za pomocą javelinów namierzają ciepło emitowane przez pancerze wrogich pojazdów. Rozpoczyna się kanonada.

Wyglądałoby to jak prawdziwe pole bitwy, gdyby nie widoczne wyprostowane sylwetki instruktorów, którzy śledzą każdy krok ćwiczących. Oceniają sposób ich poruszania się, sprawność działania, celność prowadzonego ognia i komunikację. Egzaminowani są również liderzy

pododdziałów, którzy odbierają rozkazy wydane przez dowódcę skrzydła, ppłk. Stevena E. Gventera, przekazują je i koordynują wykonanie. „Obserwujemy część certyfikacji 2 Skrzydła 2 Pułku Kawalerii Stanów Zjednoczonych. Dziś sprawdzamy przede wszystkim działania piechoty. Celem tych ćwiczeń jest udowodnienie, że jesteśmy przygotowani do pierwszej zmiany międzynarodowego batalionu we wschodniej Polsce. Chcemy pokazać, że w razie konfliktu nic nam nie przeszkodzi, by razem odpowiedzieć na jakąkolwiek agresję. Jeżeli zajdzie taka konieczność, będziemy walczyć do końca”, zdecydowanym tonem tłumaczy podpułkownik. Te słowa mogą budzić niepokój, ale miejsce, w którym będą stacjonować jego żołnierze, wymaga takiej determinacji.

Na przełomie marca i kwietnia amerykańscy kawalerzyści zostaną wysłani do położonego w północno-wschodniej Polsce Orzysza. Zgodnie z ustaleniami podjętymi na zeszłorocznym szczycie w Warszawie sojusz północnoatlantycki zdecydował się na rozlokowanie czterech międzynarodowych batalionów, które mają zapobiec ewentualnej agresji ze Wschodu. Wysunięte siły NATO będą pełnić służbę w najbardziej strategicznych obszarach wschodniej flanki. Kluczowym miejscem jest korytarz suwalski, ponieważ łączy on państwa bałtyckie z resztą sojuszu.

Międzynarodowy batalion będzie liczył około 1150 żołnierzy ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii oraz Rumunii, ale jego trzon to właśnie Amerykanie. Z bazy w bawarskim Vilseck zostanie przerzuconych do ➔

Suwałk ponad 900 żołnierzy z ciężkim sprzętem. Wydzielony komponent znajdzie się w strukturach 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej, co znaczy, że polscy i amerykańscy żołnierze nie tylko będą wspólnie ćwiczyć, lecz także podlegać jednemu dowódcy – gen. bryg. Jarosławowi Gromadzińskiemu.

OCENA ZAGROŻENIA

Po okolicy rozchodzi się głośny, gardłowy krzyk „fire in the hole!”. Żołnierze na moment przerywają ogień i przylegają do ziemi. Natarcie dociera niemal pod samą linię umocnień, ale zostało powstrzymane przez pas zasieków. Saperzy mimo ostrzału rozłożyli jednak ładunki. Następuje głuchoe tąpnięcie, fala uderzeniowa zapiera dech, a w uszach aż dzwoni od huku. Eksplozja wyrzuca w powietrze fontannę śniegu, grud zmarzniętej gleby i kawałków porozrywanych drutów. Zanim zdążą one opaść na ziemię, karabiny maszynowe wznawiają ogień, a sekcje szturmowe ruszają do ataku. Żołnierze podrywają się z zajmowanych pozycji i usiłują pokonać odległość dzielącą ich od linii drzew do pierwszych fortyfikacji. Mimo „zmiękczenia” pozycji wroga przez artylerię oraz zapory ogniowej nie jest to łatwe zadanie. Nogi grzęzną w głębokim śniegu, a na dodatek umocnienia przeciwnika znajdują się na wzniesieniu. Bardzo pomocni okazują się saperzy, którzy najpierw oznaczyli kierunek natarcia, a teraz pomagają kawalerzystom w pokonaniu wysadzonych zasieków.

„W tym momencie sekcje karabinów maszynowych zasypują pobliski bunkier kulami, tak by jego załoga nie mogła odeprzeć szturm. Ogień jest prowadzony bardzo blisko naszych żołnierzy, ale mamy zasadę, która ułatwia ocenę zagrożenia”, tłumaczy sierż. mjr Kevin J. Muhlenbeck, po dowódcy najważniejsza osoba w pułku, który cały czas towarzyszy w polu swoim żołnierzom. W tej chwili wyciąga przed siebie dłoń z wyprostowanymi kciukiem i małym palcem. „Jeżeli kciukiem wyznaczmy strzelających żołnierzy, a grupa szturmowa znajdzie się poza odległością dzielącą go od małego palca, to znaczy, że nie dosięgną ich kule kolegów. W tej odległości to kąt około 15 stopni, a nasze SAW-y [karabiny M249] mają dużo mniejszy rozrzut”, wyjaśnia sierż. mjr Muhlenbeck, który z nieskrywaną satysfakcją obserwuje, jak pierwsi kawalerzyści schodzą do sieci okopów. W labiryncie umocnień rozpoczyna się niebezpieczna gra, która dla każdego żołnierza może się skończyć za najbliższym rogiem.

WYRAZ ZAUFANIA

Działania amerykańskich żołnierzy obserwują nie tylko dowódcy 2 Pułku Kawalerii, lecz także

MICHAŁ ZIELIŃSKI (3)



MIĘDZYNARODOWY BATALION BĘDZIE LICZYŁ OKOŁO 1150 ŻOŁNIERZY ZE STANÓW ZJEDNOCZONYCH, WIELKIEJ BRYTANII ORAZ RUMUNII, ALE JEGO TRZON TO WŁAŚNIE AMERYKANIE



Działania żołnierzy obserwują gen. Frederick „Ben” Hodges, dowódca amerykańskiej armii w Europie, oraz gen. bryg. Jarosław Gromadziński, dowodzący 15 Giżycką Brygadą Zmechanizowaną.



gen. Frederick „Ben” Hodges, dowódca amerykańskiej armii w Europie, oraz gen. bryg. Jarosław Gromadziński, dowodzący 15 Giżycką Brygadą Zmechanizowaną. „Wiele razy spotykaliśmy się z 2 Pułkiem Kawalerii na różnych ćwiczeniach, ale teraz amerykańscy żołnierze staną się częścią brygady. Będziemy musieli nauczyć się współpracować w codziennej rzeczywistości, ujednolicić procedury oraz zbudować wzajemne zaufanie. Takie efekty osiąga się codzienną, ciężką pracą”, przyznaje gen. Gromadziński. Chce, by amerykański komponent stał się spójną częścią dowodzonej przez niego formacji. Na bazie 1 Batalionu Zmechanizowanego Szwolężerów Mazowieckich stworzył zatem grupę bojową, która ma być odpowiednikiem kawalerzystów ze Stanów Zjednoczonych. Generał stawia również na

trening w oddziałach mieszanych, wspierany przez polskich saperów, obronę przeciwlotniczą i artylerię. W ciągu pierwszej zmiany brygada ma być gotowa do użycia jako całość, a kolejne rotacje jedynie zacieśniają polsko-amerykańskie więzy.

Na kilkusetletnią tradycję kontaktów między naszymi krajami zwraca uwagę także gen. Hodges: „Wystarczy przywołać generałów Tadeusza Kościuszkę i Kazimierza Pułaskiego, którzy przybyli do Ameryki i pomogli szkolić naszych żołnierzy do walki o niepodległość. To, co się teraz dzieje, to naturalna kontynuacja tamtych wydarzeń. Amerykańscy żołnierze ponownie trafią pod skrzydła naszego sojusznika. To wyraz zaufania”.

Pierwszym wspólnym testem dla Polaków i Amerykanów będą majowe ćwiczenia „Puma '17”.



ARKADIUSZ DWULATEK

Migawki z Afganistanu

Fotoreporter zespołu reporterskiego
Combat Camera przez kilka tygodni służył
razem z żołnierzami Guardian Angel
w Gamberi.

W bazie Gamberi w Afganistanie, gdzie stacjonują polscy żołnierze, jestem od miesiąca. Żyję w takich samych warunkach jak oni, towarzyszę im w codziennych obowiązkach. Nie mam żadnej taryfy ulgowej. Tak jak oni noszę kamizelkę kuloodporną, hełm, beryla, glocka, a dodatkowo kamerę, aparaty i obiektywy. Jestem wyznawcą zasady „lepiej nosić, niż się prosić”, więc poza „deczwórką” ze standardowo podpiętą „spacerówką” (24–70 mm) lubię mieć w plecaku dodatkowy korpus, ulubiony zoom 70–200, coś szerokiego, no i oczywiście dodatkowo lampę, karty, baterie. Wszystko fajnie, ale w połączeniu z czterdziecią na karku i paroma dodatkowymi kilogramami pod skórą powoduje to, że rowek w tyłku działa jak rynna w deszczowy dzień.

ANIOŁOWIE STRÓŻE

Gamberi jest amerykańsko-polską bazą otoczoną ze wszystkich stron bazą 201 Korpusu Afgańskiej Armii Narodowej. Polski pluton przede wszystkim zajmuje się tam ochroną doradców wojskowych, wykonujących zadania mandatowe w bazie taktycznej Gamberi przy Train Advise and Assist Command East, czyli

Dowództwie Doradczo-Szkoleniowym – Wschód, instruktorów szkolących żołnierzy afgańskich. Wykonywanie tych zadań odbywa się w instytucjach rozmieszczonych na terenie 201 Korpusu, takich jak sąd powszechny, instalacje logistyczne czy szpital polowy. Polacy wykonują także zadania doradcze i mentorskie w szkole podoficerskiej przy 201 Korpusie oraz odpowiadają za organizację kursów specjalistycznych dla podoficerów i oficerów. Przez sześć dni w tygodniu czteroosobowe sekcje wychodzą w teren jako aniołowie stróże doradców i tłumaczy. Piątek natomiast jest dniem świętym dla wyznawców islamu. Przeprowadzane są wtedy treningi strzeleckie, bo pluton jest współodpowiedzialny również za ochronę całej bazy, pełni dyżury jako siły szybkiego reagowania (Quick Reaction Force – QRF) oraz w połączonym centrum operacji 201 Korpusu (Joint Operation Center – JOC).

Każdy mój dzień w tym miejscu wygląda niemal tak samo. Każdego ranka muszę najpierw znaleźć w sobie siłę, żeby wstać. I to wcale nie dlatego, że jestem śpiochem, ale ze względu na miejsce, które chłopaki przygotowali mi „na gałęzi”, na dodatek tuż przy klimatyzatorze. Po tem wszyscy zaliczamy poranną toaletę, wbi-ja-

**ST. CHOR. SZTAB.
MAR. ARKADIUSZ
DWULATEK** jest
członkiem zespołu
reporterskiego
Combat Camera
Dowództwa Opera-
cyjnego Rodzajów
Sił Zbrojnych.



ARKADIUSZ DWULATEK / COMBAT CAMERA DORSZ (3)



TRIP TICKET

OSTATNIE USTALENIA
DOWÓDCY SEKCJI
Z DORADCAMI.
TRIP TICKET SPRAW-
DZONY – MOŻNA
OPUŚCIĆ BAZĘ.

my się w mundury i małymi grupkami idziemy na śniadanie do DFAC (dining facility). Najczęściej wybieram owsiankę z syropem klonowym, omlet z warzywami i stertą owoców. Czasem pozwolę sobie na hash browns, czyli starte ziemniaki smażone na głębokim tłuszczu, które idealnie zastępują tu nasze placki ziemniaczane. Nawet

w kraju tak zdrowo i regularnie się nie odżywiam. W drodze powrotnej zatrzymuję się przy tablicy, na której są rozpisane godziny wyjść poszczególnych sekcji oraz miejsca docelowe. Codziennie parę sekcji wychodzi do różnych zadań. Wybieram wtedy ekipę, z którą konkretnego dnia wychodzę na robotę. Na kwadrans przed wyznaczoną →



Moja „gałąź” przy klimie, czyli miejsce odpoczynku oraz stanowisko pracy.

godziną zbieramy się pod bichatą w „pełnej zbroi” i idziemy pod BDOC (Base Defence Operations Center). Dowódca sekcji pobiera tzw. trip ticket, czyli dokument upoważniający do opuszczenia bazy, i sprawdza zgodność zawartych w nim danych ze stanem faktycznym: „Wszystko w porządku – dzieje są [GA – Guardian Angels], doradcy są, tłumacz jest. No to idziemy załadować broń”. Każde wyjście poza bazę odbywa się w kamizelkach kuloodpornych, hełmach i z załadowaną bronią.

Nad jej poprawnym załadowaniem i rozładowaniem czuwa dowódca sekcji. W zależności od odległości oraz liczby osób idziemy lub jedziemy opancerzonym SUV-em albo MRAP-em. Praca chłopaków polega na bezpiecznym przeprowadzeniu ochraniających osób do miejsca docelowego, czuwaniu nad nimi w trakcie wykonywania zadań i zapewnieniu bezpiecznego powrotu do bazy. Każda wyprawa kończy się meldunkiem do BDOC.

Wracamy do bichaty, zrzucamy z siebie kamizelki, wykręcamy bluzy z potu i idziemy na zasłużony posiłek. Wieczory wyglądają tak samo: wdrapuję się „na gałąź”, zrzucam foty do laptopa, robię ich selekcję i wybrane obrabiam. Niekiedy wspólnie z żołnierzami przeglądamy zdjęcia z typową wojskową „szyderą”. Te oczywiście nie są do publikacji. „Dzieje”, czyli guardiani, ten czas spędzają na różne sposoby. Jedni biegają, inni idą na siłownię, a jeszcze inni każdą wolną chwilę poświęcają na rozmowę z rodziną przez telefon lub skype’a.

Zdarzają się jednak mniej przyjemne wieczory, kiedy słyszymy ryk syreny ogłaszającej atak raketowy na bazę. Kiedy słyszymy ten dźwięk, w ciągu sekundy wszyscy leżymy na podłodze jak perskie dywaniki, z rękoma osłaniającymi głowę. Po uderzeniu rakiety każdy w mgnieniu oka podrywa się z podłogi, wkłada kamizelkę i hełm, łapie za broń i wybiega na swoje stanowisko. Wszyscy doskonale wiedzą, co mają robić. Osoby niezaangażowane w ochronę bazy (tak jak ja) biegną do najbliższego schronu. Po pewnym czasie dostajemy informację o kolejnej rakiecie. Chwilę później z głośników pada wyczekiwane: all clear. Zagrożenie minęło, można wracać. Na szczęście tym razem nikomu nic się nie stało, a takie wieczory należą do rzadkości.

BYŁEM JEDNYM Z NICH

Wyjazd do TB Gamberi miał trwać około tygodnia, ale na miejscu stwierdziłem, że w kilka dni nie da się pokazać tego, co robią tam nasi żołnierze. Zdobycie ich zaufania wymagało czasu. Każde wyjście z nimi uczyło mnie czegoś nowego. Wielu jest ode mnie sporo młodszych, zarówno stażem służby, jak i wiekiem, ale od każdego czegoś się nauczyłem. Większość to doświadczeni żołnierze ze sporym dorobkiem misyjnym. Żołnierze na misji to bardzo hermetyczne środowisko specjalistów, w które ciężko się wbić. Mam nadzieję, że mnie się udało. Z tą myślą powoli się pakuję i zbieram do kraju. ■

Ekskluzywne śniadanie na kartonie. Owsiance smak trzeba było dopiero nadać – owocami lub np. syropem klonowym.





W TEREN IDZIEMY NA PIECHOTĘ
LUB JEDZIEMY OPANCERZONYM
SUV-EM ALBO MRAP-EM. WSZYST-
KO ZALEŻY OD ODLEGŁOŚCI ORAZ
LICZBY OSÓB



OCHRONA DORADCÓW JEST GŁÓWNYM ZADANIEM PLUTONU GUARDIAN ANGELS



MARCIN GÓRKA

NA LINII OGNIA

Scenariusze konfliktu, do jakiego mogłoby dojść na wschodniej flance państw NATO, ćwiczą przez miesiąc na drawskim poligonie.

W manewrach „Bison Drawsko '17” wzięło udział 4,5 tys. żołnierzy z różnych państw. Trzon tych sił stanowiło 3,5 tys. Holendrów z 43 Brygady Zmechanizowanej. „To największe ćwiczenia, w których nasza brygada uczestniczy od 15 lat”, podkreślił gen. bryg. Jan Swillens, dowódca tej jednostki i jednocześnie całych manewrów. „Oczywiście prowadzimy wiele operacji i nasi żołnierze są teraz na misjach w Iraku, Mali czy Afganistanie, ale w Holandii jest za mało miejsca, by przeprowadzić ćwiczenia na taką skalę na poziomie brygady. Drawsko jest pod tym względem idealne”, dodaje.

Oprócz Holendrów w manewrach brały udział oddziały z sześciu innych państw NATO: Polski, USA, Niemiec, Kanady, Estonii i Belgii. Zaangażowanych było 600 Polaków, głównie żołnierzy z 12 Brygady Zmechanizowanej oraz z 9 Brygady Kawalerii Pancernej, piloci z 1 i 2 Skrzydła Taktycznego oraz pododdziały przeciwlotnicze. Oprócz nich – 150 Niemców, 50 Kanadyjczyków, 250 Amerykanów, 50 Estończyków i 30 Belgów. Mieli oni do dyspozycji kilkaset sztuk sprzętu, bo na poligonie drawskim pojawiły się m.in. holenderskie kołowe

Holenderska piechota w okopach szykuje się do odparcia ataku sił Tarantiny.

MARCIN GÓRKA / MGPR (4)





BUDOWA PRZEPRAWY MOSTOWEJ była sprawdzianem dla międzynarodowych oddziałów inżynierskich. Mimo mrozu udało się przeprowadzić leopardy, rosomaki i ciężarówki.

„BISON DRAWSKO” TO JEDNE Z NAJWIĘKSZYCH MANEWRÓW, KTÓRE ODBYWAJĄ SIĘ W TYM ROKU W POLSCE. WZIĘLI W NICH UDZIAŁ ŻOŁNIERZE Z POLSKI, HOLANDII, NIEMIEC, USA, KANADY, BELGII I ESTONII

KAPITAN JOE ROBERTS

dowódca amerykańskiej baterii paladinów



transportery opancerzone Boxer (20 sztuk) i polskie transportery opancerzone Rosomak (ponad 20), holenderskie bojowe wozy piechoty CV90 (30), niemieckie czołgi Leopard 2A6 (8) i polskie PT-91, pojazdy rozpoznawcze Fennek (100), armatohaubice Panzerhaubitze 2000 (9) i amerykańskie samobieżne haubice Paladin (12).

TARANTINA ATAKUJE!

„W ostatnich latach sytuacja na świecie staje się coraz mniej stabilna”, stwierdził w czasie ćwiczeń gen. Swillens. „Dlatego ważne jest, abyśmy się szkolili na międzynarodowym poziomie. Musimy trenować współpracę z sojusznikami, tak żebyśmy byli →

gotowi na odpowiedź na pojawiające się zagrożenia. Razem jesteśmy silniejsi”. „Bison Drawsko '17”, choć zostały oparte na hipotetycznym scenariuszu, dotyczą zagrożeń, które mogą się pojawić na terenie Europy Środkowo-Wschodniej i państw bałtyckich. Tym razem założono, że doszło do konfliktu między dwoma państwami. Teutonia była w przeszłości republiką Tarantiny i teraz ta zgłosiła pretensje do części niegdyś podległego sobie terytorium. Rozmowy dyplomatyczne nie przebiegły pomyślnie i po serii prowokacji doszło do otwartego konfliktu zbrojnego. W skład wojsk Teutonii weszli żołnierze z Holandii, USA, Kanady, Polski, Niemiec, Belgii i Estonii. Najeźdźców z Tarantiny natomiast odgrywała holenderska kompania wspomagana m.in. przez polskie śmigłowce.

GENERAŁ MRÓŻ

Kiedy doszło do otwartego konfliktu i siły Tarantiny zajęły część terenów Teutonii, alianci przystąpili do kontrataku. Na linię frontu wyjechały niemieckie czołgi Leopard 2A6, które pod osłoną nocy przepłynęły się przez Drawę pontonowym mostem typu SRB (Standard Ribbon Bridge), zbudowanym przez holenderskie wojska inżynieryjne. Jednocześnie Holendrzy wzmocnili drugi most na rzece, tak by mógł służyć aliantom jako stała przeprawa. Nie obyło się jednak bez przeszkód – pojawił się odwieczny wróg żołnierzy, czyli „generał mróz”. Po deszczowym dniu w nocy zamrzły stalowe elementy mostu, co znacznie utrudniło działanie saperom.

Po przeprawie siły Teutonii zajęły pozycje obronne na skraju lasu. Leopardy i CV90 wsparła holenderska piechota. „Współpracujemy także z polskimi oddziałami, które w razie ataku nieprzyjaciela mają nam udzielić wsparcia”, mówił holenderski dowódca plutonu okopanego na skraju lasu. Wkrótce po tych przygotowaniach nastąpił atak szturmowych śmigłowców Mi-24.

Tymczasem na brzegu Drawy w oczekiwaniu na wsparcie głównych sił pozycje obronne zajęli Polacy, którzy wcześniej przepłynęli się przez rzekę pontonami. „Mieliśmy zdobyć przyczółek i go utrzymać. Walczyliśmy na ponaddziesięciostopniowym mrozie. To nauczyło nas działania w takich temperaturach”, ocenia po ćwiczeniach sytuację por. Maciej Kluczyński, dowódca 3 kompanii piechoty zmotoryzowanej.

Otwarte walki to jednak nie wszystko. Sprzymierzone wojska musiały poradzić sobie także z prowokacjami przygotowanymi przez przeciwnika na terytorium Teutonii. „W czasie tych manewrów będziemy ćwiczyć także



Żołnierze mogli przeciwstawić działanie w zimowych warunkach.

działanie w razie zagrożeń hybrydowych”, zapowiedział już na otwarciu manewrów gen. Swillens.

POD OSTRZAŁEM

Po ćwiczeniach taktycznych zgrywających działanie wojsk w układzie wielonarodowym przewidziano udział pododdziałów poszczególnych nacji. Amerykanie, którzy do Polski przybyli jako grupa bojowa, żeby wziąć udział w operacji „Atlantic Resolve”, przywieźli na drawski poligon batalion armatohaubic Paladin wraz z obsługą i pojazdami technicznymi. Na pasie taktycznym Studnica ćwiczył polski 3 Batalion Piechoty Zmotoryzowanej 12 Brygady Zmechanizowanej, a na pasie Konotop Amerykanie trenowali strzelanie do celu za



NA DRAWSKIM POLIGONIE ŻOŁNIERZE MIELI DO DYSPOZYCJI KILKASET SZTUK SPRZĘTU



Lotnictwo Tarantiny tropiło leopardy Teutonii.

„ROŚKI” ZNÓW ZDAŁY EGZAMIN. Sprawdziły się w upałach na misji w Afganistanie, teraz także na mrozie na drawskim poligonie. Sojusznicy mówili, że dzięki nim polskie wojsko było najbardziej mobilną siłą na manewrach „Bison Drawsko”.

MARCIN GÓRKA / MGPR (3)

pomocą paladinów. Nie przeszkadzało im, że zajęcia trwały kilka dni z rzędu po kilkanaście godzin dziennie na kilkunastostopniowym mrozie. Żołnierze ogrzewali się w pojazdach z wciąż pracującymi silnikami. „Certyfikujemy współdziałanie sześciu dział”, mówił kpt. Joe Roberts, dowódca baterii Bravo z 3 Batalionu 29 Pułku Artylerii Polowej. „Paladiny są rozstawione w kilku miejscach tak, by zsynchronizować ostrzał do określonego celu z różnych punktów”. Dodał, że po zakończeniu ćwiczeń na drawskim poligonie jego żołnierze wrócą do Żagania. „W Polsce przez dziewięć miesięcy będziemy ćwiczyli współ-

działanie z oddziałami z różnych państw NATO, nie tylko z Polski”. Zarówno Polacy, jak i sojusznicy chwalą sobie wspólne manewry. „Teraz mieliśmy możliwość przeciwżyć praktycznie wszystkie formy walki – obronę, natarcie, działanie na tyłach, pokonywanie przeszkody wodnej”, mówi por. Maciej Kluczyński, i dodaje, że nasi żołnierze cenią sobie takie sojusznicze kontakty. „Trenowaliśmy z dobrym wojskiem, nie tylko ze względu na wyszkolenie, lecz także organizację i kulturę dowodzenia. Możemy też im pozazdrościć wyposażenia, np. gąsienicowych transporterów opancerzonych nowej generacji”. ■

ANNA DĄBROWSKA

Zmechanizowani z Budowa

O Brygadzie słysząc niewiele, co nie znaczy że niewiele się w niej dzieje.

Mroźny, zimowy poranek. Na placu apelowym 2 Brygady Zmechanizowanej Legionów im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Złocieńcu trwają przygotowania do kwartalnego marszu kondycyjnego. Żołnierze po raz ostatni sprawdzają broń i sprzęt. „Głównym celem marszu jest podtrzymanie i wzmocnienie sprawności fizycznej oraz wytrzymałości żołnierzy, a także sprawdzenie ich gotowości bojowej”, tłumaczy ppłk Cezary Grygoruk, szef szkolenia 2 BZ.

Przed ósmą pada rozkaz wymarszu. Kolejne pododdziały opuszczają teren jednostki. Czekają nie tylko przejście

18-kilometrowej trudnej trasy, ale też wykonanie przygotowanego przez dowódców zadania. „Na treningu żołnierze będą doskonalić taktykę marszu ubezpieczonego, dlatego na czele kolumny przemieszcza się pluton rozpoznawczy z kompanii dowodzenia”, wyjaśnia ppłk Tomasz Romanowski, dowódca batalionu dowodzenia.

Maszerujący przećwiczą też umiejętność poruszania się w terenie, zachowania w wypadku nawiązania



POZNAJĄCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIEGO
WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO
OD KULIS” PRZECZYTAJ O MARY-
NARZACH, PILOTACH,
LOGISTYKACH, ARTYLER-
ZYSTACH, PRZECIW-
LOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

kontaktu z przeciwnikiem, prowadzenia obserwacji terenu, reagowania na sygnał o rejonie skażonym, organizacji zabezpieczenia w czasie postoju. „Mamy też nawiązywać łączność z dowództwem z wyznaczonych punktów oraz wysyłać meldunki”, dodaje szer. Patryk Gworek, radiotelefonista z kompanii logistycznej batalionu dowodzenia.

„Taki trening jest nie tylko sporym wyzwaniem fizycznym, lecz także sprawdzianem odporności psychicznej, ponieważ szeregowi nie znają ani trasy, ani czekających ich zadań”, stwierdza ppłk Romanowski. Dodatkowo żołnierze maszerują w pełnym oporządzeniu, mają przy sobie indywidualne wyposażenie, broń osobistą, środki łączności, hełm i maski przeciwgazowe.

Po ósmej jednostka opustoszała. Zostali tylko żołnierze pełniący służbę dyżurną, saperzy z patroli rozminowania oraz część dowództwa i sztabu Brygady.

POLIGONOWE MANEWRY

W Złocięcu służy niemal tysiąc żołnierzy oraz pracowników wojska. Trzon jednostki stanowią batalion dowodzenia, 1 Batalion Zmechanizowany (bz) i batalion logistyczny, a wspierają je pododdziały o niepełnej obsadzie stanowisk: 2 Batalion Zmechanizowany, batalion czołgów stacjonujący w Czarnem, dywizjon artylerii samobieżnej i kompanie rozpoznawcza oraz saperów.

Brygada jest ulokowana w Budowie, części Złocięca, wśród pomorskich wzgórz, jezior i lasów. O jednostce nie przeczytamy na pierwszych stronach gazet, nie słychać też o niej wiele w innych mediach. „Co nie znaczy, że nic się u nas nie dzieje. Cały czas trwają szkolenia i ćwiczenia służące utrzymaniu zdolności bojowej”, podkreśla ppłk Grygoruk.

Jak wylicza oficer, pod koniec grudnia 2016 roku zakończyło się prowadzone po raz drugi w 2 BZ szkolenie kandydatów do narodowych sił rezerwowych w ramach doraźnie utworzonego w jednostce nieetatowego

ośrodka szkolenia służby przygotowawczej. We wrześniu wcielono do Brygady dwie kompanie szkolne, liczące w sumie 230 żołnierzy. Kandydaci do NSR-u przeszli w Złocięcu szkolenie podstawowe, złożyli przysięgę wojskową i doskonalili umiejętności podczas zajęć specjalistycznych. „Do końcowego egzaminu dotrwało 196 ochotników, którzy mogą teraz podpisać kontrakt na wykonywanie obowiązków w ramach NSR-u”, podaje szef szkolenia Brygady.

Sale zajmowane przez przyszłych żołnierzy NSR-u w lutym zajęli rezerwiści mający przydział kryzysowy do 2 BZ. „Szkolimy ich dwa razy w roku – w lutym i listopadzie są powoływani na krótkie dwu-, trzytygodniowe ćwiczenia”, opowiada ppłk Grygoruk. Dla rezerwistów z Czarnego zostaną przywiezione, stojące zwykle w garażach, czołgi, aby mogli doskonalić kierowanie nimi na przykoszarowym placu.

Żołnierzy 2 BZ w tym roku czeka też sporo zajęć poligonowych. Na początek zimowy trening sztabowy „Drawa '17”, w marcu szkolenie na poligonie drawskim z kierowania ogniem, strzelania z wozów bojowych i zajęcia taktyczne, przeznaczone głównie dla 1 bz i wchodzących w jego skład plutonu rozpoznawczego oraz drużyny strzelców wyborowych. W następnej kolejności będą brygadowe ćwiczenia dowódczo-sztabowe „Lis '17” i „Wilk '17”, organizowane przez 12 Dywizję Zmechanizowaną ze Szczecina, w której skład wchodzi 2 BZ. Z kolei w czerwcu na poligonie w Wędrzynie zaplanowano zajęcia taktyczne przeznaczone głównie dla żołnierzy 1 bz.

„Nasz batalion jest w Brygadzie jedyną rozwiniętą jednostką bojową, dlatego mamy najwięcej zadań”, podkreśla por. Paweł Walukiewicz, dowódca kompanii dowodzenia w 1 bz. To właśnie dwie kompanie tego batalionu reprezentowały 2 BZ w największych →



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

zeszłorocznych ćwiczeniach „Anakonda”. „Obie podgrywały przeciwnika: jedna pod Toruniem broniła mostu na Wiśle, druga obsadzała lotnisko w Świdwinie”, podaje por. Walukiewicz.

Batalion zmechanizowany dysponuje rozpoznawczymi BRDM-2 oraz wozami BWP-1. „To dobry sprzęt, ale ma już swoje lata, dlatego marzyłaby się nam zamiana BRDM-ów na holenderskie bojowe wozy rozpoznawcze Fennek, a BWP-ów – na transportery Rosomak lub niemieckie bojowe wozy piechoty Puma”.

Z kolei dla batalionu dowodzenia tegorocznym wyzwaniem będą ćwiczenia taktyczno-specjalne „Odra '17”. „Żołnierze zajmą się rozwinięciem w nowym miejscu stanowiska dowodzenia, zapewnieniem mu łączności, w tym podłączeniem telefonów i sieci informatycznej”, wylicza ppłk Romanowski.

Zwieńczeniem szkoleń będzie udział Brygady w największych manewrach taktycznych z wojskami organizowanych przez siły zbrojne w 2017 roku „Dragon '17”. Głównym ćwiczącym ma być 12 DZ i wchodzące w jej skład jednostki. „Celem »Dragon« będzie praktyczne zgrywanie sił podległych dowódcy generalnemu rodzajów sił zbrojnych do wykonywania zadań w operacji obronnej prowadzonej we współdziałaniu z wojskami obrony terytorialnej”, informuje ppłk Grygoruk.

GRANAT POD BIEDRONKA

W Złocięcu na brak zajęć nie narzekają też stacjonujący w 2 BZ saperzy z dwóch z 35 działających w Polsce

patroli rozminowania. Ich rejon odpowiedzialności obejmuje w sumie 13 powiatów. Każdy z patroli ma po 130–150 zgłoszeń rocznie. „Najgorętszy okres to czas od kwietnia do października, wyjeżdżamy wtedy w teren nawet kilka razy dziennie”, informuje st. chor. Grzegorz Ellert, dowódca patrolu nr 5.

Jak opowiada, przez okoliczne tereny przechodziły fronty II wojny światowej i w ziemi nadal leży mnóstwo wojennych pozostałości: pociski artyleryjskie, granaty ręczne i moździerzowe, miny przeciwpancerne, bomby lotnicze. Odnajdywane są podczas budowy domów, dróg, prac polowych czy przez poszukiwaczy skarbów. „W zeszłym roku podjęliśmy i zniszczyliśmy ponad 4,6 tys. niebezpiecznych przedmiotów”, wylicza mł. chor. Marek Kocik, dowódca patrolu nr 4.

Chorąży dodaje, że sporo zgłoszeń jest z terenu Bornego Sulinowa, gdzie przez lata stacjonowały rosyjskie wojska. Czasem saperzy znajdują całe składy amunicji sprzed lat. Kilka lat temu zgłoszono podczas budowy plebani wykopanie sześciu granatów moździerzowych. „Działka okazała się mocno uzbrojona, bo wykopaliśmy na niej aż 86 granatów ułożonych w ziemi jeden obok drugiego”, opowiada chor. Kocik. Podobnie było w lesie w Starej Dobrzycy, gdzie saperzy odnaleźli 130 bomb lotniczych, obok których leżały powykęcane zapalniki.

Jedną z największych zeszłorocznych akcji było wywożenie granatów moździerzowych i pocisków artyleryjskich kalibru 120 mm, które odkryto przy drodze do Rydzewa. „Zajęło nam to dwa dni, a materiały niebez-



TRZY PYTANIA DO

Artura Pikonia

Na czym polega specyfika służby w tej jednostce, co ją wyróżnia?

Brygada jest, niestety, jednostką o niskim stanie ukompletowania, dlatego naszym priorytetem jest utrzymanie zdolności do mobilizacyjnego rozwinięcia. W sytuacji, w jakiej się znajdujemy, najważniejsze jest utrzymanie stałej gotowości bojowej oraz

zadbanie o pełną sprawność sprzętu wojskowego znajdującego się w zapasie wojennym. Ważne jest też zapewnienie wysokiego poziomu dyscypliny oraz szkolenia rozwiniętych pododdziałów. To ostatnie jest możliwe dzięki ogromnej bazie szkoleniowej. Mamy na miejscu strzelnicę garnizonową, ośrodek żeglarski, plac cwi-

czeń taktycznych. Strzelania, forsowanie przeszkody wodnej, zajęcia saperskie czy chemiczne mogą odbywać się każdego dnia na naszych własnych obiektach.

Jakie wymagania muszą spełniać kandydaci do wojsk zmechanizowanych?



BRYGADA ZAJMUJE TEREN BYŁEGO NAZISTOWSKIEGO OŚRODKA SZKOLENIOWEGO DLA ELITARNEJ NIEMIECKIEJ MŁODZIEŻY

pieczne zapęłniły trzy samochody ciężarowe Star”, mówi chor. Ellert. Także dziś saperzy nie będą próżnować. „W Trzcianie wykopano pocisk artyleryjski. Musimy go wydobyć, przewieźć na poligon i zdetonować”, podają saperzy.

Zdarza się, że mieszkańcy znajdują granaty w piwnicach i na strychach starych domów. Zamiast to zgłosić policji, podrzucają w rozmaite miejsca. Ostatnio w Biał-

gardzie w śmietniku pod Biedronką znaleziono uzbrojony granat ręczny z czasów II wojny światowej. „Dobrze, że zawlecza nie była wyciągnięta, bo musielibyśmy go detonować na miejscu”, stwierdza chor. Kocik. Z kolei w Pile właściciel posesji po wykopaniu spod trawnika granatu włożył go do wiaderka z piaskiem, zaniósł do pobliskiej remizy i postawił pod drzwiami. „Dobrze, że chociaż zadzwonił do strażaków z informacją o prezencie, jaki im zostawił”, stwierdza chor. Ellert.

STRZELCY I SIŁACZE

„Żołnierze Brygady z Pojezierza Drawskiego nie tylko się szkolą, ale odnoszą też sukcesy na arenie sportowej”, mówi por. Paulina Popiel, oficer prasowy 2 BZ. W zeszłym roku st. szer. Maciej Chochół oraz st. szer. Wojciech Bacański wygrali w Longshot, turnieju strzelców wyborowych i snajperów o puchar dowódcy generalnego rodzajów sił zbrojnych w kategorii karabinu kalibru 7,62 mm. Dodatkowo szer. Chochół został liderem w klasyfikacji indywidualnej zawodów.

Z kolei pluton rozpoznawczy z 1 bz od kilku lat jest niepokonany w zawodach użyteczno-bojowych na szczeblu 12 DZ, a w 2015 roku został w tej dyscyplinie mistrzem Wojska Polskiego. „Nasza drużyna wygrała też w 2016 roku mistrzostwa służb mundurowych w halową piłkę nożną”, dodaje por. Popiel.

To nie koniec osiągnięć sportowych w 2 BZ. Żołnierz Brygady, st. szer. Marcin Wlizio, jest mistrzem →
Polski służb mundurowych w sportach siłowych,

Nie ma szczególnych wymagań, które muszą spełnić kandydaci do tego rodzaju wojsk. Są takie same, jak dla każdego żołnierza: zdolności fizyczne i psychiczne do pełnienia zawodowej służby wojskowej, niekaralność sądowa, obywatelstwo polskie, ukończone 18 lat. Ponadto żołnierz powinien umieć działać pod presją czasu i w stresie, musi liczyć się z częstą zmianą miejsca zamieszkania, rozłąką z rodziną oraz możliwością utraty zdrowia, a nawet życia. Do tego niezbędne są odpowiednie predyspozycje psychiczne – spokój i opanowanie.

Co trzeba zrobić, aby się dostać do jednostki?

Przejsz taką samą rekrutację, jaka obowiązuje w całej armii. Zainteresowani zawodową służbą wojskową zgłaszają się do wojskowego komendanta uzupełnień właściwego ze względu na miejsce zamieszkania. Ustala on, czy żołnierz rezerwy lub inna osoba chętna do wojska spełnia warunki do powołania w danym korpusie. Analizuje też wolne stanowiska w jednostkach stacjonujących na obszarze pozostającym w jego właściwości. Kiedy zainteresowany decyduje się na konkretne stanowisko, są ustalane z nim termin i miejsce prze-

prowadzenia rozmowy kwalifikacyjnej oraz egzaminu ze sprawności fizycznej. Kiedy kandydat zda testy, dyrektor departamentu kadr MON wyraża zgodę na wydanie zaświadczenia o możliwości wyznaczenia go na stanowisko w jednostce. Wydaje je na podstawie określonych na dany rok limitów powołań do zawodowej służby wojskowej. Ostatnim etapem kwalifikacji jest złożenie przez przyszłego żołnierza w WKU pisemnego wniosku o powołanie do służby. ■

Płk ARTUR PIKOŃ jest dowódcą
2 Brygady Zmechanizowanej
Legionów im. Marszałka Józefa
Piłsudskiego.

a st. szer. Krzysztof Woźniak – mistrzem kraju w pokonywaniu ośrodka sprawności fizycznej. Wygrał też mistrzostwa Wojska Polskiego w pięcioboju żołnierskim. Z kolei por. Szczepan Fiedorowicz, dowódca kompanii zmechanizowanej w 1 bz, w 2016 roku zajął trzecie miejsce w armii w biegu na orientację. „Te osiągnięcia to zasługa żołnierzy, ale też dowódcy, który tworzy sprzyjający klimat do uprawiania sportu i zachęca do treningów”, podkreśla por. Walukiewicz. Ważna jest też dostępność obiektów sportowych: w jednostce znajdują się hala sportowa ze strefą cardio, siłownia, boiska do piłki nożnej i siatkówki. Brygada dysponuje także własnym ośrodkiem żeglarskim.

Jednostka współpracuje z mieszkańcami okolicznych miejscowości. „Jeździmy do szkół i opowiadamy, jak należy postępować ze znalezionymi niewybuchami i niewypałami”, opowiada chor. Kocik. Szkoły odwiedzają też wojskowi strażacy, którzy prowadzą dla dzieci zajęcia z pierwszej pomocy i zasad ochrony przeciwpożarowej. „Wspieramy również miejscową klasę mundurową”, dodaje por. Popiel.

Pod koniec stycznia 2017 roku Brygada podpisała z Zespołem Szkół Ponadgimnazjalnych im. gen. Władysława Andersa w Złocieńcu porozumienie o współpracy. Dzięki umowie żołnierze poprowadzą dla uczniów szkolenie z musztry i bytowania w lesie, zajęcia na strzelnicy, 1 marca zorganizują bieg z okazji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych, a latem – obóz szkoleniowo-kondycyjny. „Te inicjatywy wpisują się w działalność proobronną i upowszechnianie naszej historii”, dodaje oficer prasowy.

ZAMEK ZAKONNY

Historia jest zresztą obecna w jednostce cały czas. W czasie wizyty w Brygadzie nie sposób nie zauważyć oryginalnej architektury niektórych budynków koszarowych, a przede wszystkim górujących nad nimi dwóch 50-metrowych ceglanych wież. Przypominają one o przeszłości tego kompleksu.

Brygada zajmuje bowiem teren powstałego tutaj w 1936 roku nad jeziorem Krosino monumentalnego nazistowskiego ośrodka szkoleniowego przeznaczonego dla elitarnej niemieckiej młodzieży. Dwa podobne powstały w Nadrenii Północnej-Westfalii i w południowej Bawarii. Nazwano je ordensburgami, czyli zamkami zakonnymi, ponieważ przypominały średniowieczne twierdze krzyżackie.

Do ośrodka Krosino mogli trafiać wyłącznie zdrowi mężczyźni o niemieckim obywatelstwie, w wieku od 23 do 26 lat, o wzroście co najmniej 160 cm i sokołim wzroku. Musieli legitymować się zaświadczeniem o aryjskim pochodzeniu i zdolnością do zawarcia związ-

ku małżeńskiego, odbyłą służbą wojskową i członkostwem w partii. Program szkoleniowy obejmował m.in. historię, filozofię, sztukę, naukę o rasie i gospodarce oraz nauki wojskowe.

Na potrzeby słuchaczy wzniesiono parterowe budynki mieszkalne, amfiteatr, sale wykładowe, stołówkę, obiekty sportowe: stadion, dwie przystanie wodne, budynki administracyjne. Ośrodek miał nowoczesne zaplecze techniczne: kotłownię, centralne ogrzewanie, oczyszczalnię ścieków, spalarnię śmieci oraz hydrofornię wraz ze stacją uzdatniania wody.

Nad wszystkim miał górować gigantyczny budynek „domu wiedzy”, służący jako miejsce spotkań i wieców. Budowlę na rogach miały wspierać cztery wysokie wieże. Projektu nie udało się zrealizować. Wzniesiono tylko dwie kwadratowe, prace nad trzecią przerwano, a jej fragment rozebrali Polacy w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Dziś można się wspinać na szczyt wież po spiralnych schodach. Z góry doskonale widać rzędy parterowych domków mieszkalnych, między nimi ogromny plac z kamiennym amfiteatrem i stadionem, nad jeziorem duży „dom gościnny”, a niedaleko niego tzw. willę Ewy Braun, gdzie mieszkał zastępca komendanta ośrodka.

Ordensburg otwarto 24 kwietnia 1936 roku w obecności Adolfa Hitlera. Trzy lata później wybuch wojny zakończył edukację ordensjunkrów. Ich miejsce zajęli szkoleni tutaj folksdojcz, członkowie Hitlerjugend i Volksturmu. Najważniejszym zadaniem Ordensburga Krosino było jednak szkolenie Sztabu Specjalnego „R”, czyli osób mających objąć na terenach zajętych przez Wehrmacht funkcje komisarzy ds. kwestii żydowskiej.

W marcu 1945 roku teren ośrodka zajęła Armia Czerwona, której żołnierze zniszczyli część obiektów i zrabowali wyposażenie. Kiedy Rosjanie opuścili Budowę, polskie władze zorganizowały tutaj Centralny Ośrodek Sportowy. Trenowali w nim m.in. lekkoatleci i kajakarze przygotowujący się do startu w olimpiadzie w Londynie w 1948 roku. Stąd wzięła się popularna nazwa budynków mieszkalnych – „olimpijki”. Sportowcy wyprowadzili się z ośrodka w 1952 roku i od tego czasu stacjonuje tu polskie wojsko.

KAPSUŁA CZASU

Po ordensburgu pozostało do dzisiaj wiele budynków, m.in. domki mieszkalne, które służą jako koszary żołnierzom służby przygotowawczej i rezerwistom. W „domu gościnnym” mieści się izba chorych, była hala widowiskowa jest wykorzystywana jako sportowa, a w sali wykładowej ułożono kuchnię i stołówkę. W gmachu niemieckiej komendantury ułożono natomiast sztab i dowództwo Brygady. W budynku zachowała się drewniana



2 BRYGADA ZMECHANIZOWANA LEGIONÓW IM. MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

SPRZĘT

Podstawowe uzbrojenie 2 Brygady Zmechanizowanej stanowią bojowe wozy piechoty BWP-1 i rozpoznawcze samochody opancerzone BRDM-2. Jednostka ma również czołgi T-72M1 i PT-91 Twardy, samobieżne haubice 2S1-Goździk, zestawy przeciwlotnicze ZSU-23-2, zautomatyzowane wozy dowodzenia ZWD-3. Batalion dowodzenia jest wyposażony w ruchomy węzeł łączności cyfrowej RWŁC-10/T, który umożliwia zestawianie połączeń radiowych na dystansie do 50 km, a także zintegrowane węzły teleinformatyczne typu Jaśmin, przeznaczone do budowy sieci

WAN/LAN, wymiany danych, transmisji głosu i wideoprzekazu. Patrole saperskie dysponują specjalistycznymi pojazdami Topola-S z pojemnikami przeciwdziałkowymi, przystosowanymi do przewozu ładunków o równoważności siły wybuchu 3,5 kg trotylu. Z kolei plutony rozpoznawcze mają w wyposażeniu nowoczesne przyrządy obserwacyjne Vector – z wbudowaną lornetką, precyzyjnym dalmierzem laserowym i cyfrowym kompasem magnetycznym, oraz JIM LR – z kamerą dzienną, lornetką termowizyjną dalekiego za-

sięgu, odbiornikiem GPS i wskaźnikiem laserowym celu. Broń osobista żołnierzy to m.in. karabinki AKM, polskie uniwersalne karabiny maszynowe UKM-2000, a strzelcy wyborowi mają w wyposażeniu karabin snajperski Alex-338/308. ■



HISTORIA

Historia Brygady sięga marca 1945 roku, kiedy w składzie 14 Dywizji Piechoty utworzono 49 Pułk Piechoty ulokowany w Wałczu. W 1957 roku rozwiązano 14 DP, a wszystkie jednostki wchodzące w jej skład wcielono do 20 Dywizji Pancernej. Jednocześnie 49 pp przemianowano na 49 Pułk Zmechanizowany. W 1989 roku 20 DPanc przekształcono w 2 Pomorską Dywizję Zmechanizowaną, a 49 Pułk otrzymał nazwę 6 Pułk Zmechanizowany. Sześć lat później przekształcono jednostkę w 2 Brygadę Zmechanizowaną, która przy-

jęła nazwę wyróżniającą „Legionów” i imię marszałka Józefa

Piłsudskiego. Z końcem 1997 roku, po likwidacji 2 DZ, Brygada weszła w skład 8 Bałtyckiej Dywizji Obrony Wybrzeża. W 2001 roku jednostka została przeniesiona do Złocieńca i Czarnego oraz podporządkowana 1 Korpusowi Zmechanizowanemu w Bydgoszczy. Od 2004 roku, po rozformowaniu korpusu, Brygada wchodzi w skład 12 Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej. Jednostka dziedziczy tradycję

żołnierzy formacji piechoty oznaczonych cyfrą „6”, m.in. 6 Kresowego Pułku Legionów Józefa Piłsudskiego i 6 Samodzielnej Wileńskiej Brygady Partyzanckiej Armii Krajowej oraz oddziałów piechoty dywizji oznaczonych cyfrą „2”, np. 2 Dywizji Piechoty Legionów i 2 Dywizji Strzelców Piechoty. 2 BZ obchodzi święto 28 lipca dla upamiętnienia powstania w 1915 roku 6 Pułku Piechoty Legionów. ■

kolumnada otaczająca wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec, a w holu – płaskorzeźba przedstawiająca trzech młodzieńców na koniach. Po wojnie usunięto z niej tylko swastykę.

We wrześniu 2016 roku historia przypominała o sobie po raz kolejny. Dzięki współdziałaniu wojska, władz miasta i pasjonatów historii spod fundamentów nieistniejącej już okrągłej wieży ciśnieni wydobyto kamień węgielny. W metalowej puszcze, będącej swojego rodzaju kapsułą czasu, znaleziono listy, dokumenty, urzędowe pieczęcie, ówczesne gazety oraz monety i banknoty.

Dzień służby w 2 Brygadzie Zmechanizowanej zbliża się do końca, podobnie jak moja wizyta w Budowie. Do jednostki wróciły już wszystkie pododdziały biorące udział w marszu. Warunki atmosferyczne – mróz i zimny wiatr – były dziś sporym wyzwaniem dla marszerujących.

„Najgorszy był lód, który pokrywał drogi, trudno było się nie poślizgnąć”, stwierdza szer. Gworek. Kolejny marsz Brygady za trzy miesiące. „Tym razem zaplanowaliśmy trasę 25-kilometrową, a po zakończeniu marszu – strzelanie”, zdradza ppłk Grygoruk. ■

KADR

/ MEDYCINA

MICHAŁ NIWICZ

Ostry dyżur

Służba w „mundurze” w kwiaty,
czyli co robi wojskowy chirurg,
kiedy nie jest na wojnie.



Płk ROBERT
BRZÓZOWSKI: „Na różne
sposoby staramy się
wprowadzać więcej
optymizmu do trudnej
i odpowiedzialnej pracy
przy stole operacyjnym.
Choćby dlatego moje
»mundury lekarskie«
często są kolorowe,
w kwiatki lub kółka”.



MICHAŁ NIWICZ





BYCIE LEKARZEM I ŻOŁNIERZEM TO SZCZEGÓLNY RODZAJ SŁUŻBY

Wydawać by się mogło, że żołnierze tylko się szkolą, przygotowują do walki i czekają na moment, aby wykorzystać swoje umiejętności. Są też tacy, którzy cały czas mają kontakt z sytuacjami, w których walczy się o życie, choć nie zawsze dzieje się to w sytuacjach bojowych. Taką służbę pełni m.in. lekarze, tacy jak płk dr n. med. Robert Brzozowski, chirurg z Wojskowego Instytutu Medycznego.

To żołnierz o wyjątkowej wiedzy z dziedziny medycyny pola walki, którą zdobywał w czasie ponaddwuletniej służby na misji w Ghazni w Afganistanie. Pełnił tam funkcję zarówno szefa zespołu chirurgicznego, jak i szpitala polowego. Z jego doświadczeń korzystali nie tylko polscy lekarze służący razem z nim poza granicami kraju, lecz także chirurdzy amerykańscy, z którymi również operował.

Od sześciu lat kieruje Zakładem Medycyny Pola Walki w Wojskowym Instytucie Medycznym, gdzie rozwija umiejętności polskich le-

karzy i ratowników w działaniach bezpośredniego związanych z operacjami wojskowymi oraz przekazuje im wiedzę, jak wykorzystać doświadczenia misyjne w cywilnej służbie zdrowia. „A służba w Afganistanie? Nie ukrywam, że tęsknię za pracą w tamtych warunkach i za naszym zespołem medycznym”.

Powrót do kraju, praca w Wojskowym Instytucie Medycznym to duża zmiana w porównaniu z misją w Afganistanie. Tam, nawet pod ostrzałem, płk Brzozowski leczył najcięższe rany. Teraz wielokrotnie spędza czas na dyżurach w gotowości, która nie zawsze kończy się na sali operacyjnej. „Dziś zdarza się mniej wypadków, w których jest potrzebna nagła interwencja chirurgiczna. Dlaczego tak jest? Nie wiem. Może kierowcy, szczególnie zimą, jeżdżą ostrożniej? Może to zasługa lepszych samochodów? Zwykle dyżury nie są już tak intensywne jak kiedyś. I najczęściej zupełnie nie można ich porównać do pracy na misji wojskowej”, mówi Brzozowski. Towarzyszył doktorowi z aparatem fotograficznym na jednym z takich ostrych dyżurów w WIM. ■



ARCH. PKW AFGANISTAN

Wielu żołnierzom ciężko rannym w Afganistanie uratował życie, jeszcze większej liczbie polskich żołnierzy jego wiedza i umiejętności pozwoliły wrócić do zdrowia.



**PŁK ROBERT
BRZOWSKI**
JEST LAUREATEM
BUZDYGANÓW
2014



Michał Niwicz towarzyszył
doktorowi Brzowskiemu
w czasie ostrego dyżuru
w warszawskim szpitalu
przy ul. Szaserów.



ANNA DĄBROWSKA

INWESTYCJA W NAUKĘ

**Programy naukowe, takie jak „Kościszko”
czy „Katedry ad hoc”, będą rozwijane w przyszłym roku.**

Naszym celem jest podnoszenie poziomu naukowego i dydaktycznego wojskowych uczelni i instytutów badawczych, zwiększanie ich konkurencyjności oraz otwieranie na zewnętrzne środowiska”, tak prof. dr hab. Wojciech Fałkowski, podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej, uzasadnia projekt programów naukowych rozpoczęty pod koniec 2016 roku.

Jak tłumaczy wiceszef resortu, Polska wciąż jest na uboczu, jeśli chodzi o kontakty naukowe. MON chce to zmienić, dlatego tak inwestuje w wojskowe placówki, aby stały się one centrami naukowymi na międzynarodową skalę. „Nie ma nauki wojskowej, istnieje po prostu nauka”, dodaje prof. Fałkowski.

WRACAJĄ Z EMIGRACJI

Pierwszy z programów – „Kościszko” – ma zachęcać do powrotu z emigracji polskich naukowców zatrudnionych w najlepszych ośrodkach zagranicznych. MON liczy na to, że w uczelniach, instytutach i szpitalach klinicznych podległych resortowi wykorzystają oni swoje doświadczenia i wiedzę, a dzięki prowadzonym przez nich badaniom wzrośnie prestiż naukowy wojskowych placówek. „Tematy badawcze nie muszą być bezpośrednio związane z obronnością, ważne aby wzmacniały potencjał naukowy danej instytucji, co w przyszłości i tak przełoży się na rozwój technologiczny sił zbrojnych”, tłumaczy wiceminister.

Do udziału w konkursie, organizowanym w pierwszej edycji programu, wojskowe uczelnie i instytuty zgłosiły 11 młodych naukowców. Komisja zakwalifikowała sześciu badaczy. W grudniu 2016 roku czterech z nich rozpoczęło swoje trzyletnie projekty. Dr Leszek Lisowski z australij-

skiego Children’s Medical Research Institute prowadzi w Wojskowym Instytucie Higieny i Epidemiologii badania na temat „Ukierunkowana ewolucja nowych wirusów AAV w celu zwiększenia wydajności i specyficzności modyfikacji genów w ludzkiej wątrobie i innych tkankach”. W tym samym instytucie dr Jacek Kubiak z francuskiego Centre National de la Recherche Scientifique (Narodowe Centrum Badań Naukowych) analizuje kinazę białkową MELK i jej potencjalne zastosowanie do przyspieszenia gojenia ran. Z kolei w Wojskowym Instytucie Medycznym prof. dr hab. Claudine Kieda, również z francuskiego Narodowego Centrum, rozpoczęła projekt „Nowe strategie adiuwantowe oparte na normalizacji patologicznych naczyń krwionośnych dla zwiększenia skuteczności leczenia i ochrony pacjenta w onkologii, immunologii, endokrynologii, kardiologii i okulistyce”. Prof. dr hab. inż. Tadeusz Wysocki, zatrudniony wcześniej w USA, zbada natomiast w Wojskowej Akademii Technicznej przydatność sieci sensorowej pod kątem poprawy komunikacji pola bitwy.

Z początkiem marca tego roku wracający z Hiszpanii dr Krzysztof Bogdanowicz rozpocznie w Wojskowym Instytucie Techniki Inżynierskiej badania nad polimerami ciekłokrystalicznymi. Z Wielkiej Brytanii do Wojskowego Instytutu Chemii i Radiometrii przyjedzie dr Dorota



KOSMOS 111 / FOTOLIA

Ruszkiewicz. Jak podaje MON, na początku kwietnia rozpocznie ona prace nad dwuletnim projektem dotyczącym zastosowania układu wytworzenia gazu nośnego w indywidualnym sygnalizatorze skażeń chemicznych przy wykrywaniu bojowych środków trujących.

WYKŁADY DLA PODCHORAŻYCH

Drugi program naukowy resortu to „Katedry ad hoc”. Polega on na kilkutygodniowych pobytach wybitnych zagranicznych naukowców w wyższych uczelniach wojskowych, żeby prowadzić wykłady, seminaria i zajęcia z doktorantami. W 2017 roku w pięciu wojskowych szkołach

MON planuje też na wiosnę 2018 roku drugą edycję programu „Katedry ad hoc” i chce zaprosić do niego kolejnych kilkudziesięciu naukowców. „Zmieniamy jednak trochę formułę. Chcemy, aby nie był to pobyt jednej osoby, ale trzech, czterech w jednym semestrze. Ich wykłady i ćwiczenia składałyby się na cykl zajęć ze studentami i doktorantami, obejmujący tę samą tematykę”, wyjaśnia prof. Fałkowski.

NOBLIŚCI W ARMII

Resort prowadzi też, rozpoczęty w grudniu 2016 roku, cykl wykładów i seminariów z udziałem laureatów Nagro-

KOSZTY PROGRAMÓW NAUKOWYCH POKRYWA RESORT OBRONY. PRZEDSIĘWZIĘCIA W RAMACH PROJEKTU „KOŚCIUSZKO” KOSZTOWAŁY DOTYCHCZAS PRAWIE 8,5 MLN ZŁ – PO 1,5 MLN W PRZYPADKU KAŻDEGO Z NAUKOWCÓW, A 32 PROGRAMY „KATEDRA AD HOC” – 900 TYS. ZŁ

pojawia się 32 naukowców z USA i Europy. Z wykładami do Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łądowych we Wrocławiu przyjedzie m.in. prof. Makarand Hastak z Purdue University w USA, który omówi problemy zarządzania ryzykiem w projektach inżynierskich. Zagranicznych specjalistów będzie też gościła Akademia Sztuki Wojennej w Warszawie. Jednym z nich będzie prof. Paul Latawski, historyk i teoretyk wojskowości z brytyjskiej Royal Military Academy Sandhurst. Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni z kolei zaprosiła prof. Milana Vegę z Newport Naval War College w USA, który opowie o prowadzeniu operacji połączonych z udziałem różnych rodzajów wojsk. W Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie będzie wykładać m.in. dr Jan Pila z Wydziału Lotnictwa Politechniki Koszyckiej na Słowacji, który omówi nowoczesne metody w diagnostyce statków powietrznych i aspekty bezpieczeństwa lotniczego. Do Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie przyjedzie m.in. prof. Martin Ostoja-Starzewski z Uniwersytetu Illinois, specjalista inżynierii budowlanej. Pierwsze wykłady naukowców z zagranicy ruszą od kwietnia 2017 roku roku w ASzWoj i WSOWL.

Jak zapowiada prof. Fałkowski, oba programy mają być kontynuowane w 2018 roku. „W obu ogłosimy nową rekrutację. Liczymy na to, że w ramach projektu »Kościszko« zgłosi się podobna liczba chętnych jak w pierwszej edycji, czyli do dziesięciu osób”, podaje wiceminister.

dy Nobla oraz wybitnych profesorów. Ich tematyka jest różnorodna. „Celem przedsięwzięcia jest nie tylko możliwość zapoznania się ze światowymi osiągnięciami naukowymi, lecz także nawiązanie kontaktów z najlepszymi badaczami oraz promocja polskiej nauki i techniki kojarzonej z wojskowymi uczelniami, instytutami badawczymi i szpitalami klinicznymi”, mówi prof. Fałkowski.

Pierwszy wykład, na temat zagrażających życiu zmian skórnych wywoływanych lekami, wygłosił w grudniu 2016 roku w WIM-ie prof. Robert A. Schwartz, światowej sławy dermatolog z USA. Pod koniec kwietnia tego roku zaplanowano wizytę Roberta Gallo, amerykańskiego odkrywcy pierwszego ludzkiego retrowirusa – HTLV-1 i współodkrywcy wirusa HIV. W maju Polskę odwiedzi Shūji Nakamura, japoński fizyk, laureat Nagrody Nobla za wynalezienie wydajnej diody emitującej niebieskie światło. Z kolei na czerwiec zaproszono Kurta Wüthricha, szwajcarskiego chemika, nagrodzonego Noblem za prace nad grupą metod jądrowego rezonansu magnetycznego umożliwiającą badanie trójwymiarowej struktury makrocząsteczek w roztworach. We wrześniu ma przyjechać Andrew Schally, amerykański biochemik, laureat Nagrody Nobla za odkrycie zjawiska wydzielania hormonów w podwzgórzu mózgu.

„Prowadzone są rozmowy z kolejnymi noblistami, nie mamy jednak jeszcze wiążących odpowiedzi”, podaje MON. ■

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

BADANIA LEKARSKIE

Ile dni lub godzin przysługuje żołnierzowi na badania lekarskie?

→ **Służba wojskowa jest specyficznym zawodem, który wymaga dużej odporności fizycznej.** Nierzadko się

zdarza, że żołnierze, wykonując swoje obowiązki, działają w szczególnie trudnych warunkach, które mogą spowodować obniżenie sprawności fizycznej lub nawet przyczynić się do powstania chorób zawodowych. Ważne jest zatem, aby przełożeni monitorowali zdolności fizyczne i psychiczne swoich podwładnych. Obowiązek ten wynika wprost z treści art. 70 ust. 1 ustawy (...), w którym mowa jest o tym, że przełożeni ponoszą odpowiedzialność za stan bezpieczeństwa i higieny służby żołnierzy zawodowych i są obowiązani zapewnić warunki ochrony ich życia i zdrowia przez zapewnienie bezpiecznych i higienicznych warunków pracy. Ustawodawca podkreślił, że w zakresie wymienionym w art. 70 ust. 1 i 2 do żołnierzy zawodowych stosuje się odpowiednio przepisy działu dziesiątego ustawy z 26 czerwca 1974 roku „Kodeks pracy” (z wyjątkiem art. 209, art. 210, art. 230 §2, art. 232, art. 234 §2, art. 235, art. 237, art. 237¹, art. 237⁷ §1 pkt 1 i §2–4, art. 237⁸ §1, art. 237⁹ §3 oraz art. 237¹¹ §4).

Profilaktyczna opieka medyczna w jednostce wojskowej odbywa się m.in. w formie corocznego kierowania żołnierza na badania okresowe, co wynika z ustawy o służbie medycyny pracy. Przy czym obowiązek dbania o dobry stan zdrowia spoczywa nie tylko na przeło-

żonych, lecz także na żołnierzach zawodowych. Zakres badań profilaktycznych oraz sposób i forma ich przeprowadzenia zostały uregulowane w rozporządzeniu ministra obrony narodowej w sprawie niektórych świadczeń zdrowotnych przysługujących żołnierzom zawodowym. Ustawa z kolei stanowi, że żołnierzom zawodowym przysługują coroczne bezpłatne badania profilaktyczne na zasadach określonych w przepisach ustawy o służbie medycyny pracy. Przełożeni mają zatem obowiązek zwolnienia żołnierza zawodowego na czas niezbędny do przeprowadzenia kontrolnych badań profilaktycznych z jednoczesnym prawem żołnierza do zachowania 100% uposażenia za okres usprawiedliwionej nieobecności na służbie. Czas wolny na wykonanie badań kontrolnych powinien być udzielony w takim wymiarze, w jakim wymagane jest ich przeprowadzenie, z uwzględnieniem wszelkich okoliczności niezależnych od żołnierza zawodowego. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 2, art. 67 ust. 2 i 7, art. 70 ust. 1 i 2; ustawa o służbie medycyny pracy z 27 czerwca 1997 roku (DzU nr 96 poz. 593), tekst jednolity z 14 lipca 2014 roku (DzU 2014 poz. 1184) – art. 5 ust. 1 pkt. 2, art. 6, art. 12 ust. 1; ustawa z 26 czerwca 1974 roku (DzU nr 24 poz. 141) „Kodeks pracy”, tekst jednolity z 17 września 2014 roku (DzU 2014 poz. 1502) – art. 229 §3, §4 i 4a; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie niektórych świadczeń zdrowotnych przysługujących żołnierzom zawodowym z 23 grudnia 2010 roku (DzU 2011 nr 8, poz. 36 ze zm.).

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

ŚRODKI NA NAUKĘ

Jestem żołnierzem rezerwy i jednocześnie weteranem poszkodowanym. Słyszałem, że osoby mające status weterana poszkodowanego mogą otrzymać pomoc finansową na naukę. Przed zwolnieniem do rezerwy skorzystałem z możliwości przekwalifikowania zawodowego w ramach rekonwersji i z tego powodu mam wątpliwości, czy teraz mogę dostać pieniądze na naukę?

→ Prawo do skorzystania z pomocy w formie doradztwa zawodowego, przekwalifikowania zawodowego lub praktyk zawodowych w ramach rekonwersji zostało uregulowane w ustawie pragmatycznej i w zasadzie dotyczy żołnierzy zawodowych zwolnionych z zawodowej służby wojskowej.

Z kolei z przewidzianej w ustawie z 19 sierpnia 2011 roku o weteranach działań poza granicami państwa z pomocy finansowej na naukę może skorzystać każda osoba, która posiada status weterana poszkodowanego. Są to dwa niezależne od siebie uprawnienia. Tak więc skorzystanie z przekwalifikowania zawodowego w ramach rekonwersji nie stanowi przeszkody do otrzymania pomocy finansowej na wybraną przez siebie formę kształcenia.

Osoba posiadająca status weterana poszkodowanego może uzyskać pomoc finansową na naukę: w szkole ponadgimnazjalnej, na studiach pierwszego i drugiego stopnia (licencjackich, inżynierskich, uzupełniających magisterskich i jednolitych magisterskich) oraz studiach podyplomowych. W ramach tej pomocy mogą być pokryte koszty samej nauki (czesne), przejazdów z miejsca zamieszkania do szkoły lub uczelni i z powrotem oraz zakwaterowania w miejscowości, w której weteran poszkodowany pobiera naukę lub odbywa studia.

Pomoc przysługuje na jedną z wybranych form kształcenia do wysokości 400% najniższej emerytury. Od 1 marca 2017 roku kwota ta wynosi 1000 zł. Oznacza to, że można otrzymać pomoc na naukę w kwocie do 4000 zł na każdy rok szkolny lub akademicki przez cały okres nauki przewidziany w programie studiów. Jeśli w danym roku akademickim program studiów przewiduje tylko jeden semestr, pomoc będzie przysługiwać w wysokości do połowy wskazanej stawki.

Osoba uprawniona musi złożyć wniosek do ministra obrony narodowej w każdym roku szkolnym lub akade-

mickim do 30 września roku, w którym pomoc ma być przyznana. Pomoc finansową przyznaje minister w drodze decyzji administracyjnej, a wypłaca dyrektor wojskowego biura emerytalnego, według miejsca zamieszkania weterana poszkodowanego.

Środki na pokrycie opłat za naukę lub studia (czesne) są wypłacane w dwóch ratach do wysokości kosztów poniesionych na opłacenie danego semestru. Zwrot kosztów przejazdów z kolei pokrywa się do wysokości równej cenie biletu za przejazd drugą klasą pociągu osobowego, z uwzględnieniem przysługujących uprawnień do przejazdów ulgowych, po przedstawieniu we właściwym wojskowym biurze emerytalnym dokumentu potwierdzającego ich poniesienie. Koszty zakwaterowania w miejscowości pobierania nauki lub odbywania studiów pokrywa się do wysokości określonej w dokumencie potwierdzającym ich poniesienie po przedstawieniu tego dokumentu przez weterana poszkodowanego we właściwym wojskowym biurze emerytalnym. Pieniądze na pokrycie kosztów przejazdów i zakwaterowania są wypłacane w terminie 14 dni, który liczy się od dnia złożenia dokumentów potwierdzających poniesienie tych wydatków.

W razie przerwania nauki lub studiów weteran poszkodowany powinien niezwłocznie poinformować o tym ministra obrony narodowej oraz przedstawić przyczynę. W szczególnie uzasadnionych przypadkach, związanych ze stanem zdrowia lub zdarzeniami losowymi, na wniosek zainteresowanego wypłata pomocy finansowej zostanie zawieszona do czasu ustania przyczyny uniemożliwiającej kontynuowanie nauki lub studiów.

Jednakże weteran poszkodowany powinien także liczyć się z obowiązkiem zwrotu wypłaconej mu pomocy w przypadku nieukończenia nauki lub studiów w terminie określonym w programie nauczania lub w programie studiów, jeżeli wynikało to z powodów leżących po jego stronie, niezwiązanych ze stanem zdrowia lub zdarzeniami losowymi. ■

IZABELA STELMACH, Centrum Weterana Działań
poza Granicami Państwa

Podstawy prawne: art. 120 ustawy z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych; art. 26 ustawy z 19 sierpnia 2011 roku o weteranach działań poza granicami państwa.

Drodzy Czytelnicy, jeśli macie pytania dotyczące przepisów prawnych dla weteranów, przysyłajcie je na adres: niezbednik@zbrojni.pl

/ SPRAWY ŻOŁNIERZY

Szkolenia i kursy dla terytorialsów

Żołnierze WOT będą mogli liczyć na finansową pomoc armii w zdobywaniu nowych kwalifikacji i wykształcenia.

Ministerstwo Obrony Narodowej określiło kwalifikacje, jakie – na koszt armii – będą mogli zdobywać lub podwyższać żołnierze wojsk obrony terytorialnej. Aby jednak otrzymać rekompensatę finansową, będą musieli spełnić dwa warunki. Po pierwsze, podwyższenie kwalifikacji będzie musiało dotyczyć określonej przez wojsko specjalności. Drugim warunkiem zwrotu pieniędzy będzie co najmniej trzyletnia służba w WOT na stanowisku odpowiadającym zdobytym kwalifikacjom.

Zgodnie z przepisami wojsko sfinansuje np. kursy kierowców, ratowników medycznych, nurków czy skoczków spadochronowych. Żołnierz OT będzie mógł podwyższyć lub zdobyć takie kwalifikacje jeszcze przed powołaniem do służby albo w czasie jej pełnienia. Podstawą do zwrotu pieniędzy będzie umowa zawarta między nim a dowódcą jednostki wojskowej. Ekwiwalent będzie naliczany na wniosek żołnierza na podsta-

wie przedstawionych przez niego rachunków za ukończone z pozytywnym wynikiem szkolenie.

Z zasady zwrot kosztów szkoleń będzie przysługiwał po upływie trzyletniej służby. Pieniądże, na wniosek żołnierza, będą mogły być także wypłacone wcześniej. Warunkiem będzie jego pisemne zobowiązanie, iż zwróci je w przypadku, gdy zrezygnuje ze służby w WOT przed upływem trzech lat.

Terytorialsowie będą też mogli liczyć na dofinansowanie kosztów kształcenia, np. studiów czy staży. Przepisy zakładają, że dowódca jednostki wojskowej, rozpatrując wniosek żołnierza OT o dofinansowanie nauki, będzie brał pod uwagę przede wszystkim to, czy kierunek kształcenia jest zbieżny z wymaganiami kwalifikacyjnymi dla danej specjalności wojskowej. Dofinansowanie kosztów kształcenia będzie następowało po zaliczeniu przez żołnierza danego okresu kształcenia (semestru lub roku). PG/PZ ■

Tytuły zawodowe w wojsku

Oficer dyplomowany, pilot oraz nawigator – takie tytuły zawodowe otrzymywać będą niektórzy absolwenci uczelni wojskowych.

W polskim wojsku tytuły zawodowe oficera dyplomowanego oraz pilota i nawigatora były nadawane w kilkanaście lat temu. Ten pierwszy otrzymywali absolwenci studiów podyplomowych Akademii Obrony Naro-

dowej (obecnie Akademia Sztuki Wojennej), dwaj kolejnie absolwenci Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie. Tytuły nadawane były żołnierzom na podstawie obowiązującej wówczas ustawy o wyższym szkolnictwie wojskowym oraz rozporządzenia ministra obrony narodowej.

W 2005 roku przestała obowiązywać ustawa dotycząca kształcenia wojskowego, a uczelnie podległe MON-owi zostały objęte przepisami prawa o szkolnictwie wyższym. Tym samym wyższe szkoły wojskowe utraciły prawo do nadawania dodatkowych tytułów zawodowych.

Więcej miejsc dla podchorążych

Po wakacjach wojskowe studia będzie mogło rozpocząć 1150 kandydatów na oficerów.

Kandydaci na studia w mundurze mają do wyboru cztery placówki kształcące przyszłych oficerów. Studiować można w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu, Wyższej Szkole Sił Powietrznych w Dęblinie, Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni oraz Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. W nadchodzącym roku akademickim 2017/2018 pięcioletnie studia w murach tych szkół będzie mogło rozpocząć aż 1150 kandydatów na oficerów.

We wrocławskiej uczelni przygotowanych zostanie 330 miejsc dla kandydatów na oficerów (w tym 273 na kierunku dowodzenie, 60 na inżynierii bezpieczeństwa). W dęblińskiej Szkole Orłąt zarezerwowano 122 miejsca, w tym 87 na kierunku lotnictwo i kosmonautyka, 22 na nawigacji oraz 13 na logistyce.

Sto osób będzie mogło kształcić się w Akademii Marynarki Wojennej. Gdyńska Akademia zaoferuje po 20 miejsc na trzech kierunkach: informatyce, mechanice i budowie maszyn oraz mechatronice. Ponadto 28 osób dostanie się na nawigację. 12 podchorążych będzie mogło z kolei kształcić się w zakresie

systemów informacyjnych w bezpieczeństwie. Jak dotąd był to kierunek wyłącznie dla cywiliów. Od tego roku będzie prowadzony także dla przyszłych podporuczników.

Najwięcej indeksów będzie do zdobycia w stołecznej Wojskowej Akademii Technicznej. Tu kandydaci będą walczyć o 595 miejsc na dziesięciu kierunkach. Najwięcej osób przyjętych zostanie na elektronikę i telekomunikację (201), mechatronikę (77), informatykę (75) oraz kryptografię i cyberbezpieczeństwo (55). Będzie też można ubiegać się o indeksy na kierunkach: lotnictwo i kosmonautyka (50), geodezja i kartografia (40), budownictwo (27), mechanika i budowa (18) oraz chemia (17).

W tym roku miejsc na wojskowe studia jest o ponad 380 więcej niż w minionym (w październiku 2016 roku wojskową edukację rozpoczęło ponad 760 osób). Jak uzasadnia MON, to efekt m.in. zapotrzebowania na absolwentów kierunków wojskowych, zgłoszonego przez poszczególne komponenty sił zbrojnych. Ci, którzy w tym roku rozpoczną studia wojskowe, swoje pierwsze stanowiska służbowe obejmą w 2022 roku. PG/PZ ■

Teraz MON chce wrócić do rozwiązań sprzed kilkunastu lat. Nadawanie tytułów ma podnieść rangę studiów i kwalifikacji uzyskiwanych przez żołnierzy. Tytuł oficera dyplomowanego otrzymywać będą absolwenci podyplomowych studiów operacyjno-taktycznych w Akademii Sztuki Wojennej. Absolwentom dęblińskiej Szkoły Orłąt z kolei nadawane będą w sumie trzy rodzaje tytułów zawodowych. Ci, którzy ukończą studia magisterskie o specjalności pilotażu (samolot odrzutowy, transportowy, śmigłowiec) w suplemencie do dyplomu ukończenia studiów będą mieli

wpisany tytuł pilota. Podporucznicy otrzymają też tytuły po ukończeniu edukacji na specjalnościach: nawigator statku powietrznego oraz nawigator naprowadzania. W dwóch ostatnich przypadkach będzie się używało wspólnego skrótu „nawig.”.

Planuje się, że jako pierwsi tytuł oficera dyplomowanego otrzymają słuchacze, którzy studia w ASzWoj rozpoczęli w roku akademickim 2016/2017. W przypadku absolwentów Szkoły Orłąt tytuły nadawane będą podczas pierwszej promocji po dniu wejścia w życie przepisów. PG/PZ ■

ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD



Polski F-16
z podwieszonymi
pociskami JASSM
w 31 Bazy Lotnictwa
Taktycznego
w Krzesinach.

KRZYSZTOF NANUS / 31 BLT



KRZYSZTOF WILEWSKI

WYSTRZAŁOWE POCISKI

Można nimi z chirurgiczną precyzją niszczyć obiekty strategiczne oddalone setki kilometrów od strefy działań wojennych. Najpotężniejsze armie świata mają je w swoich arsenałach, od niedawna również nasze siły zbrojne.



D

ynamiczny rozwój sowieckich przeciwlotniczych systemów raketowych na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku sprawił, że wojskowi stratedzy z państw należących do sojuszu północnoatlantyckiego postanowili wynaleźć broń, która pozwoli atakować nieprzyjacielskie lotniska bez konieczności użycia samolotów. Postawili na uzbrojenie typu stand off, czyli takie, którym można razić wroga, będąc poza zasięgiem jego środków. Dla sił powietrznych najlepsze byłyby w tym wypadku rakiety manewrujące powietrze–ziemia.

Początkowo w pracach badawczo-rozwojowych nad tego typu bronią prym wiodli Europejczycy. W 1980 roku niemiecki koncern lotniczy Messerschmitt-Bölkow-Blohm (MBB) pokazał na salonie lotniczym Farnborough plany CWS (container weapon system), czyli skrzydlatego, szybującego zasobnika przeznaczonego m.in. do atakowania lotnisk. Jedna z wersji miała być wyposażona w napęd rakietowy oraz elektroniczny system naprowadzający na cel. Amerykanie i Brytyjczycy byli w tym czasie zaledwie na etapie opracowywania wymagań, jakie miał spełnić nowy rodzaj uzbrojenia.

JEDEN DLA WSZYSTKICH

Amerykanie dopiero w 1986 roku uruchomili program opracowania rakiety manewrującej dalekiego zasięgu. Początkowo założyli, że powstanie pocisk uniwersalny, czyli nie tylko dla sił powietrznych, lecz także dla marynarki wojennej i sił lądowych. Dlatego otrzymał on nazwę TSSAM – tri-service standoff attack missile. Oznaczało to spore wyzwanie dla konstruktorów, którzy musieli zbudować pocisk (kryptonim AGM-137) przystosowany zarówno

do przenoszenia przez bombowce B-52H (miały zabierać na pokład aż 12 tego typu rakiet), Rockwell B-1B Lancer i Northrop B-2 Spirit (osiem pocisków) oraz samoloty wielozadaniowe F-16 i F/A-18 (dwie rakiety), jak i do odpalania z wieloprowadnicowych wyrzutni raketowych M270 MLRS (multiple launch rocket system). Pociski przeznaczone dla wojsk lądowych oznaczono jako MGM-137B.

Inżynierowie z firmy, która otrzymała zlecenie na opracowanie AGM-137, czyli z koncernu Northrop Grumman, musieli zmierzyć się z trzema wyzwaniami. Pierwsze – to mała wykrywalność nowych rakiet przez nieprzyjacielskie radary. Drugie – to system naprowadzania umożliwiający precyzyjne atakowanie celów oddalonych o dziesiątki kilometrów (przyjęto wówczas zasięg rzędu 100–150 km). Trzecie – to niska cena, czyli jeden pocisk nie mógł kosztować więcej niż 750 tys. dolarów.

Konstruktorzy sprostali pierwszemu wymaganiu, czyli technologii stealth. Sięgnęli m.in. po układ konstrukcyjny oraz materiały powierzchniowe sprawdzone w samolocie Northrop Tacit Blue. Nieco gorzej natomiast poradzi-li sobie z precyzją rażenia. AGM-137 wyposażono w system naprowadzania wykorzystujący GPS (global positioning system), który w końcowej fazie lotu pocisku miał być wsparty obrazem z kamery termowizyjnej. Niestety to urządzenie nie działało poprawnie.

Wydaje się jednak, że to nie problemy techniczne z systemem naprowadzania zdecydowo-



Szerokość kadłuba
0,55 m

Wysokość
0,45 m

Napęd
Teledyne
CAE J402-CA-100

Rozpiętość skrzydeł
2,7 m

JOSEPH BREEN Z KONCERNU LOCKHEED MARTIN: „JASSM TO COŚ WIĘCEJ NIŻ RAKIETA. TO ZARÓWNO ZDOLNOŚĆ DO ODSTRASZANIA, JAK I RAŻENIA CELÓW”

Masa głowicy bojowej:
454 kg

Masa materiału wybuchowego około
100 kg (AFX-757)

Masa całkowita
1020 kg

Zasięg około
370 km

wały o zamknięciu programu TSSAM jesienią 1994 roku, lecz kwestie finansowe. Departament Obrony USA dostał bowiem informację, że armia amerykańska nie będzie zainteresowana kupnem pocisków, których cena jednostkowa wyniesie 2 mln 62 tys. dolarów, a nie 728 tys. dolarów, jak deklarował producent w 1986 roku.

DRUGIE PODEJŚCIE

Amerykańska marynarka wojenna, przede wszystkim jednak wojska lądowe nie były zadowolone z zasięgu opracowywanych rakiet, który wynosił od 150 do 180 km. Prawdopodobnie z tego względu zrezygno-

Pozyskanie JASSM przez Siły Zbrojne RP

2012

Ministerstwo Obrony Narodowej ujawnia opinii publicznej, że polska armia chciałaby w ramach „Planu modernizacji technicznej na lata 2013–2022” wyposażać siły powietrzne w pociski manewrujące typu powietrze–ziemia o zasięgu około 300 km.

Listopad 2016

Kongres USA wyraża zgodę na sprzedaż Polsce pocisków JASSM ER. Nasz kraj będzie pierwszym, po USA, użytkownikiem tej broni.

24 grudnia 2016

MON poinformowało, że rządy Polski i USA podpisały wart 940 mln zł kontrakt na dostawę pocisków AGM-158 JASSM ER.

11 grudnia 2014

Uroczyste podpisanie w bazie lotniczej w poznanskich Krzesinach wartego 250 mln dolarów kontraktu na dostawę 40 pocisków AGM-158 JASSM dla polskiej armii. Umowa obejmuje również modernizację rodzimych samolotów F-16.

Listopad 2014

Negocjacje handlowe z producentem pocisków firmą Lockheed Martin.

Październik 2014

Kongres USA wyraża zgodę na sprzedaż Polsce pocisków AGM-158 JASSM. MON ujawnia, że polski rząd rozpoczął starania o kupno zmodyfikowanej wersji rakiet, oznaczonej ER, o zasięgu 900 km.

Przełom 2012 i 2013

Ruszają negocjacje z rządem USA w sprawie zakupu pocisków manewrujących AGM-158 JASSM. Polska chce zostać czwartym, po USA, Finlandii i Australii, ich użytkownikiem. Aby kupić broń, niezbędna jest zgoda nie tylko prezydenta USA, lecz także Kongresu.





U S A F

JASSM TO DLA WIELU WOJSKOWYCH STRATEGÓW **BROŃ MARZEŃ**

wano z przeznaczenia pocisków dla trzech rodzajów sił zbrojnych. W 1995 roku uruchomiono zatem kolejny program rakiety manewrującej, ale dla sił powietrznych.

Kontrakt na opracowanie wstępnych projektów dostały dwa koncerny – Lockheed Martin (projekt ten oznaczono jako AGM-158) oraz McDonnell Douglas (oznaczenie AGM-159). W 1996 roku amerykański Departament Obrony zdecydował, że obie firmy dostaną fundusze na zbudowanie prototypowych pocisków. Po dwóch latach jako najbardziej perspektywiczny wybrano projekt Lockheeda Martina, a rok później przeprowadzono pierwsze testy w locie nowej rakiety manewrującej klasy powietrze–ziemia.

Po sugestii amerykańskich wojskowych inżynierów opracowujący AGM-158 nie silili się na stworzenie rewolucyjnej konstrukcji, lecz wykorzystali rozwiązania zastosowane w poprzedniku, czyli AGM-137. W ten sposób powstał pocisk w technologii stealth, naprowadzany na cel za pomocą układu hybrydowego. Co ciekawe, najprawdopodobniej – gdyż szczegółowa specyfikacja techniczna rakiet JASSM AGM-158 jest tajna – konstruktorzy nie zdecydowali się na wyposażenie pocisków w system TSM (terrain contour matching), który umożliwia lot na bardzo małej wysokości z uwzględnieniem rzeźby terenu.

Takie urządzenia znalazły się jednak w większości konkurencyjnych rozwiązań, jak chociażby w opracowanych w tym samym czasie niemiecko-szwedzkich pociskach Taurus KEPD 350 (są w uzbrojeniu niemieckiego, hiszpańskiego i koreańskiego lotnictwa) czy francusko-brytyjsko-włoskich rakietach Storm Shadow (dysponują nimi wojska Egiptu, Wielkiej Brytanii, Francji, Grecji, Zjednoczonych Emiratów Arabskich oraz Arabii Saudyjskiej).

Pierwsze odpalenie AGM-158 z symulowanym atakiem na cel odbyło się w styczniu 2001, a program testów rozwojowych pocisku zakończono w 2003 roku. Badania, testy i próby wersji produkcyjnej trwały aż pięć lat. Ostatecznie po rozwiązaniu problemów m.in. z zapalnikami, systemami rozkładania i blokowania skrzydeł, układu naprowadzającego oraz z nietrwałością powłok lakierniczych gwarantujących właściwości stealth rakiety AGM-158 osiągnęły w 2009 roku pełną zdolność operacyjną. Wtedy to Departament Obrony zlecił producentowi opracowanie kolejnej wersji pocisku, ale o zwiększonym zasięgu, czyli AGM-158 ER.

RAKIETA MARZEŃ

AGM-158 JASSM ma masę przekraczającą nieco tonę, 4 m długości, a rozpiętość rozkładanych po odpaleniu skrzydeł wynosi 2,4 m. Oficjalnie podano, że jej zasięg to około 370 km. Można jednak przypuszczać, że – podobnie jak w wypadku innych rakiet tego typu – został znacznie zaniżony i wynosi od 400 do 450 km. Głowicę bojową AGM-158 o masie 454 kg wypełniono materiałem wybuchowym AFX-757.

JASSM jest naprowadzana na cel za pomocą hybrydowego, składającego się z kilku niezależnych podsystemów systemu nawigacyjnego odpornego na zakłócenia. Wykorzystano w nim zarówno układy inercyjne, jak i GPS. Wspomagany jest obrazem z głowicy optoelektronicznej w końcowej fazie lotu. W wersji rozwojowej AGM-158 ER o wydłużonym zasięgu producent zastosował również satelitarne łącze danych umożliwiające operatorowi znajdującemu się w bazie przejęcie kontroli nad pociskiem. Nie wiadomo, czy taką właściwość mają również pociski AGM-158 o zasięgu 370 km. ■

TADEUSZ WRÓBEL

Krok ku samodzielności

W Turcji rozpoczęto budowę pierwszej fregaty rodzimej konstrukcji. Jednostka typu Istambuł będzie miała 3 tys. ton wyporności.

Ten kraj graniczy z czterema morzami: Czarnym od północy, Śródziemnym od południa oraz Marmara i Egejskim od zachodu. Linia brzegowa Turcji wynosi 7200 km. Nic zatem dziwnego, że władze w Ankarze przywiązują dużą wagę do bezpieczeństwa morskiego i inwestują w marynarkę wojenną. Co więcej, od dawna, gdy są zamawiane nowe okręty, dostawcom stawia się warunek, że musi nastąpić transfer technologii umożliwiający ich budowę w miejscowych stocznich. Dzięki takiemu podejściu Turcy zyskali już zdolności do samodzielnego projektowania jednostek bojowych klas korweta oraz fregata.

WYDŁUŻONA KORWETA

Podczas uroczystości inicjującej rozpoczęcie budowy pierwszej fregaty własnego projektu, 19 stycznia 2017 roku w stoczni Istanbul Naval Shipyard Command, głos zabrał minister obrony Fikri Işık: „Jednym z priorytetów rządu jest umożliwienie stworzenia w naszych siłach zbrojnych silnej floty wyposażonej w uzbrojenie rodzimej produkcji”. Polityk dodał, że w ostatnich latach intensywnie pracowano nad tym, żeby Turcja mogła konstruować swoje okręty wojenne. Chodziło mu o program „Milli Gemi” (MİLGEM), czyli okrętu narodowego. Dzięki temu powstaną dwa typy fregat i jeden typ korwet (od lat Turcy budują korwety typu Ada).

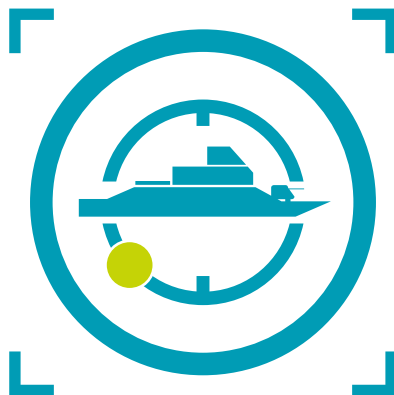
Pierwszy raz konkretną koncepcję nowej jednostki, znanej pod oznaczeniem TF-100, zaprezentowano podczas International Defence Industry Fair 2015 w Ankarze. Będzie to lekka fregata o długości 113,2 m i wypor-

ności 3 tys. t, przeznaczona do zwalczania okrętów podwodnych. Na pokładzie przed nadbudówką zaplanowano wieżę z szybkostrzelną armatą morską firmy Leonardo kalibru 76/62 mm SR oraz pionową wyrzutnię Mk 41 z 16 celami, w których znajdą się rakiety przeciwlotnicze

RIM-162 Evolved Sea Sparrow Block 2. Na nadbudówkach będą dwie wyrzutnie, każda z ośmioma pociskami przeciwokrętowymi – prawdopodobnie Atmaca rodzimego projektu, choć nie są wykluczone amerykańskie RGM-84 Harpoon. Do bezpośredniej obrony przewidziano zestaw Mk 15 Phalanx Block 1B z sześciolufowym działkiem 20-milimetrowym. Na tureckiej fregacie zostaną jeszcze zamontowane dwie podwójne wyrzutnie Mk 32 lekkich torped kalibru 324 mm i dwa zdalnie sterowane działka Aselsan STOP 25-milimetrowe (niektóre publikacje podają, że będą to Aselsan STAMP z karabinem maszynowym 12,7 mm). W części rufowej okrętu przewidziano hangar i lądowisko dla śmigłowca – Sikorsky S-70B2 Seahawk. Rozmiary i zasięg pływania (6 tys. Mm) pozwolą fregacie

dotrzeć do wybrzeży Somalii czy Jemenu bez konieczności uzupełniania paliwa.

W projekcie fregaty typu Istambuł łatwo dostrzec wiele podobieństw do korwety typu Ada, która została zaprojektowana jako pierwsza w programie MİLGEM. Najnowsza jednostka będzie od niej o prawie 14 m dłuższa, a jej wyporność będzie o kilkaset ton większa. I faktycznie fregata w dużej mierze powstała przez wydłużenie korwety typu Ada. Tworzenie w ten sposób całej gamy jednostek jest normalnym działaniem w dzisiejszych cza- ➔



TURCY STARAJĄ SIĘ, ABY JAK NAJWIĘKSZA ILOŚĆ SYSTEMÓW UZBROJENIA I INNEGO WYPOSAŻENIA DLA FREGATY ZOSTAŁA OPRACOWANA W KRAJU

sach. Tak zostały zbudowane np. okręty z rodziny Sigma, oferowane przez holenderską firmę Damen Shipyards, Avante – hiszpańskiej Navantii, czy też Gowind – francuskiej grupy DCNS.

Mimo wielu podobieństw między obu tureckimi projektami są różnice m.in. w uzbrojeniu. Fregata będzie miała dwa razy więcej wyrzutni pocisków przeciwokrętowych niż korweta. Na jednostkach typu Ada nie ma również pionowych wyrzutni rakiet przeciwlotniczych. Inny będzie też zestaw obrony bezpośredniej – na korwecie zamontowano wyrzutnię Mk 49 z raketami RIM-116 RAM.

Turcy starają się, aby jak największa ilość systemów uzbrojenia i innego wyposażenia dla fregaty została opracowana w kraju. Zapowiedziano, że rodzima firma elektroniczna Askeri Elektronik Sanayii (ASELSAN) dostar-

czy termowizyjne systemy poszukiwania i śledzenia celów oraz radary. Przewidziano też, że nowa jednostka będzie wyposażona w kierowane pociski i system ochrony przeciwtorpedowej krajowej konstrukcji. Niemniej jednak Turcy przyznają, że nie uda się uniknąć importu części wyposażenia, choć wkład krajowy w tę konstrukcję ma przekroczyć 65%. Tamtejsi politycy i wojskowi liczą na to, że fregata „Istanbul” znajdzie się w linii już w 2021 roku. Ta jednostka jest pierwszą z czterech planowanych. Następne mają nosić imiona „Izmir”, „Izmit” i „İçel”.

TRZECI ELEMENT

Przed laty Turcy mieli ambitny program wprowadzenia do służby 12 fregat przeciwlotniczych. Po otrzyma-



Turecki potencjał

Marynarka wojenna teraz ma 16 fregat rakietowych. Połowę z nich stanowią odkupione od Stanów Zjednoczonych jednostki typu Olivier Hazard Perry. Weszły one do służby pod turecką banderą w latach 1998–2003 i są klasyfikowane jako typ Gabya. Cztery z przejętych okrętów, które były w wersji krótkokadłubowej, zmodyfikowano w tureckiej stoczni, tak że mogą ope-

rować z nich śmigłowce Seahawk. W drugiej połowie poprzedniej dekadzie zaczęto montować na nich opracowany w kraju system dowodzenia i kierowania ogniem model Genesis (Gemi Entegre Savaş İdare Sistemi). W ostatnich latach cztery fregaty – „Göksu”, „Gediz”,

Istanbul

Wyporność [t]	3000
Długość [m]	113,2
Szerokość [m]	14,4
Zanurzenie [m]	4,05
Prędkość [w]	+29
Załoga	125

**W PROJEKCIE
FREGATY TYPU
ISTAMBUŁ ŁATWO
DOSTRZEC WIELE
PODOBIENSTW
DO KORWETY
TYPU ADA**

niu od Amerykanów okrętów typu Olivier Hazard Perry zmniejszono zapotrzebowanie na nowe jednostki do ośmiu, a potem do sześciu. Problemy gospodarcze i koszty związane z usuwaniem skutków tragicznego trzęsienia ziemi z 1999 roku spowodowały, że nawet te okrojone plany okazały się na wyrost. Zredukowano zatem zakupy fregat przeciwlotniczych do czterech sztuk, ale w 2013 roku pojawiła się informacja, że docelowo przewiduje się budowę ośmiu jednostek. Jest to trzeci element programu MILGEM. Fregaty te są znane pod oznaczeniem TF-2000. W mediach pojawiły się informacje, że pierwsza ma być dostarczona w 2023 roku, co uświetniłoby obchody stulecia powstania Republiki Tureckiej. Niemniej jednak możliwe, że nastąpi to dopiero około 2025 roku. Okręty te mają mieć ponad 7 tys. t wyporności, 147 m

długości i 18 m szerokości. Załoga będzie liczyła 220 oficerów, podoficerów i marynarzy. Wstępnie założono, że fregaty zostaną uzbrojone w armatę kalibru 127/64 mm, dwa różne systemy obrony bezpośredniej, w tym zdalnie sterowane działka. W wypadku uzbrojenia rakietowego Turcy chcieliby umieścić w pionowych wyrzutniach m.in. pociski manewrujące krajowej konstrukcji, pociski przeciwlotnicze RIM-156 SM-2 Block IV i RIM-162 Evolved Sea Sparrow oraz raketotorpedy RUR-5 ASROC do zwalczania okrętów podwodnych. Inną bronią przeciwko okrętom podwodnym mają być lekkie torpedy. Oczywiście TF-2000 zostanie wyposażona również w pociski przeciwokrętowe, a na jej pokładzie znajdzie się hangar mieszczący dwa śmigłowce Seahawk lub inne podobnych rozmiarów. ■

„Gökova” i „Giresun” – poddano kolejnej modernizacji. Na okrętach zamontowano pionowe wyrzutnie Mk 41 (z ośmioma kontenerami) oraz trójwspółrzędne radary SMART-S Mk2. Tym samym te jednostki zyskały zdolność używania rakiet RIM-162 Evolved Sea Sparrow. Kolejnych osiem fregat zbudowano według niemieckiego projektu MEKO 200. Pierw-

sze cztery weszły do służby w latach 1987–1989, a pozostałe w latach 1997–2000. Choć był to ten sam projekt, dystans czasowy spowodował, że jednostki różnią się od siebie wypornością, rozmiarami, rodzajem siłowni i uzbrojeniem. Dlatego można wśród nich wyodrębnić dwa typy – Yavuz (starsze) i Barbaros.

Turcy mają jeszcze osiem korwet. Dwie najnowsze jednostki typu Ada, „Heybeliada” i „Büyükdada”, weszły do służby w 2011 i 2013 roku. Pozostałe należą do typu Burak. Pod tą nazwą skrywają się odkupione od Francji awiza typu d'Estienne d'Orves, znane też jako typ A69. Okręty te weszły do służby w latach 2001–2003. ■

Barbaros

Fregata niemieckiego projektu MEKO 200 weszła do służby w latach 1997–2000.



Ada

Wyporność [t]	2400
Długość [m]	99,56
Szerokość [m]	14,4
Zanurzenie [m]	3,85
Prędkość [w]	+29
Załoga	106

Dziesiąta partia F-35

USA 55



STANY ZJEDNOCZONE

Tańsze myśliwce

Dziesiątą partię samolotów wielozadaniowych F-35 Lightning II zamówił Departament Obrony, mimo wątpliwości prezydenta Donalda Trumpa dotyczących kosztów programu. Kontrakt opiewa na 90 maszyn za 728 mln dolarów i w porównaniu do dziewiątej partii cena jednostkowa my-

śliwca jest niższa o prawie 8%. Będzie ona jednak różna w wypadku poszczególnych wersji samolotu: za jeden F-35A trzeba będzie zapłacić 94,6 mln dolarów, za F-35B – 122,8 mln, a F-35C – 121,8 mln. 55 przeznaczono dla sił zbrojnych USA, a pozostałe dla zagranicznych odbiorców. ■

728 MLN DOLARÓW

SERBIA

Dar z Białorusi

Minister obrony Zoran Đorđević ujawnił dziennikowi „Politika”, że Serbia dostanie od Białorusi osiem myśliwców MiG-29 i dwa rakietowe systemy przeciwlotnicze Buk. Serbowie mają sfinansować remonty i modernizacje sprzętu, które zakończą się w 2018 roku. Lotnictwo serbskie ma już trzy MiG-29B i jeden MiG-29UB, więc dzięki podarowanym maszynom będzie możliwe ukompletowanie pełnej eskadry. Đorđević ujawnił, że planuje się też podjęcie negocjacji z Białorusią w sprawie kupna rakietowego systemu obrony powietrznej dalekiego zasięgu S-300. Białorusini mają wersje S-300P i S-300W. WRT ■

NORWEGIA

Co po ulach?

Rząd Norwegii zdecydował, że partnerem strategicznym w programie nowych okrętów podwodnych dla marynarki wojennej będą **Niemcy**.

Oba kraje złożą wspólne zamówienie na takie same jednostki i będą współpracować w czasie ich użytkowania. Nowe okręty powstaną na bazie projektu jednostek typu 212, które są już we flotach wojennych Niemiec i Włoch. Po zawarciu umowy międzyrządowej rozpoczną się rozmowy z ich producentem, firmą ThyssenKrupp Marine Systems. Norwegia podpisze umowę na cztery jednostki w 2019 roku. Dostawy następców sześciu okrętów typu Ula mają się rozpocząć w połowie przy-



HDW

szłej dekady i zakończyć do 2030 roku. Niemcy natomiast zamówią dwie dodatkowe jednostki typu 212, więc docelowo będą mieć osiem tych okrętów. W ■

STANY ZJEDNOCZONE

Przetasowania w programie T-X

Stopniała liczba firm, które wezmą udział w procedurze wyboru nowego samolotu do zaawansowanego szkolenia pilotów US Air Force (program T-X).

Amerkanie zamierzają kupić co najmniej 350 szkolnych odrzutowców, które zastąpią lecive maszyny T-38 Talon. Firmy Northrop Grumman i BAE Systems wydały 1 lutego wspólne oświadczenie, że

po analizie ostatecznych wymagań przedstawionych 30 grudnia 2016 roku zdecydowały się nie składać oferty. Kilka dni wcześniej, 25 stycznia,

o wycofaniu się z rywalizacji poinformował Raytheon, którego partnerem była włoska firma Leonardo. W grze pozostali zatem dwaj wielcy producenci samolotów – Lockheed Martin, którego partnerem jest firma Korea Aerospace Industries, oraz Boeing, współpracujący ze szwedzkim Saabem. WT ■



FEDERACJA ROSYJSKA

Prezentacja MiG-35

Lekki myśliwiec MiG-35, będący modyfikacją samolotu MiG-29, zaprezentowano delegacjom z ponad 30 krajów 27 stycznia 2017 roku w Łuchowicy w obwodzie moskiewskim. Dowódca wojsk powietrzno-kosmicznych Federacji Rosyjskiej gen. Wiktor Bondarijew poinformował, że planuje się zakup co najmniej 170 samolotów MiG-35. Kontrakt na pierwszych 30 maszyn ma zostać podpisany, jak tylko zakończą się badania tej konstrukcji w locie. Samoloty MiG-35 będą następcami myśliwców MiG-29. Paweł Bułat, szef Międzynarodowego Laboratorium Systemów Mechanicznych i Energetycznych na Uniwersytecie Technologii Informatycznych, Mechaniki i Optyki w Petersburgu oszacował, że

rosyjskie jednostki myśliwsko-bombowe potrzebują 80–100 maszyn, a myśliwskie 120–150. Emerytowany pułkownik Wiktor Litowkin, ekspert wojskowy agencji TASS, jednak sceptycznie wypowiedział się na temat zdolności firmy RSK MiG (Rosyjska Samolotostroitelnaia Korporacja) do uruchomienia produkcji bez wsparcia z zewnątrz. Nie podziela on również entuzjastycznych opinii dotyczących nowoczesności myśliwca. Według niego, MiG-35 jest konstrukcją spóźnioną o kilka lat.

Rosjanie liczą na zamówienia zagraniczne na MiG-35, głównie z Bliskiego Wschodu. Atutem nowego rosyjskiego myśliwca ma być cena, niecałe 17 mln dolarów. TED ■

AUSTRIA

Zamówienie na pandury

Dopiero pod koniec stycznia pojawiła się informacja, że przed miesiącem firma General Dynamics European Land Systems podpisała umowę z austriackim ministerstwem obrony na dostawę 34 kołowych transporterów opancerzonych Pandur w zmodernizowanej wersji sześciokołowej. Wozy mają mieć wzmocnioną ochronę balistyczną i przeciwminową, a także zdalnie sterowane moduły uzbrojenia. Dostawy pojazdów do armii rozpoczną się w 2018 roku. Pierwszych 71 transporterów Pandur Austriacy zamówili już w 1994 roku. TR ■



Pr 3/14 ZEC 2017 / POLSKA ZBRONIA

Wyraz „egzoszkielet” pochodzi od angielskiego „exoskeleton”, co znaczy szkielet zewnętrzny. I choć człowiek wyposażony w endoszkielet, czyli szkielet wewnętrzny, jest przyzwyczajony stawiać siebie jako wzorzec dla całego świata zwierząt, to prawda jest taka, że na naszej planecie dominują stworzenia egzoszkieletowe – czyli mięczaki i stawonogi – np. mrówki. Fascynują one ludzi od dawna, o czym świadczy choćby bajki dla dzieci, w których owady te, występujące pod każdą szerokością geograficzną, są synonimem siły i pracowitości. Największą ciekawość naukowców wzbudzał fakt, że są one w stanie przenieść cięż-

„The Steam Man of the Prairies” o przygodach młodego majsterkowicza Johnnego Brainerda, przemierzającego Amerykę razem z, jakżeby inaczej, humanoidalnym robotem napędzanym parą, którego sterowanie odbywało się z powozu. Zbieżność faktów zaiste zadziwiająca.

Pod koniec XIX wieku nastąpił wręcz wysyp mniej lub bardziej konkretnych projektów robotów napędzanych już nie parą, lecz silnikami na ropę i gaz. W niektórych przypadkach zakładano, że człowiek będzie siedział w środku maszyny. Dziś konstrukcje takie nazywamy mechami, mechbotami etc. Wtedy były ideą bez konkretnej nazwy. Podobnie zresztą jak pomysły polegające na nieco bardziej

KRZYSZTOF WILEWSKI

REWOLUCJA W CHODZENIU

Żołnierz biegnący przez kilkadziesiąt minut z prędkością około 30 km/h i jednocześnie dźwigający uzbrojenie ważące kilkaset kilogramów. Tak za kilkanaście lat mogą wyglądać obrazy z prawdziwego pola walki.

żar o wadze czterdziestokrotnie przewyższającej ich masę ciała. Człowiek dałby naprawdę wiele za takie możliwości.

Na przestrzeni wieków ludzie czynili wiele starań, aby zbudować maszyny pozwalające im szybciej biegać, dalej skakać, nosić większe ciężary. Przełom nastąpił dopiero wtedy, gdy nastała era rozwoju techniki i silników. Początkowo, po odkryciu napędów parowych, wynalazcy na całym świecie zafascynowali się koncepcją budowy „sztucznego” człowieka, czyli robota. W 1868 roku Zadoc P. Dederick i Isaac Grass opatentowali w Stanach Zjednoczonych napędzaną parą humanoidalną maszynę, której sterowanie odbywało się z przyczepionego do niej drewnianego powozu. Co bardzo ciekawe, dokładnie w tym samym roku, 1868, i również w Stanach Zjednoczonych, Edward Sylvester Ellis opublikował nowelę pod tytułem

EGZOSZKIELETY

**APARATY UŁATWIAJĄCE
CHODZENIE, BIEGANIE
I SKAKANIE**



HULC
egzoszkielet
czterokończynowy

LOCKHEED MARTIN, BERKELEY ROBOTIC & HUMAN ENGINEERING LABORATORY

wyrafinowanym połączeniu człowieka z maszyną, niż wsadzenie go do metalowej puszk.

W 1890 roku Nicholas Yagn, zamieszkały w Stanach Zjednoczonych, a pochodzący z rosyjskiego Petersburga naukowiec, opatentował „Apparatus for facilitating walking, running and jumping”, czyli aparat ułatwiający chodzenie, bieganie i skakanie. Ów wynalazek, a właściwie jego cztery wersje, był niczym innym jak wykonanym z drewna szkieletem, który człowiek miał włożyć na siebie

i umocować do tułowia, rąk oraz nóg specjalnymi pasami. W czym dodatkowy szkielet miał pomóc „nosicielowi”? Otóż w podstawowej wersji – bez napędu gazowego – dzięki sprężynom piórowym można było chodzić, wykonując kilkumetrowe susy.

Słusznie ktoś może zauważyć, że takie projekty pojawiały się już znacznie wcześniej. I to nie przed laty, ale nawet przed wiekami. Jednak Yagn stworzył nie tylko szkielet wspomagany sprężynami piórowymi, lecz także projekt oznaczony jako nr 4, w którym do poruszania ramionami i nogami miał służyć przenoszony na plecach niewielki silnik gazowy. Co było wyjątkowe w takim rozwiązaniu? Automatyzm. Projekt Yagna zakładał, że ów szkielet będzie pomagał człowiekowi bez konieczności sterowania nim – czego wymagają wspomniane wcześniej mechy.

ARMIA SIĘGA PIERWSZA

Jak się łatwo domyślić, najbardziej „ulepszeniem” człowieka za pomocą maszyn było zainteresowane wojsko. O ile jednak prace nad robotami bojowymi czy też, jak kto woli, mechami prowadzono już od lat dwudziestych ubiegłego wieku, o tyle koncepcja wyposażenia żołnierzy w egzoszkielety wzorowane na idei Yagna pojawiła się dopiero w po-

łowie lat sześćdziesiątych. Dlaczego? Dlatego że wtedy do użycia weszły podzespoły elektroniczne mogące sterować takim systemem, a przede wszystkim robić to bez jakiegokolwiek ludzkiej ingerencji. Kluczem były różnego rodzaju czujniki, zdolne odczytywać „zamiary” ciała, tak aby odpowiednio wzmocnić je mechanicznie.

Upraszczając, można wytłumaczyć to tak – gdy użytkownik będzie chciał ruszyć ręką, to szkielet powinien wy-czuć, np. z sygnałów wysyłanych przez układ nerwowy, taki zamiar odpowiednio wcześniej i włączyć się do niego w momencie ruchu.

Niestety, wszystkie projekty, które pojawiły się w latach sześćdziesiątych – na wyraźną finansową zachętę Pentagonu, który nie szczędził milionów dolarów na badania – pozostały w fazie planowania. Nie udało się ich zrealizować ani dużym, ani małym firmom. Nie powstały zatem ani zaproponowany w 1968 roku przez przemysłowego giganta General Electric egzoszkielet Hardiman, ani projekt „Superman suit”, wymyślony w 1966 roku przez naukowca z niewielkiego ośrodka akademickiego, Neila Mizena z Cornell University, który, jak donosiło czasopismo „Popular Science”, chciał opracować rozwiązanie umożliwiające podnoszenie ciężarów o wadze pół tony. Dlaczego? Powodów było wiele, ale dwa najważniejsze brzmią: sterowanie i zasilanie. Jeśli chodzi o sterowanie, to urządzenia mające zarządzać całym systemem elektronicznym →



BLEEX
egzoszkielet
dwukończynowy

EKSPERCI SĄ ZGODNI CO DO TEGO, ŻE JEŚLI CHODZI O WOJSKOWE **EGZOSZKIELETY**, TO JESTEŚMY W PRZED- DNIU REWOLUCJI NA MIARĘ DRONÓW

egzoszkieletu były w latach sześćdziesiątych zbyt mało wydajne, aby podołać zadaniom związanym z monitorowaniem ciała nosiciela i reagowaniem na jego czynności. Problemem było też zasilanie. Zapotrzebowanie egzoszkieletów na energię było duże, a nie było wówczas ogniw zasilających o odpowiedniej wartości i jednocześnie tak małych, żeby mógł je nosić człowiek (nawet wspomagany mechanicznie).

PRZEŁOM MINIATURYZACJI

Opracowane w latach osiemdziesiątych projekty, w odróżnieniu od tych z lat sześćdziesiątych, przyniosły wprawdzie efekt w postaci prototypów lub demonstratorów technologii, takich jak zbudowany przez naukowców z Los Alamos National Laboratory egzoszkielet o nazwie „Pitman” czy urządzenie o nieujawnionej nazwie, autorstwa inżynierów z wojskowego US Army Research Laboratory z Aberdeen. Na konstrukcje, w których został rozwiązany problem sterowania i zasilania, a więc nadające się do produkcji seryjnej, trzeba było jednak poczekać aż do obecnego stulecia.

Na początku ubiegłej dekady amerykańska agencja rządowa odpowiedzialna za opracowanie dla wojska innowacyjnych produktów (Defense Advanced Research Projects Agency – DARPA) uruchomiła program o nazwie „Exoskeletons for Human Performance Augmentation”. Jego celem było opracowanie, działającego bez ładowania przez kilka dni, egzoszkieletu, który umożliwi żołnierzowi nie tylko noszenie wyposażenia i uzbrojenia o wadze sprzętu przeznaczonego dla dwóch wojskowych, lecz także skakanie na wysokość co najmniej dwa razy większą niż potrafi to zrobić standardowo wyekwipowany żołnierz piechoty. Budżet programu, choć nie był imponujący, gdyż grant mógł opiewać maksymalnie na 75 mln dolarów, okazał się wystarczająco kuszący dla firm z branży high-tech. Należy w tym miejscu podkreślić, iż to DARPA szukała wykonawców zdolnych podołać temu wyzwaniu, podczas gdy na ogół to przemysł musiał zabiegać o względy urzędników i rządowe dofinansowanie.

Do prac nad egzoszkieletami dla amerykańskiego wojska DARPA wybrała dwa ośrodki: działające przy Uniwersytecie Berkeley laboratorium Berkeley Robotics & Human Engineering Laboratory oraz utworzoną w 1983 roku przy Uniwersytecie Utah firmę Sacros. Ta ostatnia, co ciekawe, specjalizowała się wówczas w budowie robotów przemysłowych, filmowych oraz przeznaczonych do parków rozrywki. Berkeley podjęło się opracowania dwóch konstrukcji – Bleexa (Berkeley Lower Extremity Exoskeleton), który był egzoszkieletem dwukończynowym, zakła-

danym tylko na pas i nogi, a także HULC-a (Human Universal Load Carrier) – egzoszkieletu czterołożynowego, czyli zakładanego zarówno na ręce, jak i nogi. Firma Sacros podjęła się budowy „XOS Exoskeleton”, który podobnie jak HULC miał być systemem czterołożynowym.

SUKCES KUSI WIELKICH

Ponieważ wszystkie wymienione projekty zakończyły się sukcesem – czyli opracowaniem funkcjonalnych prototypów, które trafiły do amerykańskiej armii do testów, szansę na miliardowe zlecenia dostrzegły największe koncerny zbrojeniowe i dość szybko przejęły kontrolę nad obiema konstrukcjami czterołożynowymi (Bleexem armia była średnio zainteresowana).

W przypadku HULC-a najlepsi inżynierowie pracujący nad tym projektem w Berkeley Robotics & Human Engineering Laboratory, czyli Homayoon Kazerooni, Russ Angold i Nathan Harding, którzy mieli większość praw autorskich do egzoszkieletu, w 2005 roku zdecydowali się utworzyć firmę Berkeley ExoWorks (dziś znaną jako Ekso Bionics) i na własny rachunek kontynuować prace badawcze. W 2009 roku spółka sprzedała prawa do HULC-a koncernowi Lockheed Martin, zachowując jednocześnie możliwość dalszego jego rozwijania (w kooperacji z lotniczym gigantem). W przypadku konstrukcji XOS firmy Sacros sprawa była o tyle prostsza, że w 2007 roku spółka została po prostu kupiona przez koncern Raytheon i dziś rozwija już drugą wersję egzoszkieletu o nazwie XOS 2, pod skrzydłami raketowego giganta.

KROK PRZED REWOLUCJĄ

Eksperti są zgodni co do tego, że jeśli chodzi o wojskowe egzoszkielety, to jesteśmy w przededniu rewolucji na miarę dronów, które stały się na tyle zaawansowane technicznie i przy tym relatywnie tanie, iż mogą być nawet częścią osobistego wyposażenia żołnierza piechoty. Konstrukcje z ubiegłej dekady, czyli HULC i XOS, a także ich europejskie odpowiedniki, jak francuski Hercule czy rosyjski egzoszkielet z programu „Ratnik 2/3”, oraz chińska konstrukcja rozwijana przez 202 Institute of China Ordnance Industry Group, są dopracowywane i za pięć, może dziesięć lat powinny już spełniać wyśrubowane wymagania wojska, m.in. w zakresie bezpieczeństwa użytkowania i odporności na uszkodzenia na polu walki. Wówczas, jeśli armie będą nimi nadal zainteresowane, trafią do „linii”. A że będą, to raczej przesądzone. Które siły zbrojne nie chciałyby mieć żołnierzy biegających szybciej i dźwigających kilkaset kilogramów amunicji i broni? ■

RAFAŁ
CIASTOŃ

Tajna broń Bizancjum



Niewiele jest broni tak tajemniczej jak ogień grecki. Receptura jego wytwarzania była utrzymywana w wielkim sekrecie, co sprawiło, że zaginęła w mroku dziejów i dziś możemy się jedynie domyślać składu substancji, przed którą w wiekach średnich musiał żywić obawy dowódca każdej floty mierzącej się z flotą Cesarstwa Bizantyjskiego.

Wynalazek jest przypisywany niejakiemu Kallinikosowi, syryjskiemu inżynierowi (choć część źródeł wspomina o jego egipskim pochodzeniu), który zbiegł do Konstantynopola i około 670 roku miał zainteresować wynalazkiem cesarza Konstantyna IV. Ogień grecki po raz pierwszy zastosowano cztery lata później, podczas obrony miasta przed wojskami Umajjadów. Część badaczy przyjmuje jednak, iż Kallinikos jedynie zmodyfikował znaną już wcześniej, być może od czasów starożytnych, recepturę, a przy tym opracował sposób miotania substancji, czyniąc ją operacyjnie użyteczną, jak byśmy to dziś określili.

Ogień grecki stosowano od VII do XII wieku, przy czym nie do końca jest pewne nawet, jak osiągnąć zapłon – wydaje się, że sposobów było kilka. W przypadku miotania z umiejscowionych na dziobach okrętów syfonów następowało to najpewniej wskutek zetknięcia z płomieniem ulokowanym u jego wylotu, pociski zaś wyrzucane z katapult mogły być wyposażone w rodzaj lontu. Innym sposobem było użycie miedzianych rur i materiału miotającego opracowanego zapewne na bazie saletry. Dzięki stosowaniu wapna palonego substancja mogła także ulegać samozapłonowi w wyniku zetknięcia z wodą (czasami w tej wersji jest ona nazywana ogniem bizantyjskim). Pewne jest jedno – ugaszenie pożaru wywołanego ogniem greckim było niemal niemożliwe, skoro bowiem nie działała nań woda. Można było to osiągnąć albo przez odcięcie dostępu powietrza, albo wyczerpanie się paliwa, co w przypadku drewnianego statku oznaczało jego zagładę. Zasięg syfonów wynosił około 20 m, w przypadku miotania z rur podawana jest wartość nawet 75 (!) m, ta jednak jest kontestowana przez historyków.

Przyjmuje się, że w składzie substancji znajdowały się: ropa naftowa, siarka, kauczuk, wspomniane już saletra i wapno, żywica, kamień winny, sok mleczny, nieznane są jednak proporcje i sposób przygotowania mieszaniny. Żyjący w XIII wieku Marek Grek pisał o gotowaniu składników i nasycaniu pakuł. Czy był to jedyny sposób sporządzania substancji, czy też odnosił się np. do produkcji pocisków do katapult, tego nie wiemy.

Dzięki inskrypcji znajdującej się na jednej z tablic w kościele Hagia Sophia dowiadujemy się, iż za ujawnienie tajemnicy związanej z produkcją ognia greckiego groziła utrata czci i śmierć. Bizantyjscy władcy dbali o to, aby receptura nie wpadła w niepowołane ręce. Dzięki niej odnieśli kilka ważnych zwycięstw – podczas kolejnego oblężenia stolicy przez Arabów w 718 roku, ataku Rusinów w 941 roku czy walk z flotą Pizy w 1103 roku. To ostatnie opisała w swej Aleksjadzii Anna Komnena, córka cesarza Aleksego. Ostatni udokumentowany przypadek zastosowania ognia greckiego dotyczy wewnętrznych walk w cesarstwie w roku 1187, kilkanaście lat później doszło do zdobycia Konstantynopola przez wojska IV krucjaty i powstania Cesarstwa Nicejskiego, a receptura cudownej broni Bizancjum odeszła w zapomnienie.



RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

STRATEGIE

/ BLISKI WSCHÓD



Armia izraelska
jest gotowa
do odparcia
najbardziej
niespodziewanych
ataków.

TOMASZ OTŁOWSKI

GEOPOLITYCZNA ZADYSZKA

Po latach nieustannych wojen Izraelczycy
od dekady cieszą się względnym
spokojem. Paradoksalnie obróciło
się to przeciwko nim.



Schyłek drugiej dekady XXI wieku zapisze się najpewniej w historii Izraela jako okres znacznego pogorszenia pozycji tego państwa w regionie. Stało się tak pomimo trwającego stosunkowo długo relatywnego pokoju w relacjach z arabskimi sąsiadami i wewnętrznego spokoju. Warto więc się zastanowić – u progu przypadającej już za rok 70. rocznicy powstania nowożytnego państwa żydowskiego – jakie są przyczyny tej „geopolitycznej zadyszki” Izraela.

ZABRAKŁO SZCZĘŚCIA

Na nie najlepszą sytuację strategiczną Izraelałożyło się wiele czynników, w większości niezależnych od siebie i działających z różną mocą, choć zaistniałych niemal równocześnie. I mimo że ich koincydencja wydaje się przypadkowa, stanowi dowód na zasadność starej jak świat prawdy, że fortuna kołem się toczy. W funkcjonowaniu i rozwoju państw – zwłaszcza tych, które tak jak Izrael aspirują do rangi regionalnych mocarstw – wiele zależy od pomyslnego rozwoju wydarzeń w ich otoczeniu międzynarodowym. Tym najbliższym, ale i tym szerszym, globalnym. Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat takiego szczęścia najwyraźniej Izraelczykom zaczyna brakować.

Początek serii pechowych dla Tel Awiwu-Jafy wydarzeń to nierozstrzygnięta wojna w Libanie (2006 rok), której Izraelczycy nie zdołali – trochę na własne życzenie – wygrać. Tymczasem w realiach bliskowschodnich w ogóle, a izraelskich w szczególności, takie nierozegrane strategicznie partie muszą się prędzej czy później zemścić. Brak zwycięstwa oznacza zatem perspektywę niemal pewnej klęski, odsuniętej jedynie w czasie. Późniejsze wydarzenia w otoczeniu Izraela – zwłaszcza przebieg wojny z Państwem Islamskim, wynoszący do rangi bohaterów głównych wrogów regionalnych Tel Awiwu-Jafy – zdają się potwierdzać tę ogólną prawidłowość w stosunkach międzynarodowych

na Bliskim Wschodzie. Istotne problemy państwa żydowskiego zaczęły się wiosną 2011 roku, gdy w dużej części arabskich krajów regionu Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu (Middle East & North Africa – MENA) wybuchła seria społecznych rewolt i niepokojów, nazywanych później Arabską Wiosną. To wtedy właśnie dotychczasowy – niestabilny i kruchy, ale mimo to względnie przewidywalny – układ strategiczny w całym szeroko ujmowanym regionie MENA legł w gruzach.

Tamte wydarzenia objęły niemal wszystkich sąsiadów Izraela, szczególnie Egipt i Syrię, gdzie zburzyły ład polityczny – niewątpliwie daleki od demokratycznego, ale gwarantujący wewnętrzny porządek społeczno-polityczny. Po 2011 roku to właśnie brak przewidywalności co do kluczowych ośrodków politycznych regionu bliskowschodniego stał się główną przyczyną strategicznych kłopotów państwa żydowskiego. Nagle okazało się, że izraelscy stratedzy, dyplomaci i eksperci wywiadu nie są w stanie podjąć próby przepowiedzenia przyszłości. Zabrakło danych, źródeł informacji, a zaczęły królować (zwłaszcza w Syrii, Libii czy Jemenie) chaos i anarchia. Z tego powodu tamtejsze konflikty stały się gwałtowne, brutalne i całkowicie nieprzewidywalne, a co najgorsze – płonące głównie dzięki „paliwu religijnemu”; chodzi przede wszystkim o rywalizację między różnymi frakcjami islamskich sunnickich ekstremistów w walce z niewiernymi (jazydami, chrześcijanami) oraz herezykami w łonie islamu, głównie szyitami.

SYRYJSKIE JĄDRO CIEMNOŚCI

Wojna domowa w Syrii – najgorszy z obecnych konfliktów regionalnych, do tego toczący się tuż przy granicy z Izraelem – trwa już szósty rok i coraz bardziej narusza geopolityczne umocowania państwa żydowskiego. Zamienił się on w swoiste jądro ciemności, w którym



Prezydent elekt Donald Trump podczas spotkania z premierem Izraela Benjaminem Netanjahu. Tel Awiw-Jafa, listopad 2016.

IZRAELSKIE ELITY RZĄDOWE Z WIELKĄ NADZIEJĄ PRZYJĘŁY WYBÓR DONALDA TRUMPA NA KOLEJNEGO PREZYDENTA USA

bezmiar okrucieństwa bije wszelkie rekordy. Ta wojna od dawna jest w istocie „starciem zastępczym” (proxy war) między niemal wszystkimi regionalnymi graczami, przez co stała się czymś w rodzaju soczewki, ogniskującej większość starych i wiele nowych problemów w relacjach między państwami Bliskiego Wschodu. Na dodatek tamtejsze konflikty są podgrzewane przez zaangażowanie – nie zawsze konstruktywne – potęg globalnych, które bezwzględnie wykorzystują dramat syryjski do realizacji własnych interesów.

Izrael na razie uniknął bezpośredniego niekorzystnego wpływu sąsiedztwa tego konfliktu, ale to, że syryjskie piekło nie ogarnęło jeszcze państwa żydowskiego, powinno być uznane za wielki sukces tamtejszych strategów i dyplomatów. Wraz z upływem czasu wojna w sąsiednim kraju zaczyna jednak pośrednio wpływać na strategiczną pozycję Tel Awiwu-Jafy. Do najważniejszych negatywnych czynników należy zaliczyć wzrost znaczenia Islamskiej Republiki Iranu, umocnienie się jego wpływów w Iraku i Libanie, a także eskalację aktywności islamskiego fundamentalizmu sunnickiego i terroryzmu w całym regionie. Równie niekorzystne dla Izraela są też zmiana taktyki Turcji (która w szybkim

tempie radykalizuje się i odsuwa od Zachodu) i wzrost bezpośredniego zaangażowania (także militarnego) Rosji na Bliskim Wschodzie.

EPOKA LODOWCOWA

Na ogromne geopolityczne kłopoty Izraela miał jednak wpływ nie tylko chaos w jego otoczeniu międzynarodowym. Istotne są też niekorzystne zmiany w stosunkach z sojusznikami, szczególnie ze Stanami Zjednoczonymi. Gdy dekadę temu pojawiły się pierwsze opinie (wówczas formułowane jeszcze w sposób niepewny i opatrzone wieloma zastrzeżeniami), w których wskazywano na problemy w relacjach Tel Awiwu-Jafy z Waszyngtonem – niemal nikt nie traktował ich poważnie. Teraz nie ma już chyba żadnych wątpliwości, że izraelsko-amerykańskie relacje przeżywają największe ochłodzenie w historii. Na ten stan złożyło się wiele elementów, ale bardzo ważny jest ośmioletni okres prezydentury Baracka Obamy, którego administracja na arenie międzynarodowej kierowała się głównie pobudkami ideologicznymi, a nierzadko wręcz idealistycznymi.

Skutkiem takiej woluntarystycznej polityki zagranicznej Waszyngtonu było m.in. przedwczesne wycofanie sił →

amerykańskich z Iraku w 2011 roku (pośrednio skutkujące późniejszym powstaniem Państwa Islamskiego i jego kalifatu) czy równie pochopne zakończenie operacji militarnej NATO w Afganistanie (rok 2014). Rezultatem prymatu ideologii nad realizmem w polityce międzynarodowej Obamy stało się także stopniowe, ale zauważalne zaostrożenie kursu wobec Izraela i ochłodzenie wzajemnych, dotychczas niezwykle bliskich, relacji. W głównej mierze był to efekt odrzucenia przez Izraelczyków planów administracji USA dotyczących rozwiązania kwestii palestyńskiej. Sztandarowego projektu politycznego Obamy, który wraz z polityką resetu wobec islamu oraz normalizacją stosunków z Iranem wyznaczał główne kierunki polityki Waszyngtonu wobec regionu bliskowschodniego w czasie obu kadencji prezydenta. Tymczasem skuteczna realizacja przez Stany Zjednoczone choćby już jednego elementu z tej triady oznaczała wejście na kurs kolizyjny z fundamentalnymi interesami Izraela. Wszystkie trzy stanowiły dla państwa żydowskiego śmiertelne wręcz zagrożenie.

Jakby tego było mało, kluczowe mocarstwa i kraje europejskie – te same, których rządy i opinia publiczna od lat niechętnie patrzą na politykę Izraela wobec Palestyńczyków i świata islamu – poparły takie działania USA. Zresztą w wielu państwach starej Unii Europejskiej zaczyna odżywać demon antysemityzmu, karmiony ideologicznymi hasłami propalestyńskiej nowej lewicy, skumulowanymi długookresowymi efektami polityki multikulti oraz rosnącą w siłę pozycją diaspory muzułmańskiej. Paradoksalnie, dzisiaj to środowiska i ugrupowania szeroko rozumianej europejskiej prawicy są największymi obrońcami i sprzymierzeńcami Izraela oraz społeczności żydowskich żyjących w Europie.

SPOŁECZNOŚĆ POSTHEROICZNA

Warto też wspomnieć o wielu elementach rzutujących na pozycję strategiczną Izraela, o których rzadko się wspomina w kontekście tego tematu. Chodzi o czynniki wewnętrzne – społeczne, demograficzne, polityczne i kulturowe – które mają coraz większy wpływ na funkcjonowanie państwa izraelskiego. Ich oddziaływanie jest trudne do zbadania empirycznymi metodami, ale wytrawni obserwatorzy życia społeczno-politycznego (nie tylko izraelskiego, problemy te są bowiem tożsame dla wielu liberalnych społeczeństw z wysoko rozwiniętych, bogatych państw szeroko rozumianego Zachodu) są w stanie uchwycić już pewne procesy.

Jednym z nich jest malejąca liczba urodzeń. W Izraelu w ciągu kilku ostatnich lat możemy odnotować spadek rzędu tysiąca rocznie (przy ogólnym przyroście naturalnym na poziomie 1,7%). W kraju, w którym demografia ma bezpośredni wpływ na bezpieczeństwo narodowe,



W wiek dojrzały wchodzi pokolenie, które nie pamięta żadnej dużej wojny. Na zdjęciu izraelscy poborowi kompletują elementy umundurowania polowego.



oznacza to potencjalny problem. Skoro na świat przychodzi coraz mniej obywateli, konieczne jest ich zdobywanie w inny sposób. Jedną z metod jest zwiększona imigracja do Izraela osób wyznania mojżeszowego z całego świata – w praktyce głównie z obszarów byłego Związku Sowieckiego. Jednak ci naprawdę ideowi (i religijni) żydzi, którzy chcieli emigrować z Europy Wschodniej, już dawno do Izraela przybyli. Teraz, zachęceni szczodrymi obietnicami rządu izraelskiego, przyjeżdżają ludzie, którzy często nie znają języka hebrajskiego, a nawet tradycji, kultury i religii swych przodków. Przywożą za to własne, specyficzne postsowieckie nawyki i elementy kulturowe. Ich asymilacja, głównie na poziomie kulturowo-religijnym i edukacyjnym, jest niezwykle trudna i pochłania olbrzymie koszty. Budzi też kontrowersje polityczne, imigranci są bowiem osadzani głównie na spornych z Palestyńczykami obszarach Zachodniego Brzegu.

Miniona dekada względnego spokoju w życiu Izraelczyków sprawiła również, że w tamtejszym społeczeństwie w wiek dojrzały wchodzi pokolenie, które nie pamięta żadnej dużej wojny. Do ostatniego konfliktu na większą skalę, angażującego cały naród i wszystkie struktury państwa, doszło w Izraelu w 2006 roku (tzw. druga wojna libańska). Wówczas kilkuletnie dzieci dzisiaj osiągnęły dorosłość i cieszą się z ostatnich dziesięciu lat życia bez grozy wojny, bombardowań czy ostrzału raketowego. Oczywiście nie dotyczy to tych, którzy wychowywali się



ISRAELI GOVERNMENT PRESS OFFICE

POKOLENIE BENEFICJENTÓW POKOJU

W DUŻEJ CZĘŚCI JEST NEGATYWNIE NASTAWIONE DO JAKIEJKOLWIEK AKTYWNOŚCI MILITARNEJ, NAWET W OBRONIE KRAJU

na Zachodnim Brzegu (w osiedlach osadników żydowskich) czy w regionach Izraela graniczących ze Strefą Gazy, notorycznie nękanych rakietowymi wyczynami artylerzystów palestyńskiego Hamasu. Jest to w Izraelu sytuacja niebywała, która rodzi jednak wiele nieoczekiwanych i niekorzystnych dla państwa konsekwencji.

Otóż okazuje się, że dorastanie w warunkach relatywnego spokoju, a do tego w realiach ekonomicznej prosperity i dynamicznego rozwoju nowoczesnych technologii komunikacyjnych sprawia, że pokolenie beneficjentów pokoju w dużej części jest negatywnie nastawione do jakiegokolwiek aktywności militarnej – nawet w obronie kraju. Socjologowie i rabini biją na alarm, a politycy, wojskowi

planiści oraz eksperci z dziedziny bezpieczeństwa już zastanawiają się, jak zapewnić w najbliższych latach odpowiedni poziom moralny i ideowy nowych kadr dla sił zbrojnych i struktur bezpieczeństwa państwa. Zwłaszcza w izraelskich realiach, gdzie obowiązuje powszechny pobór do armii, bez względu na płeć.

Problem jest dzisiaj jeszcze marginalny, ale już za kilka lat może stać się rzeczywiście poważny. Potwierdziłyby się wówczas w odniesieniu do państwa żydowskiego prorocze słowa jednego z irańskich polityków sprzed ponad dekady: „Ludzie Zachodu nie mają dziś woli walki. Ten fenomen nie jest jednak nowy – wszystkie imperia w przeszłości doprowadzały do pojawienia się takiego typu ludzi: nastawionych materialistycznie, przyzwyczajonych do życia w luksusie i wygodzie, unikających nadmiernego ryzyka i pozbawionych woli walki oraz ponoszenia wyrzeczeń”. Zachodnia socjologia i psychologia społeczna ukuła już określenie dla tego etapu rozwoju społeczeństw bogatych państw zachodnich: społeczność postheroiczna.

MANNA Z NIEBA

Przed Izraelem zatem wiele wyzwań. Do starych kłopotów, takich jak agresywność lub nieprzewidywalność arabskich sąsiadów, doszły nowe – w postaci choćby nieuchronnych zmian w zachowaniu i postawach młodego pokolenia czy kulturowych i politycznych problemów z rosyjskojęzycznymi imigrantami z krajów dawnego ZSRS. Nie powinno zatem dziwić, że izraelskie elity rządowe z wielką nadzieją przyjęły wybór Donalda Trumpa na kolejnego prezydenta USA. Choć to, jakie będą jego decyzje odnośnie do kluczowych trudności i wyzwań płynących z regionu MENA wciąż pozostaje w większości zagadką, z perspektywy Tel Awiwu-Jafy wszystko będzie i tak lepsze niż kolejna prezydentura demokratów.

Pierwsze decyzje i wypowiedzi prezydenta Trumpa oraz jego głównych współpracowników, odpowiedzialnych za politykę zagraniczną, zdają się potwierdzać wcześniejsze przypuszczenia, że strategia USA wobec największych wyzwań i zagrożeń z regionu bliskowschodniego ulegnie radykalnym zmianom, które przynajmniej w części mogą okazać się zgodne z interesami i celami strategicznymi państwa żydowskiego. Chodzi tu np. o zaostrzenie amerykańskiego kursu wobec Iranu czy bardziej realistyczne podejście do kwestii palestyńskiej. Przewidywany powrót do dawnej sieci sojuszy w regionie oznaczałby natomiast, że „epoka lodowcowa” w relacjach amerykańsko-izraelskich może wreszcie ostatecznie przejść do historii. Tel Awiw-Jafa czeka na taki reset w relacjach ze swym najważniejszym sojusznikiem niemal jak na mannę z nieba. ■

TADEUSZ WRÓBEL

Nieustanne zmiany

Izraelskie Siły Obronne rozpoczęły prace nad programem modernizacji do 2030 roku, który ma je przygotować do stawienia czoła przyszłym wyzwaniom.

Sytuacja w sferze bezpieczeństwa wokół Izraela stała się niezwykle skomplikowana. W Syrii rozgrywa się krwawy konflikt wewnętrzny, w którym ważnym graczem jest zaciekły wróg państwa żydowskiego – Iran. Teheran, przez szyicką organizację Hezbollah, ma od lat bardzo silne wpływy w sąsiednim Libanie. W Egipcie wojsko odsunęło od władzy środowisko Bractwa Muzułmańskiego, ale problemów przysparzają inne grupy ekstremistyczne powiązane z tzw. Państwem Islamskim. Izraelczyków najbardziej niepokoi Iran. Nie wierzą w szczerość jego przywódców, którzy przekonują, że nie zamierzają wejść w posiadanie broni nuklearnej. W dodatku skomplikowały się stosunki z Turcją. Zmiany na tamtejszej scenie politycznej spowodowały, że Ankara nie jest już postrzegana jako sojusznik. Dlatego Izrael stara się dostosować swój potencjał obronny do przyszłych zagrożeń bezpieczeństwa. Od 2016 roku jest realizowany pięcioletni program modernizacji Sił Obronnych Izraela (Israel Defence Forces – IDF), znany jako plan „Gedeon”. Na początku tego roku ujawniono rozpoczęcie prac nad programem modernizacji sił zbrojnych do 2030 roku.

AMERYKAŃSKIE WSPARCIE

Istotną kwestią w programach modernizacji sił zbrojnych jest ich finansowanie. Izrael nie byłby w stanie samodzielnie pokryć kosztów zbrojeń, dlatego ważne będzie wsparcie ze strony Stanów Zjednoczonych. Na portalu Defense News przytoczono wypowiedzi szefa pionu planistycznego (J-5) IDF, gen. mjr. Amikama Norkina, który przyznał, że kluczowe będzie obiecanie przez USA 38 mld dolarów, które zostaną przekazane w latach 2019–2028. Wskazał również, że plan „Gedeon” opiera się na tym, że amerykańska pomoc finansowa na potrzeby obronne będzie na poziomie 3,1 mld dolarów rocznie. Oszacowano, że w latach 2016–2020 pochłonie on około połowy z 310 mld szekli (78,6 mld dolarów), które Izrael zamierza wydać w tym okresie na obronność.

Według porozumienia pomiędzy Izraelem a USA z września 2016 roku, Izraelczycy mają otrzymywać co

roku od USA 3,3 mld dolarów z programu „Foreign Military Financing” (FMF) oraz dodatkowo po 0,5 mld dolarów na programy obrony przeciwrakietowej.

Gen. Norkin powiedział, że długoterminowy plan modernizacji IDF będzie obejmował 12 obszarów: działania sieciocentryczne, cybernetykę, wywiad, obronę powietrzną, dominację powietrzną, bezpieczeństwo granic, obronę morską, mobilność lądową, wielowymiarowe uderzenia, głębokie rajdy (dalekiego zasięgu działania wojsk specjalnych), logistykę oraz obszar nazwany wojną pomiędzy wojnami. Izraelscy planiści wojskowi starają się określić, jak może się zmienić Bliski Wschód w ciągu najbliższych 10–15 lat, i tak zaadaptować do tych obszarów system obronny, żeby zapewnić sobie przewagę nad potencjalnymi przeciwnikami. Do tego będzie konieczne wdrożenie nowych technologii i rozwiązań organizacyjnych.

NAJPIERW GEDEON

Realizowany już plan „Gedeon” ma przygotować IDF do działań lądowych, morskich, powietrznych i cybernetycznych przeciwko każdemu przeciwnikowi, w konfliktach o różnym charakterze. Jedną z kluczowych zmian jest odchodzenie od sił zbrojnych opartych na masowej rezerwie na rzecz mniejszych sił stałych, gotowych do bardzo szybkiego reagowania na zagrożenia. Izraelscy politycy i wojskowi starają się przygotować wojsko do wyzwania, którym może być równoległe prowadzenie działań militarnych na różnych teatrach, np. na północnej granicy z Libanem i Syrią, terytoriach palestyńskich, a może nawet wojna z Iranem.

Jednym z zagrożeń dla Izraela są ataki rakietowe. Dlatego plan „Gedeon” przewiduje dalszy rozwój zdolności defensywnych przez zwiększenie o co najmniej jedną liczbę baterii systemu Iron Dome, rozmieszczenie nowych zestawów David Sling Arrow-3 oraz modernizację już posiadanych Arrow-2. W planie uwzględniono również bezpieczeństwo cybernetyczne. Zapowiedziano utworzenie połączonego dowództwa, które pozwoli efektywniej wykorzystać rozproszone dotąd zdolności w tej dziedzinie.

Liczba rezerwistów będzie zmniejszona o 100 tys., ale mają być oni wyszkoleni i wyposażeni na czas wojny. O 6% postanowiono zredukować liczbę dowództw. W wojskach lądowych „Gedeon” przewiduje rozformowanie dwóch dywizji oraz brygad lekkiej piechoty i artylerii. Od 1985 roku IDF zredukowały trzy czwarte czołgów. Postanowiono przenieść 162 Dywizję z Dowództwa Centralnego do Dowództwa Południowego i podporządkować jej brygadę Givati. Jednocześnie w nowej Brygadzie Komandosów skupiono jednostki specjalne. Maglan i Duvdevan były wcześniej podporządkowane 35 Brygadzie Spadochronowej, Rimon – brygadzie Givati, a Egoz – brygadzie Golani. W siłach powietrznych ze służby będą wycofywane starsze wersje myśliwców F-16, które zostaną zastąpione nowej generacji maszynami F-35. Kontynuowane będą zakupy dronów. Znaczące inwestycje zostaną poczynione w marynarce wojennej, która w 2018 roku ma otrzymać szósty okręt podwodny typu Dolphin. W latach 2019–2020 mają być dostarczone korwety rakietowe typu Sa’ar-6. Cztery jednostki zamówiono w 2015 roku Niemczech. Niemcy sfinansują w jednej trzeciej koszty ich budowy.

Liczba żołnierzy zawodowych zmniejszy się o 2,5 tys., tj. do 40 tys. Posunięcie to ma zarówno przynieść oszczędności, jak i odmłodzić kadry dowódcze. Jednocześnie postanowiono skrócić czas obowiązkowej służby wojskowej dla poborowych (mężczyzn), z 36 do 32 miesięcy, w 2020 roku o kolejne trzy miesiące. Będzie to dotyczyć, oprócz mężczyzn, także kobiet na stanowiskach bojowych. Dla pań w jednostkach niebojowych zostanie utrzymany dwuletni okres służby. Przewiduje się też sformowanie następnego koedukacyjnego batalionu, przeznaczonego do patrolowania granic. Jednocześnie zmniejszy się liczba jednostek złożonych z członków mniejszości etnicznych – Beduinów i Drużów. Rozformowany już został drużyjski batalion Herev, a jego żołnierzy rozdzielono między różne oddziały.

Izraelscy decydenci mają świadomość, że środowisko bezpieczeństwa ciągle się zmienia. W przeszłości głównym przeciwnikiem państwa żydowskiego były kraje arabskie. Teraz coraz większym zagrożeniem stają się podmioty niepaństwowe – grupy terrorystyczne. Do przeciwstawienia się im IDF potrzebują nowych zdolności, które muszą uzyskać mimo ograniczonych możliwości finansowych, w sytuacji gdy trzeba liczyć każdą szekle. ■



WITOLD REPETOWICZ

WROTA KŁĘSKI

Niewielkie, 60-tysięczne Al-Bab stało się jednym z symboli wojny w Syrii. Jest to jednak symbol szczególny, wyraz geopolitycznej gry, ale również militarnej kompromitacji Turcji.

P o arabsku Al-Bab oznacza „brama”. Swą nazwę miasto zawdzięcza temu, że stanowiło północno-wschodnie wrota do odległego o 35 km Aleppo. Znaczenie to poniekąd odżyło i w tej wojnie. Gdy w końcu sierpnia 2016 roku turecka armia wkraczała do Syrii, towarzyszące jej oddziały syryjskich rebeliantów miały nadzieję, że rychłe zdobycie Al-Bab otworzy im drogę do Aleppo. Wynik bitwy o to kluczowe miasto w Syrii nie był wtedy jeszcze przesądzony, gdyż niemal w tym samym czasie rebelianci przerwali oblężenie wschodniego Aleppo i na krótko zablokowali zachodnią, kontrolowaną przez siły rządowe, jego część.

Ofensywa na Al-Bab okazała się korzystna dla Rosjan. Pomogła im zmienić układ sił w całej prowincji, i to paradoksalnie na swoją korzyść. Turcy wkroczyli bowiem do Syrii zaledwie dwa tygodnie po szczycie Putin – Erdoğan w Petersburgu i ich cel był zupełnie inny niż towarzyszącym im rebeliantów. Dla Ankarę najważniejsze było zapobieżenie „połączeniu kantonów”.

Al-Bab stało się bramą również w innym sensie. W lutym 2016 roku, zdominowane przez Kurdów Syryjskie Siły Demokratyczne (Syrian Democratic Forces – SDF) zdobyły miasteczko Tell Rifaat i kilka wiosek położonych na wschód od niego. Natarcie szło ze znajdującego się w północno-zachodniej części prowincji Aleppo kurdyjskiego kantonu Efrin. Jest to jedyna część proklamowanej przez syryjskich Kurdów i ich sojuszników autonomicznej Rożawy (obecna nazwa to Demokratyczno-Federalny System Północnej Syrii) oddzielona od reszty tego terytorium. Dla Kurdów zjednoczenie tych ziem od dawna było prioryte-



tem, Turcja zaś była gotowa na wszystko, by do tego nie dopuścić. Tymczasem w czerwcu SDF kantonu Kobane (północno-wschodnia część prowincji Aleppo) ruszyły na Manbidż, uzyskując po raz pierwszy bezpośrednie wsparcie sił specjalnych USA. Po prawie trzech miesiącach walk było już po wszystkim i proklamowano powstanie czwartego (obok Efrinu, Kobane i Dżaziry) kantonu Rożawy: Szahby. Co więcej, odległość między pozycjami SDF na wschodzie i zachodzie zmniejszyła się do 50 km, a jedynym większym miastem na tej drodze było Al-Bab.

ROSJA ZACIERA RĘCE

Dla Rosjan i Baszszara al-Asada turecka interwencja była korzystna z trzech powodów. Po pierwsze, Turcja odciągnęła część sił rebelianckich z Aleppo, ułatwiając rządową ofensywę. Było to działanie świadome, efekt porozumień turecko-rosyjskich. Potwierdzeniem jest spór między rebeliantami, wśród których pojawiły się oskarżenia Turcji o zdradę po upadku wschodniego Aleppo w końcu grudnia 2016 roku, i początek rozłamu w największym ugrupowaniu poza Al Kaidą – Ahrar al-Szam. Po drugie,

OFENSYWA NA AL-BAB NEGA- TYWNIIE ZWE- RYFIKOWAŁA OPINIĘ O TU- RECKIEJ ARMII JAKO „DRUGIEJ ARMII NATO”

istnienie autonomicznej Rożawy jest nie na rękę i Rosjanom, i Asadowi, który dąży do odzyskania autorytarnej władzy nad całą Syrią. Za rosyjskimi deklaracjami wsparcia dla Kurdów nie poszły konkrety (oprócz incydentu pod Tell Rifaat). Rosjanie robią to zresztą tylko po to, żeby szachować Turcję groźbą realnej pomocy kurdyjskim partyzantom w samej Turcji. Po trzecie, obecność sił USA w północnej Syrii też jest nie po myśli Rosjan i Asada, zwłaszcza że Amerykanie zaczęli budować tam swoje bazy. Rosjanie liczyli zatem na to, że uda im się doprowadzić do walk turecko-kurdyjskich w północnej Syrii,

zerwania współpracy między USA a SDF i że zmuszą Kurdów do zwrócenia się o mediację do Rosji.

Trzeci punkt tego planu został osiągnięty tylko częściowo. Amerykanie początkowo aktywnie wsparli turecką operację „Tarcza Eufratu”, jednak wycofali pomoc, gdy Turcy, zamiast atakować Państwo Islamskie, ruszyli w kierunku Manbidżu, nacierając na pozycje SDF. W tym czasie USA szykowały się razem z SDF do operacji „Gniew Eufratu”, której celem jest izolacja „stolicy” Państwa Islamskiego – Ar-Rakki. Operacja rozpoczęła się 6 listopada, ale wcześniej USA musiały rozlokować swoje siły na północ od Manbidżu, tak by uniemożliwić Turcji kontynuowanie ataku. 20 października Turcy znów uderzyli na Kurdów, tym razem zbombardowali ich pozycje w rejonie Tell Rifaat. W nalotach mogło zginąć nawet 200 osób, ale pod naciskiem zarówno USA, jak i Rosjan Turcja musiała zrezygnować z tego uderzenia. Bitwa o Aleppo nie była jeszcze skończona, a Tell Rifaat znajdowało się 25 km od pozycji rebeliantów, we wschodniej części tej metropolii. Dla Rosjan i Asada ryzyko było zbyt duże.

Turcji nie pozostało nic innego, jak ruszyć na Al-Bab. Zaczął się swoisty wyścig, gdyż SDF również rozpoczęły ➔



Gdy Turcy przekroczyli syryjską granicę, terroryści bez walki oddali dziesięciotysięczny przygraniczny Dżarabulus. Jak dotąd, to największa zdobycz „Tarczy Eufratu”.

natarcie na pozycje Państwa Islamskiego wokół Al-Bab, i to od razu z dwóch stron – i z Efrinu, i z Manbidżu. Dystans między ich pozycjami zmniejszył się do zaledwie 22 km, ale Turkom udało się przeciąć drogę Manbidż – Al-Bab i zatrzymać w ten sposób ofensywę SDF. Na tym jednak sukcesy tureckie się skończyły.

PRZECIĄGANIE LINY W WIELU KIERUNKACH

Państwo Islamskie też miało swoją strategię. Gdy Turcy przekroczyli syryjską granicę, terroryści bez walki oddali dziesięcioletni przygraniczny Dżarabulus. Jak dotąd, to największa zdobycz „Tarczy Eufratu”. Państwo Islamskie liczyło na to, że atak Turków na SDF powstrzyma zwycięski marsz przeciw niemu tej coraz bardziej wspieranej przez USA koalicji. Częściowo się to potwierdziło, bo gdy w końcu Turcy postanowili ruszyć na samo Al-Bab, ponieśli dość spektakularną klęskę.

Ta faza „Tarczy Eufratu” zaczęła się 6 listopada i nawet początkowo armia turecka odniosła kilka sukcesów. Zdobyła miasto Qabasin (i to nawet kilka razy) oraz wzgórze Aqil (też kilka razy), po to tylko, by szybko wszystko stracić. Pod koniec grudnia turecki prezydent Recep Tayyip Erdoğan ogłosił, że zwycięstwo w Al-Bab to kwestia dni, i zapowiedział, że następnym celem będzie kontrolowany przez SDF Manbidż. Niedługo później musiał prosić Rosjan o pomoc. Pierwsze naloty rosyjskie wspierające tureckie natarcie na Al-Bab zaczęły się 26 grudnia, pięć dni po tym, jak dzięki rosyjskim nalotom Asad pokonał we wschodnim Aleppo protureckich rebeliantów. Nic to nie dało. Trzy miesiące po rozpoczęciu natarcia na miasto Turcja nadal nie zdobyła ani jednej ulicy w Al-Bab, straciła natomiast co najmniej 44 żołnierzy. W czasie całej „Tarczy Eufratu” zginęło ich 56, a ponadto około 300 rebeliantów, których użyteczność bojowa okazała się bliska zeru. W styczniu ściągnęli dodatkowe siły – 8 tys. żołnierzy, co jednak w niczym nie pomogło. Do końca 2016 roku Turcy stracili też dziesięć leopardów, czołg M60, czołg GZPT, pojazd opancerzony Kobra i dużą ilość innego sprzętu wojskowego oraz amunicji. Z kolei w tureckich i rosyjskich nalotach na miasto, zginęło co najmniej 250 cywilów. Z tego powodu miejscowa ludność obróciła się przeciwko Turkom i ich rebeliantom.

Tymczasem w drugiej połowie stycznia do gry o Al-Bab włączył się Asad. Armia syryjska zaczęła natarcie od południa i szybko doszła do drogi łączącej Al-Bab z miastem Dajr Hafir oraz przechodzącą przez nie autostradą

BŁĘDY POPEŁNIONE POD-CZAS TARCZY EUFRATU SĄ EFEKTEM CZYSTEK W ARMII TURECKIEJ

Aleppo – Ar-Rakka. Wiele wskazuje na to, że siły rządowe chcą dotrzeć do pozycji SDF z kantonu Szahba, nie zważając na to, że w ten sposób ułatwią Turkom zdobycie Al-Bab, które zostanie odcięte od reszty sił Państwa Islamskiego. Ale za to Turcy będą mieli zablokowaną drogę ekspansji na południe. Jedynym możliwym kierunkiem działań pozostanie Manbidż, co znów byłoby na rękę i Rosji, i Asadowi.

TRUDNA LEKCJA POKORY

Ofensywa na Al-Bab negatywnie zweryfikowała opinię o tureckiej armii jako „drugiej armii NATO”. Ocena ta częściowo wynikała z nadmiernego przywiązywania wagi do liczb, a nie jakości i doświadczenia. Zresztą aż do lipcowego puczu tureckie dowództwo blokowało plany Erdoğana odnośnie do wejścia do Syrii.

W Grecji ukazał się artykuł jednego z tureckich oficerów, którzy otrzymali tam azyl, dociekający przyczyn porażki „Tarczy Eufratu”. Zdaniem autora, jej rozmiary są zresztą znacznie większe niż się powszechnie uważa, i Turcja straciła w Syrii aż 54 czołgi (do końca stycznia). Oficer twierdzi też, że operację rozpoczęto ze zbyt małymi siłami (raptem dwa bataliony: piechoty i zmechanizowany, łącznie 600 osób, w tym dziesięciu specjalistów), a rebelianci jedynie spawalniali natarcie. Zarzuca też zupełny brak rozpoznania, który powodował, że ostrzał artyleryjski był nieprecyzyjny. Lotnictwo zaś nie było wyposażone w bomby kierowane (Precision Guided Munition). Kolejnym grzechem było złe planowanie sztabowe. Nie wzięto pod uwagę warunków terenowych i posiadania przez wroga zaawansowanej broni przeciwpancernej (ATGM). Strategiczny plan operacyjny sprowadzał się podobno do kilku slajdów zrobionych w powerpoincie, na których podstawie na zdobycie Dżarabulusu przeznaczono trzy miesiące, tyle samo na Al-Bab, dalej na Manbidż i na Ar-Rakkę. Na czele operacji stanął trzygwiazdkowy gen. Zekai Aksakalli, bez żadnego bojowego doświadczenia, który swój brak kompetencji tuszował zrzucając winy na innych, co pogłębiało chaos w dowodzeniu.

Planistyczne i dowódcze błędy popełnione podczas „Tarczy Eufratu” są efektem czystek w armii po lipcowym puczu. Błędnie założono, że wszystko odbędzie się z marszu. Uznano też, że nie są potrzebne konsultacje z sojusznikami, przede wszystkim z USA. Turcja nie ma też żadnej strategii wyjścia i choć na zdobytych terenach wprowadza swoją administrację, to aneksja tego skrawka Syrii może być równie trudna, co zdobycie Al-Bab. ■



Serbia jest krajem wyjątkowym. Ktoś złośliwy mógłby dodać: jak wszystkie państwa na Bałkanach. Owszem, ma pasjonującą historię, świetną literaturę i doskonałą kuchnię, nie to jednak stanowi o jej unikatowości. Wyjątkowe jest to, że pozostaje ona właściwie jedynym na Bałkanach państwem, którego politycy tak niechętnie mówią o NATO.

Właściwie wszyscy sąsiedzi Serbii albo już do sojuszu należą (jak Węgry, Chorwacja, Rumunia, Bułgaria, praktycznie także Czarnogóra), albo też ich elity polityczne przynajmniej deklarują natowskie aspiracje. Nawet jeśli perspektywa ewentualnego dołączenia do NATO wydaje się bardzo odległa, jak w przypadku Bośni i Hercegowiny czy Kosowa. Serbowie natomiast o przystąpieniu do sojuszu nie chcą słyszeć. Wciąż żywa jest tam pamięć o natowskich bombardowaniach z 1999 roku, o ofiarach i zniszczeniach. Tomislav Nikolić, prezydent Serbii, pytany o stosunek jego kraju do NATO, zwykł w ostatnim czasie odpowiadać wymijająco: „Jeśli NATO jest sojuszem obronnym, to przed kim będzie on bronił Serbii, skoro nasz kraj jest otoczony przez państwa członkowskie sojuszu?”.

Z drugiej jednak strony, politycy serbscy praktycznie na każdym kroku podkreślają europejskie aspiracje swego narodu. Przeprowadzony na początku lutego sondaż pokazuje, że podczas ewentualnego referendum 47% Serbów zagłosowałoby za wstąpieniem do Unii Europejskiej, przeciwnych byłoby 29%.

Niechęci wobec NATO towarzyszy w Serbii sympatia względem Rosji, wynikająca z poczucia bliskości językowej, religijnej oraz historycznych więzów między obydwoma narodami. Do tego dochodzi jeszcze intensywnie roz-

ROBERT SENDEK

ROSJI ŚWIECZKĘ I NATO OGAREK

Oficjalnie Serbia prowadzi politykę neutralności. Jednocześnie szuka własnego miejsca w świecie, między Wschodem a Zachodem, między Unią Europejską a Federacją Rosyjską.

wijana w ostatnich latach współpraca wojskowa.

WE WŁAŚCIWYM MOMENCIE

Kontakty między serbskimi i rosyjskimi politykami najwyższego szczebla są częste i ożywione. Polegają one z grubsza na wizytach serbskich oficjeli w Moskwie i rosyjskich w Belgradzie. Podczas grudniowego pobytu w Moskwie premiera Serbii Aleksandra Vučića ustalono, że strona rosyjska przekaze Serbom w „prezencie” (jak serbskie gazety nazywają rosyjską ofertę) sprzęt wojskowy. „Prezent” to sześć samolotów myśliwskich MiG-29, 30 czołgów T-72 i tyleż opancerzonych samochodów BRDM-2.

Za szczególnie ważne w całej ofercie Serbowie uznają migi. →



„Niebo nad Serbią będzie całkowicie bezpieczne”, mówił zachwycony Vučić w trakcie prezentacji samolotów w hangarze zakładów RSK MiG pod Moskwą. Obecnie Serbia ma zaledwie kilka maszyn bojowych. Podstawę stanowią cztery zdadne do lotu MiG-29 (w tym jeden w wersji szkolno-bojowej) oraz trzy dwumiejscowe MiG-21UM. Te ostatnie są właściwie samolotami szkolno-bojowymi, ale ze względu na kiepską sytuację serbskiego lotnictwa pełniły w ostatnim czasie dyżury związane z pilnowaniem nieba nad Serbią. Ostatni jednomiejscowy MiG-21 został uziemiony jeszcze w 2015 roku.

O potrzebie dostarczenia lotnictwu serbskiemu nowych samolotów mówiło się od dawna. Sam Vučić, jeszcze jako minister obrony w rządzie Ivicy Dačića, zaznaczał w 2013 roku, że Serbia jest zainteresowana rosyjskimi MiG-29. Rozważaną wtedy opcją było kupno tych maszyn, ponieważ jednak w budżecie nie było pieniędzy na takie rozwiązanie, żadne decyzje nie zapadły. Rozmowy, z różnym nałożeniem, prowadzono jednak nadal. Ponieważ w 2018 roku kończą się rezerwy latających jeszcze serbskich MiG-29, sprawa należała do pilnych. Kilumiesięczne rozmowy między stroną serbską i rosyjską zostały sfinalizowane w grudniu 2016 roku. Rosyjska oferta była bardzo na czasie, zwłaszcza że serbscy politycy mieli w pamięci skandal z czerwca 2014 roku. Dziennikarze wyciągnęli wtedy na jaw skrywaną tajemnicę, że ze względu na kłopoty z akumulatorami przez kilka dni żaden serbski samolot myśliwski nie był zdalny do lotu, co oznacza, że przez jakiś czas przestrzeń powietrzna kraju praktycznie nie była chroniona.

Sześć rosyjskich migów (w tym dwa w wersji szkolno-treningowej) ma dotrzeć do Serbii w marcu lub na początku kwietnia. Według słów Vučića, jego kraj dostanie samoloty bezpłatnie, będzie natomiast musiał sfinansować ich remont i modernizację. Mówiąc o kosztach remontu i modernizacji wszystkich dziesięciu serbskich MiG-29 (cztery obecnie używane plus sześć od Rosji), minister obrony Zoran Đorđević wymienił sumę 185 mln euro, którą przyjdzie wydać w ciągu trzech kolejnych lat. Dodatkowe koszty będą związane z uzbrojeniem i wyposażeniem płatowców. Podpisana z Rosjanami umowa obejmuje ponadto wsparcie dla samolotów oraz zakup części zamiennych, co pozwoli uniknąć w przyszłości takich kłopotów, jak te z niesprawnymi akumulatorami. Właściwe prace modernizacyjne mają być prowadzone w Serbii przez rosyjskich speców, jednak z udziałem mechaników serbskich. Samoloty mają być gotowe pod koniec tego roku lub na początku 2018.

Rosyjskie migi nie kończą zmian w serbskim lotnictwie. Pod koniec stycznia nowy „prezent”, tym razem z Białorusi, przywiózł minister obrony Serbii Zoran Đorđević. Jest to efekt wcześniejszych rozmów Vučića z Aleksandrem

Minister obrony
Serbii Zoran
Đorđević wśród
żołnierzy
250 Brygady
Rakietowej
Obrony
Przeciwlotniczej



Łukaszenką w sprawie rozwijania współpracy wojskowej między Białorusią a Serbią. Ustalono, że Białorusini przekażą Serbom osiem samolotów MiG-29, a także rakietowe systemy obrony przeciwlotniczej Buk. Warunki, na jakich Serbia otrzyma białoruskie maszyny, są podobne do ustalonych z Rosją, tj. zostaną one przekazane bezpłatnie, będzie jednak konieczne przeprowadzenie remontu i modernizacji. Nie jest na razie znany całkowity koszt umowy, tajemnicą pozostają także inne szczegóły kontraktu, poza najogólniejszym stwierdzeniem, że sprzęt powinien dotrzeć z Białorusi w przyszłym roku. Na maj przewidziano początek rozmów w sprawie szczegółów i konkretów, jak również dalszego rozwoju współpracy wojskowej między Serbią a Białorusią.

Dostarczenie samolotów do Serbii będzie dopiero początkiem wyzwań stojących przed lotnictwem tego kraju. Remont i modernizacja 18 maszyn to jedno, konieczne jednak będzie także zadbanie o odpowiednią liczbę pilotów, a także wyszkolenie personelu naziemnego – mechaników, techników i inżynierów. Serbskie ministerstwo obrony już ogłosiło, że został uruchomiony program przygotowania nowych pilotów. Ma obejmować m.in. szkolenie ich w Rosji.

Jak podkreślają komentatorzy, wprowadzenie do służby pozyskanych samolotów MiG-29 jest rozwiązaniem średniodystansowym. Owszem, załatwia się w ten sposób najpilniejszy problem braku maszyn, ale już teraz trzeba myśleć o tym, co z serbskim lotnictwem będzie się działo w nieco dalszej perspektywie. Pozyskane samoloty nie są bowiem nowe, przewiduje się, że po remontach i modernizacjach pozostaną w służbie jeszcze około 10–15 lat i dopiero wtedy, jako płatowce już czterdziestoletnie, odejdą na emeryturę. Jak pokazuje doświadczenie nie tylko serbskie,



DZIENNIKARZE „BLICA” IRONICZNIE PYTALI CZYTELNI- KÓW: ZGADNIJCIE, KTÓRY KRAJ WALCZY JEDNOCZE- ŚNIE PO STRONIE ROSJI I NATO?

MO SERBII

wyбір nowego samolotu bojowego to proces długi, skomplikowany i politycznie niepewny.

SŁOWIAŃSKIE BRATERSTWO

Umowy serbsko-rosyjska i serbsko-białoruska na dostawę używanych maszyn MiG-29 są przykładem coraz intensywniej rozwijającej się współpracy wojskowej między tymi krajami. Nie kończy się jednak na robieniu sobie „prezentów” (które właściwie są solidnymi umowami handlowymi, ale wyglądają także na zobowiązanie polityczne). Za manifestację bliskich kontaktów wypada uznać także wspólne manewry wojskowe. Rosyjsko-serbskie ćwiczenia odbywają się regularnie od 2014 roku. Wtedy po raz pierwszy wojska rosyjskie trenowały z serbskimi na poligonie w okolicach serbskiego miasta Srem. Rok później manewry „Słowiańskie braterstwo” odbywały się w ramach swoistej rewizyty już w Rosji, na poligonie Rajewski w okolicach Noworosyjska. Poza Rosjanami i Serbami w ćwiczeniach tych pierwszy raz brali udział także Białorusini. Od 2015 roku odbywają się ponadto wspólne rosyjsko-serbskie manewry lotnicze, opatrzone kryptonimem „BARS” (to akronim od serbskich słów „braterstwo lotników Rosji i Serbii”).

O ubiegłorocznym „Słowiańskim braterstwie” szeroko rozpisywała się prasa serbska, także dlatego, że manewry odbywały się na terenie Serbii. Uczestniczyło w nich około 700 żołnierzy z Serbii, Rosji i Białorusi, głównie z jednostek specjalnych. Tabloid „Blic” podsumował te ćwicze-

nia mocnym określeniem, twierdząc, że to „palec wsadzony w oko Zachodowi”.

Oprócz samolotów Rosja zaoferowała Serbom także inny sprzęt. W teczce premiera Vučića znajdowały się „prezenty” w postaci 30 czołgów T-72 oraz 30 samochodów pancernych BRDM-2. O ile jednak informacja o powiększeniu floty samolotów bojowych została w Serbii bardzo dobrze przyjęta niemal przez wszystkich, o tyle pozostałe elementy rosyjskiej oferty wywołały u części komentatorów mieszane odczucia. Zwracano uwagę na to, że najprawdopodobniej Rosja po prostu wietrzy magazyny i przekazuje sprzęt, którego ma za dużo, a niekoniecznie musi on być najlepszym rozwiązaniem dla serbskiej armii. Pojawiały się też głosy, że np. jeśli chodzi o czołgi, to w wyposażeniu serbskiej armii pozostają maszyny M-84, będące jugosłowiańską modernizacją T-72, więc rosyjska oferta niczego właściwie pod tym względem nie polepsza. W trakcie dyskusji o przyszłości serbskiej armii padło sporo obietnic. Inne pogłoski dotyczyły rzekomych prac nad przywróceniem powszechnej służby wojskowej (zniesionej od 1 stycznia 2011 roku w ramach profesjonalizacji serbskiej armii), jednak premier Vučić oficjalnie to zdementował. Stwierdził, że byłaby ona zbyt droga, a armię i tak czeka teraz sporo wydatków.

WSPÓŁPRACA Z NATO

Europejska prasa oczywiście dostrzega zbliżenie serbsko-rosyjskie i widzi w nim podejmowane przez Moskwę próby zaznaczenia swego wpływu poprzez mocniejsze powiązanie interesów serbskich z rosyjskimi. Wspólne projekty rzeczywiście świadczą o zacieśnieniu współpracy. Tyle że to wcale nie oznacza, że Serbia się całkiem odwraca od NATO. Nie może ona uciec od współpracy z sojuszem, podejmuje więc środki normujące zasady kooperacji. Do tych kroków można zaliczyć np. podpisanie przez Serbię w styczniu 2015 roku indywidualnego programu współpracy z NATO w ramach „Partnerstwa dla pokoju” albo przyjęcie w lutym 2016 prawa, które przewiduje współpracę logistyczną i przyznanie immunitetu wszystkim żołnierzom NATO na terenie Serbii, np. podczas tranzytu jednostek drogą lądową. Z podpisania tego aktu tłumaczył się potem prezydent Nikolić w obszernym liście do wyborców. I jeszcze coś symbolicznego: niemal równolegle z manewrami „Słowiańskie braterstwo '16” w sąsiedniej Czarnogórze odbywały się na przełomie października i listopada ćwiczenia z zarządzania sytuacjami kryzysowymi. Uczestniczyli w nich głównie żołnierze krajów NATO, ale także – co ciekawe – jednostki z Serbii. Dziennikarze „Blica” skomentowali to, zadając czytelnikom ironiczne pytanie: zgadnijcie, który kraj walczy jednocześnie po stronie Rosji i NATO? ■

TADEUSZ WRÓBEL

Czas odbudowy

Ostatnie lata nie były łatwe dla amerykańskich wojsk lądowych. Z powodu problemów finansowych zredukowano ich liczebność i anulowano część programów modernizacji technicznej.

Amerykańskie wojska lądowe są jednymi z najpotężniejszych na świecie. Niektórzy zwracają jednak uwagę, że armia Stanów Zjednoczonych zaczyna tracić przewagę technologiczną nad potencjalnymi przeciwnikami – wojskami lądowymi Chin i Rosji. Oba te państwa pracują nad nowej generacji systemami uzbrojenia, takimi jak np. rosyjski czołg podstawowy T-14 Armata. Bardzo negatywnie na stan amerykańskich wojsk lądowych wpływają kłopoty, z którymi boryka się budżet federalny, czego konsekwencją są cięcia wydatków obronnych. Przeprowadzono je kosztem licznych programów dotyczących opracowania nowego uzbrojenia.

BRAK NASTĘPCÓW

Sporych problemów przysparza gąsienicowy sprzęt pancerny. Amerykańskie czołgi M1A2 Abrams z pewnością są nadal bardzo groźną bronią, ale należy pamiętać, że to konstrukcja z lat siedemdziesiątych XX wieku. Seryjna produkcja pierwszej wersji abramsów rozpoczęła się w 1980 roku. Od tej pory przeszły one kilka modernizacji, niemniej jednak w tej chwili Amerykanie nie mają programu, z którego wyłoniłby się następca tego wozu. Wynika to m.in. z ograniczeń budżetu państwa, a także niezmiennie szybko rosnących kosztów innych programów zbrojeniowych. Poza tym po zakończeniu zimnej wojny i rozpadzie Związku Sowieckiego Amerykanie długo żyli w przekonaniu, że nikt na świecie nie jest w stanie rzucić im wyzwania, przynajmniej gdy chodzi o nowoczesny sprzęt pancerny. Brak nowych konstrukcji czołgu podstawowego powoduje, że koniecznością staną się dalsze modernizacje abramsów, które będą wycofywane ze służby prawdopodobnie po 2040 roku. Już zapowiedziano nową wersję M1A3, jednak rozwój czołgów w Rosji i Chinach sprawia, że Amerykanie nie mogą już z góry zakładać całkowitej dominacji abramsów nad wozami przeciwnika. Armia USA chce opracować zupełnie nowy czołg, który pojawiłby się po roku 2030. Podobnie rzecz się ma z bojowymi wozami piechoty M2/M3 Bradley,

które są rówieśnikami abramsów. Pojazdy przeszły już kilka modernizacji, jednak armia amerykańska podjęła po zakończeniu zimnej wojny próby stworzenia następcy bradleya. W 1999 roku uruchomiono program „Future Combat Systems Manned Ground Vehicles”. Zakładano, że powstanie cała rodzina wozów na kołach i gąsienicach, które oprócz bradleya miały zastąpić też samobieżne haubice M109 i transportery gąsienicowe. W 2009 roku, przy okazji cięć budżetowych, Departament Obrony skreślił program. Ważnym argumentem przemawiającym za jego skasowaniem były też doświadczenia z operacji w Afganistanie i Iraku, gdzie ogromnym zagrożeniem okazały się miny i improwizowane urządzenia wybuchowe, a pojazdy opracowywane w ramach FSCMGV nie gwarantowały odpowiedniej ochrony. W 2010 roku rozpoczęto nowy program, „Ground Combat Vehicle”, jednak na początku 2014 roku on również upadł.

Brak szans na szybkie wprowadzenie do armii nowego bewupa wymusił kolejną modernizację M2/M3. W październiku 2016 roku zaprezentowano demonstrator Bradley New Generation.

KADROWE WYZWANIA

Z powodu trudności finansowych postanowiono przed kilku laty znacząco zredukować liczebność sił lądowych. 30 września 2014 roku US Army miała w służbie czynnej 508 tys. żołnierzy, czyli o 62 tys. mniej niż trzy lata wcześniej. W następnym roku miało ich być 490 tys., tymczasem 9 lipca 2015 roku Departament Obrony ogłosił, że liczba żołnierzy US Army zmniejszy się jeszcze o następne o 40 tys. W lutym 2015 roku Pentagon planował, że stanie się tak do 30 września 2018 roku. Jednak odczuwająca niedostatki finansowe US Army chciała przyspieszyć ten proces o rok. Wówczas obie izby Kongresu USA zaaprobowały zmniejszenie armii do 475 tys. żołnierzy w 2016 roku.

Ta tendencja spadkowa uległa wyhamowaniu już w końcówce rządów prezydenta Baracka Obamy, na co z pewnością wpłynęła agresywna polityka Rosji. Teraz

przewiduje się zwiększenie liczby żołnierzy do 490 tys. w 2018 roku. Jednocześnie postanowiono wzmocnić o 8 tys. ludzi, tzn. do 393 tys., Gwardię Narodową Armii (Army National Guard) i o następne 4 tys., do 199 tys., Army Reserve. Nowy prezydent Donald Trump uważa z kolei, że Stany Zjednoczone potrzebują 540-tysięcznych wojsk lądowych. Niemniej jednak wyzwaniem pozostaje znalezienie dodatkowych miliardów dolarów, by ów zamiar sfinansować.

Mniejsza liczba żołnierzy oznaczała konieczność cięć struktur. Zapadła decyzja o ograniczeniu liczby brygadowych zespołów bojowych, ale też ich etatów. Niektóre miały mieć dwa bataliony manewrowe zamiast trzech. Jeśli prezydentowi Trumpowi uda się zwiększyć liczebność US Army do 540 tys., to wzrośnie tym samym liczba brygadowych zespołów bojowych – z około 30 do 40. Na razie jednak, jak zapowiedział nowy szef sztabu US Army gen. Mark Milley, dodatkowi żołnierze uzupełnią stany osobowe w istniejących jednostkach.

Gen. Milley otwarcie wypowiadał się na temat niskiej zdolności bojowej podległych mu wojsk. Potwierdził tym samym to, co zasygnalizował odchodzący ze stanowiska szefa sztabu US Army gen. Raymond Odierno.

Problemem są w dużym stopniu też żołnierze, z których ponad 10% ma nadwagę. Poza tym już przed kilku laty pojawiły się sygnały, że do wojska nie chcą wstępować osoby z wyższych warstw społecznych. Zaciągają się głównie osoby uboższe i gorzej wykształcone. Armia przestaje być zatem realnym odzwierciedleniem amerykańskiego społeczeństwa. Innym problemem armii amerykańskiej są kwestie dotąd

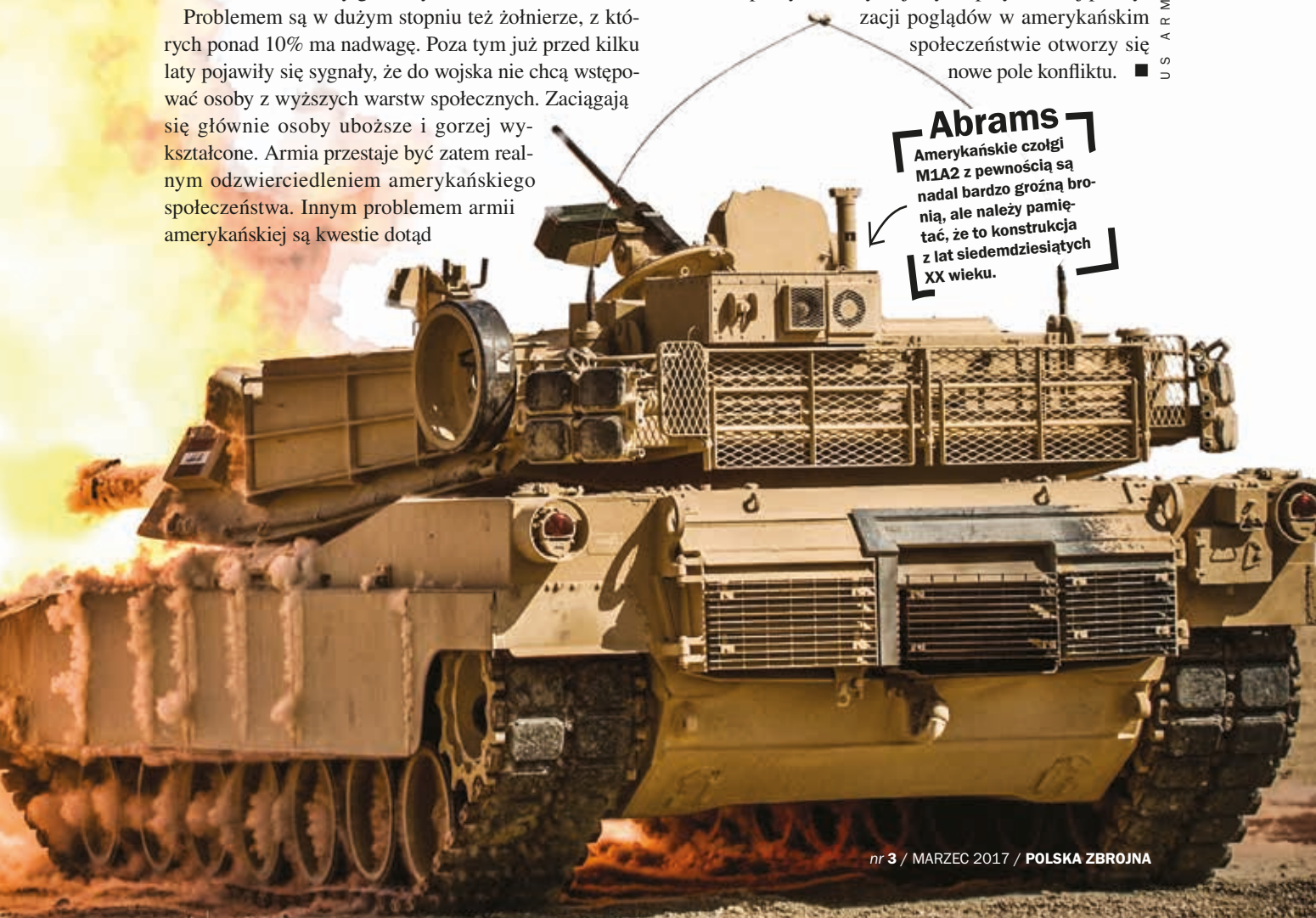
przemilczane lub nierozwiązane ze względu na poprawność polityczną. Możliwe, że za nowej administracji prezydenckiej zostanie podniesiona sprawa służby kobiet w jednostkach bojowych, co w opinii niektórych obniża ich wartość bojową. Innym drażliwym tematem mogą być kwestie związane z mniejszościami seksualnymi w szeregach armii.

Żołnierze, nie tylko służący w US Army, duże nadzieje wiążą z nowym szefostwem Departamentu Obrony, w którym kluczowe stanowiska objęli emerytowani generałowie i admirałowie. Niemniej jednak problemem mogą się okazać pieniądze, bo tych potrzebują nie tylko wojska lądowe. Donald Trump opowiada się, oprócz powiększenia armii, za rozbudowę marynarki wojennej, głównego przeciwnika USA upatruje bowiem w Chinach. Jeśli ruszy budowa nowych okrętów, będą na to potrzebne dziesiątki miliardów dolarów. Tymczasem przewiduje się, że deficyt budżetowy USA w 2017 roku wyniesie 559 mld dolarów (w ubiegłym roku było to 587 mld). Nawet jeśli znajdą się pieniądze, to i tak opracowanie nowych systemów uzbrojenia potrwa wiele lat. Jeżeli zaś szefostwo Pentagonu zacznie wprowadzać zmiany, które będą miały kontekst polityczno-obyczajowy, to przy obecnej polaryzacji poglądów w amerykańskim społeczeństwie otworzy się nowe pole konfliktu. ■

U S A R M Y

Abrams

Amykańskie czołgi M1A2 z pewnością są nadal bardzo groźną bronią, ale należy pamiętać, że to konstrukcja z lat siedemdziesiątych XX wieku.





JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

*Dla Rosjan dobro ogółu
było zawsze ważniejsze
niż dobro jednostki.
To fundamentalna
różnica, z niej wynikają
wszystkie inne*

ZROZUMIEĆ ROSJĘ

Z Barbarą Włodarczyk

**o kontrastach współczesnej Rosji, fenomenie Putina
i tęsknocie za ZSRR rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.**

Bohaterami reportażu w książce „Nie ma jednej Rosji” są uczniowie moskiewskiej szkoły kadetów, porywacz z Dagestanu, milioner, który przeżył nawrócenie duchowe. Ich losy pokazują przemiany, które zaszły w Rosji w ostatnim ćwierćwieczu.

Tytuł jest dwuznaczny. Mówi, że Rosja jest wielkim i różnorodnym krajem, wbrew nazwie prokremlowskiej partii Jedna Rosja. Losy każdego bohatera reportażu są pretekstem do przedstawienia szerszego zjawiska. Na przykładzie neofaszyzmu – nacjonalizmu, matuszki Mariji – fanatycznego wręcz wielbienia Putina, wicedyrektorki cmentarza w Katyniu – stosunku Rosjan do stalinowskich zbrodni i ukrywania prawdy o mordzie na polskich oficerach. Pokazuję kontrasty, które są znakiem czasu współczesnej Rosji: bogatą Moskwę i głębinkę, czyli prowincję, która żyje własnym życiem.

Jak Wadim znalazł Bajkału...

W historii o Wadimie, strażniku przyrody nad Bajkałem, dobrze widać rosyjskie paradoksy. Leśniczy jest równocześnie największym kłusownikiem w okolicy, poluje m.in. na sobole, które są pod ochroną. Na targach dóbr luksusowych dla milionerów, które przez wiele lat odbywały się w Moskwie, widziałam sobolowe futro za pół miliona dolarów. Tymczasem we wsi Wadima w futrze z soboli, co prawda byle jak uszytym, chodzi co druga kobieta, bo tam niemal każdy mężczyzna poluje. One nie zdają sobie sprawy z ceny tego, co mają na sobie. „My się tu rządzymy swoimi prawami”, wyjaśnił mi Wadim. On nie słyszał o moskiewskich targach milionerów, a za jednego sobola dostawał marne pieniądze. Nie wiedział też, jaką wartość ma dolar, bo nigdy nie wyjeżdżał dalej niż do odległego o 100 km Irkucka.

Takich paradoksów jest pewnie znacznie więcej.

Oczywiście. Czeczenia, która przez wiele lat walczyła z Rosją, dziś jest ostoją putinizmu. Nigdzie nie widziałam tylu portretów prezydenta Federacji Rosyjskiej, co w Groznym. Moskwa łąduje w Czeczenię ogromne pieniądze, a w zamian zyskuje spokój na Kaukazie i wiernego sojusznika – przywódcę republiki. Ramzan Kadyrow rządzi twardą ręką, za nic ma prawo i robi co chce, ale – jak mówi – jest gotów umrzeć za Rosję. Czeczenia to dziś państwo w państwie, w którym obowiązują specyficzne zasady, mieszanek prawa zwyczajowego, czyli adatu, z szariatem. Kwitnie wielożoność, kobiety chodzą w długich sukienkach i chustkach. Nie wolno im się odkryć nawet na plaży. Pokazuję to w filmie „Czeczeński tygrys Putina”. Aż trudno uwierzyć, że to jest część Federacji Rosyjskiej. Chociaż to kraj wielu kontrastów – nie tylko kulturowych czy religijnych, lecz także klimatycznych – obejmuje 11 stref czasowych, a wśród mieszkańców są wyznawcy i szamanizmu, i islamu, i dominującego prawosławia. Mimo tych wszystkich różnic, jest jednak coś, co w ostatnim czasie scementowało Rosjan. To aneksja Krymu, którą niestety zaakceptowała nawet część opozycji.

Nie zbliżyła jednak prowincji do stolicy.

Zjednoczyła społeczeństwo i dowartościowała. Cały świat kwestionuje aneksję Krymu, co pomogło Putinowi przekonać rodaków, że świat nie chce silnej Rosji. I większość w to uwierzyła. Aneksja jest nazywana oficjalnie powrotem do macierzy. Często się o to spieram z Rosjanami. Mam do nich żal, że nie chcą przyjąć do wiadomości, iż Putin złamał prawo, a Ukraińcy chcą integracji z Zachodem. Przejęcie Krymu popiera ponad 80% Rosjan. Aleksiej Nawalny, jeden z głównych opozycjonistów →

Tamten system umarł, ale nadal żyje radziecki człowiek, który przystosowuje się do każdych warunków, nawet totalitarnych



młodsze pokolenie, zapytany, czy jako prezydent cofnąłby aneksję, odpowiedział, że nie. Trzeba jednak przyznać, że wielu Rosjan ma dystans do swojego kraju. W jednym z dowcipów skarżą się na przykład, że ciągle ktoś na nich napada – a to Ukraińcy na Ukrainie, a to Syryjczycy w Syrii...

Opozycjonista popiera działania Kremla?

Często cytuję Wiktora Jerofiejewa, autora „Encyklopedii rosyjskiej duszy”, który twierdzi, że Zachód nie rozumie Rosjan. Dlatego błędnie ocenia ich postępowanie. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku uległ iluzji, że Rosja może być krajem europejskim. Otóż nie. Dla jej mieszkańców dobro ogółu było zawsze ważniejsze niż dobro jednostki. To fundamentalna różnica, z niej wynikają wszystkie inne, m.in. poczucie wspólnoty.

Jak wytłumaczyć fenomen rosyjskiego prezydenta?

W rankingach zdobywa 80% poparcia społeczeństwa, przy czym badania państwowych sondażowni są zbieżne z tymi niezależnymi od władz. Od dawna próbuję dociec, skąd wziął się fenomen Putina. Poświęciłam temu oddzielny film dokumentalny „Szalona miłość”. By zrozumieć źródło jego popularności, musimy się cofnąć do lat dziewięćdziesiątych. Rządy Borysa Jelcyna to był czas wolności, ale także gospodarczej katastrofy, trzycyfrowej inflacji, bandyckiej prywatyzacji, która doprowadziła do ogromnej pauperyzacji społeczeństwa. Potem nastał Putin, a wraz z nim przyszła kilkuletnia koniunktura na gaz i ropę. Żaden z jego poprzedników nie miał takiego szczęścia. Dzięki wzrostowi cen surowców podniósł się poziom życia Rosjan. Poza tym on rozbudził w społeczeństwie patriotyzm, przekonał Rosjan, że świat musi się z nimi li-

czyć, bo są mocarstwem. To poczucie jest dla większości ważniejsze niż byt materialny. Blisko 80% społeczeństwa uważa, że świat boi się Moskwy, a ich słynne powiedzenie brzmi: „kogo się boją, tego szanują”.

Do tego dochodzi PR Putina w mediach.

Przez wiele lat o jego wizerunek dbała amerykańska firma Ketchum. Wystąpienia Putina zawsze były dobrze wyreżyserowanymi widowiskami: gdy rapował z młodzieżą na scenie, gdy ubrany we frak grał na pianinie dla Sharon Stone czy jeździł na motorze z harleyowcami. Telewizja, w której Putin występuje niemal codziennie, przedstawia go z kolei jako cara batiuszkę. Takiego dobrego ojczulka, który nad wszystkim czuwa.

Czy aneksja Krymu pomogła Putinowi w utrzymaniu dużej popularności?

Przed Euromajdanem Putin dużo gorzej wypadł w rankingach niż obecnie, choć zawsze osiągał poparcie powyżej 50%. Jest taki dowcip, że zaczął krzyczeć „chwała Ukrainie”, gdy zobaczył, że te słupki idą w górę. Tyle że to jest słynne hasło z Majdanu. Rosjanie uważają, że z aneksją Krymu nastąpiła sprawiedliwość dziejowa, bo przed laty, wbrew opinii większości mieszkańców, Chruszczow oddał go Ukrainie. Jak powiedział Aleksiej Lewinson z Centrum Analitycznego im. Jurija Lewady, dzięki propagandzie Rosjanie są przekonani, że to oni mają rację, a wszyscy wokół są negatywnie nastawieni do Moskwy. Putinowi już wielokrotnie przepowiadano koniec, ale on po każdym potknięciu się podnosił. Co więcej, krąży anegdota, że w 2018 roku odbędą się wybory... prezydenta Putina. Nie doceniamy siły przywiązania Rosjan do imperium i ich poczucia dumy ze swojego kraju.



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Nie liczy się tam głos opozycji?

Opozycja jest niepopularna i rozbita. Wielu jej przedstawicieli, jak Michaił Chodorowski czy Michaił Kasjanow, jest kojarzonych z poprzednią nomenklaturą, z okresem kryzysu gospodarczego i samobiczowania się za grzechy Związku Radzieckiego. Ten obraz wzmacniają państwowe media, które przedstawiają obu opozycjonistów jako zachodnich agentów. Dawna nomenklatura dysponuje ogromnymi funduszami i nie mają przy niej szans drobne media opozycyjne – głównie internetowe lub pisa-
ne, jak „Nowaja Gazieta”, w której pracowała zamordowana w 2006 roku Anna Politkowska. Największą propagandowo siłę rażenia mają świetnie i ciekawie robione seriale, np. o Breżniewie, Katarzynie Wielkiej, Chruszczowie. To one w odpowiedni sposób wyjaśniają rzeczywistość, interpretują historię. Właśnie powstaje film o Aleksandrze Litwinience, byłym oficerze KGB i krytyku Kremla, który został otruty w Londynie. To odpowiedź na zarzuty Brytyjczyków, że za jego śmiercią stoi Moskwa. Konsultantem filmu jest Aleksiej Ługowoj, oskarżany przez Londyn o zamordowanie Litwinienki.

Co Rosjanie dziś mówią o wojnie na Ukrainie? Gina tam rosyjscy żołnierze. Jak władze tłumaczą ich śmierć rodzinom?

W filmie „Święta wojna Rosjan” pokazuję, jak kremłowska propaganda przekonała ludzi, że na Ukrainie doszli do władzy nacjonaści i faszysty, którzy stanowią zagrożenie dla mieszkającej tam rosyjskiej ludności. Dlatego Moskwa musi bronić swoich. Pod takim hasłem zaanektowano Krym. Według Lwa Gudkowa, socjologa z Centrum Analitycznego im. Jurija Lewady, „Rosjanie wiedzą, że na Ukrainie są rosyjskie wojska, ale nie chcą

tego otwarcie przyznać”. Nie mówiąc już o tym, że nikt nie ukrywa udziału w tym konflikcie ochotników. W Petersburgu nagrałam wywiad z Niną Petlianową z „Nowoj Gaziety”, która była świadkiem potajemnego pogrzebu rosyjskich spadochroniarzy z jednostki pod Pskowem. Według rozmówców dziennikarki, żołnierze zginęli na wschodniej Ukrainie, dokąd wysłało ich dowództwo jednostki latem 2014 roku. Moskwa kategorycznie temu zaprzecza i twierdzi, że żołnierze stracili życie w czasie manewrów. Rodzina zabitych boi się mówić, z nagrobków usunięto tabliczki, a dziennikarzy z lokalnej gazety, którzy to opisywali, zostali pobici.

W sondażu Centrum Analitycznego im. Jurija Lewady z 2016 roku ponad połowa Rosjan odpowiedziała, że żałuje rozpadu państwa sowieckiego. Skąd tak wielki sentyment do przeszłości?

To jest przede wszystkim nostalgia za mocarstwem, z którym liczył się świat. I za państwem opiekuńczym, które każdemu gwarantowało pracę, czyli za stabilizacją. O tym opowiada mój najnowszy film „Made in USSR”. Tamten system umarł, ale nadal żyje radziecki człowiek, który przystosowuje się do każdego warunków, nawet totalitarnych, nie walczy o swoje interesy. I to nawet jeśli ma – mówiąc dosadnie – gówniane życie. Dobrze obrazuje to dowcip. Dwóch facetów stoi w rowie z łajnem, które sięga im po szyję. Jeden z całych sił przeklina władzę sowiecką, drugi go strofuje: „Nie rób fał”. Jaki z tego morał? Siedź cicho, bo będzie jeszcze gorzej. W podobnym stylu wypowiadają się mieszkańcy rosyjskich wsi. Wiele razy słyszałam od nich: „Oby tylko nie było gorzej”.

W filmie „Made in USSR” opozycyjnego politologa Leonida Radzichowskiego pytam, czy politycy z Kremla są takimi radzieckimi ludźmi. Jego zdaniem, rosyjskie elity władzy to ostatnie osoby, które chciałyby powrotu ZSRR. Mają ogromne fortuny, oficjalnie przeklinają Zachód, ale to tam są ich konta i nieruchomości. W Związku Radzieckim nie mogliby ich mieć.

Sentyment do przeszłości to też tęsknota za imperium.

To głównie tęsknota za imperium i jego triumfami. Europejczycy nie do końca rozumieją, jak wielką rolę odgrywa w Rosji wielka wojna ojczyzniana. Ten termin wymyślił Stalin i odnosi się on tylko do walk Związku Radzieckiego z Niemcami, czyli okresu od 22 czerwca 1941 roku do 9 maja 1945. Opozycyjny pisarz Wiktor Jerofiejew uważa, że wielka wojna ojczyzniana „jest dla Rosjan największą świętością! Nie prawosławie, nie Putin, nie Stalin, ale ta wojna!”. Powodów jest kilka. Przede wszystkim, ogromna liczna ofiar i zwycięstwo, które jest głównym powodem do dumy dla 80% Rosjan. Żadne inne święto nie →

Mam do Rosjan żał o to, że nie chcą przyjąć do wiadomości, iż Putin złamał prawo

jest obchodzone tak hucznie, jak 9 maja. Przy czym cena zwycięstwa wciąż jest jednym z tematów tabu, jak twierdzi historyk Boris Sokołow. Nie mówi się, że wojnę prowadzono w sposób bezwzględny, nie zważając na ofiary w ludziach i że popełniono ogromne błędy. Że klęska ZSRR poniesiona w pierwszych miesiącach to wina kierownictwa komunistycznej partii i samego Stalina, który dokonał czystek w armii. Według Borysa Sokołowa, proporcje strat wśród radzieckich i niemieckich żołnierzy wynosiły 10:1, a ponad 100 tys. czerwonoarmistów zginęło z rąk swoich! Bo Stalin wydał rozkaz: „Ani kroku wstecz!”. I każdy rzeczywisty bądź domniemany dezertor dostawał kulę. Mimo tak ogromnych strat 56% Rosjan uważa, że Stalin odegrał pozytywną rolę w historii. Widzą w nim zwycięzcę II wojny światowej i twórcę imperium.

Spodziewa się Pani nowego otwarcia w relacjach z administracją prezydenta Donalda Trumpa?

Ponad połowa Rosjan uważa, że wybór Trumpa przyniesie poprawę w relacjach Moskwy z Waszyngtonem. Trzeba jednak pamiętać, że każdy nowy amerykański prezydent rozbudzał takie nadzieje. Tak było z Clintonem, Bushem, Obamą. Zaczynało się od prób porozumienia, a kończyło rozczarowaniem.

À propos Obamy. Kiedyś w Moskwie zobaczyłam w kiosku dwie stojące obok siebie matrioski. Jedna z Obamą, druga z Putinem. Ta z amerykańskim prezydentem była dwa razy mniejsza i tańsza. Pytam sprzedawcę, dlaczego. A on na to: „Po pierwsze, dlatego że Putin cieszy się większym popytem niż Obama, a po drugie – matrioska z Putinem jeszcze długo będzie aktualna, a Obamę trzeba będzie zastąpić kimś nowym”.

Jak sytuacja międzynarodowa wpływa na to, co dzieje się w Rosji?

Najbardziej Rosja odczuła zwrot Kijowa na Zachód, wcześniej Gruzji. To ogromny policzek dla Kremla i osobiście dla Putina, który uważa obszar postsowiecki za swoją strefę wpływów. Moskwa bez końca powtarza, że Zachód nie uznaje rosyjskich interesów w byłych republikach radzieckich. Tyle tylko, że to nie on ich nie uznaje! To byłe radzieckie republiki ich nie uznają. Sankcje wprowadzone po aneksji Krymu zbiegły się ze spadkiem cen ropy naftowej. Bez wątpienia wzmogły kryzys, ale jednocześnie skonsolidowały społeczeństwo. Władze mają na kogo zrzucić winę za recesję i brak modernizacji gospodarki. Właśnie tak przedstawiają to w mediach.

Putin daje Rosjanom taki przekaz: jesteśmy wspaniali i wielcy, tylko wokół nas są same swołoczce, które nie dorastają nam do pięt. Europa nie może się pogodzić, że Rosja wstaje z kolan – taki pogląd słyszałam nie tylko od prostych ludzi z tzw. głubinki, ale też od inteligencji, np. dyrektora słynnej wytwórni „Mosfilm” Karena Szachnazarowa. Wśród krajów uważanych przez Rosjan za wro-

gie jest też Polska. Znajdujemy się w czołówce, po USA i Wielkiej Brytanii, obok Litwy, Łotwy i Estonii.

Kremlowi sprzyja kryzys migracyjny w Europie. Rosyjscy eksperci nie kryją, że im słabsza Unia Europejska, tym lepiej dla Moskwy. W tamtejszej telewizji usłyszałam, że gdyby nie było kryzysu migracyjnego, to Moskwa musiałaby go wymyślić. Podobnie można by powiedzieć o rosnącym zagrożeniu ze strony tzw. Państwa Islamskiego. Wszystko wskazuje na to, że świat bez Rosji nie zdoła uporać się z tym problemem.

Według ogłoszonej przez Putina w 2016 roku nowej koncepcji polityki zagranicznej, relacje z UE mają być zredukowane do współpracy gospodarczej, jednocześnie większy nacisk zostanie położony na stosunki polityczne i gospodarcze z państwami azjatyckimi.

Po aneksji Krymu nasiliła się zimna wojna z Zachodem. Rosja wyraźnie odwraca się od Europy i patrzy na Wschód. Kartą przetargową stają się dziś Chiny. Do najważniejszych partnerów Federacji Rosyjskiej zaliczono też państwa obszaru postsowieckiego: Białoruś, Armenię, Kazachstan i Kirgistan. Oznacza to, że Moskwa będzie się starała utrzymać strefy wpływów w tym regionie.

Jakich przełomowych wydarzeń spodziewa się Pani w najbliższych latach w Rosji?

Wszystko wskazuje na to, że wybory w 2018 roku znowu wygra Putin. Wiktor Jerofiejew, na moje pytanie, czy świat powinien bać się Rosji, odpowiedział: „Rosja jest nieprzewidywalna, a wszystko co nieprzewidywalne wywołuje strach. Europa była naiwna, kiedy sądziła, że po rozpadzie Związku Radzieckiego Rosja niczym ranny inwalida pokuśtyka za Europą. Tymczasem okaleczona Rosja pobiegła w drugą stronę”.

BARBARA WŁODARCZYK jest dziennikarką TVP, autorką reportaży i filmów dokumentalnych o byłym ZSRR. Od 2005 do 2010 roku była korespondentką TVP w Moskwie. Obecnie prowadzi program „Sąsiedzi” w TVP Info.



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Dobra wiadomość



To była dobra wiadomość na rocznicę. W marcu mija 18 lat, odkąd staliśmy się członkiem NATO, a pod koniec lutego na monachijskiej konferencji bezpieczeństwa amerykański wiceprezydent Mike Pence zapewnił, że Stany Zjednoczone wypełnią zobowiązania przyjęte w lipcu 2016 roku na warszawskim szczycie sojuszu. Oznacza to, że USA nie wycofają się z wiodącej roli we wzmacnianiu wschodniej flanki NATO. Po ustaleniach w Warszawie przeznaczyły na ten cel 3,4 mld dolarów. Sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg potwierdził niedawno, że „na dobrej drodze” jest rozmieszczanie batalionowych grup bojowych w Polsce i państwach bałtyckich. Po raz pierwszy od końca zimnej wojny amerykańskie czołgi wjechały do Europy. Przerzucani są żołnierze i sprzęt. Pierwszą dziewięciomiesięczną zmianę w ramach operacji „Atlantic Resolve” rozpoczęła w naszym kraju 3 Pancerna Brygadowa Grupa Bojowa z 4 Dywizji Piechoty w Fort Carson w Kolorado. Kolejne są zaplanowane tak, by między poszczególnymi rotacjami nie było przerw, a także, by w regionie stale przebywały amerykańskie siły. Niektórzy politycy ze Stanów Zjednoczonych, np. senator John McCain, przewodniczący Komisji Sił Zbrojnych Senatu USA, opowiadają się za stałą obecnością ich wojsk w krajach bałtyckich. Na razie litewska prezydent Dalia Grybauskaitė domaga się „dalszego wojskowego wsparcia flanki wschodniej”.

Realnych kształtów nabiera także ogłoszona na warszawskim szczycie NATO wstępna gotowość operacyjna systemu Aegis Ashore. Jego częścią jest baza w Redzikowie pod Słupskiem. Amerykanie przewidują, że osiągnie ona gotowość bojową planowo, czyli w przyszłym roku.

Po zakończeniu zimnej wojny większość członków sojuszu zmniejszyła budżety obronne. Dziś amerykański prezydent jasno dał do zrozumienia, iż oczekuje, że Europa głębiej sięgnie do kieszeni. Na szczycie w Newport w 2014 roku państwa NATO zobowiązały się do stopniowego zwiększania wydatków na obronność. Obecnie tylko pięć krajów – USA, Wielka Brytania, Grecja, Estonia i Polska – wydaje na ten cel 2% PKB. Litwa, Łotwa i Rumunia zbliżają się do tego pułapu. W większości państw członkowskich zwiększenie wydatków na wojsko jest decyzją polityczną. Podczas konferencji w Monachium kanclerz Niemiec Angela Merkel przyznała, że Europa potrzebuje militarnej siły Ameryki. Zapowiedziała większy budżet obronny. Silniejsze (lepiej dofinansowane) NATO oznacza bardziej bezpieczny świat.

W maju na szczycie sojuszu przyjedzie do Europy Donald Trump. Wszyscy czekają, co powie.



HISTORIA

/ II WOJNA ŚWIATOWA

PIOTR KORCZYŃSKI

LANCE, SZABLE W DŁOŃ!

Czy bitwa pod Borujskiem była ostatnią kawaleryjską
szarżą w dziejach polskiego wojska?



„Szarża jazdy polskiej pod Borujukiem”, obraz Michała Byliny. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie



N

iemieccy grenadierzy z doborowej 163 Dywizji Piechoty (DP) byli dobrze przygotowani na atak polskich czy sowieckich czołgów na ich pozycje pod Borujukiem i Żabinem. Stworzyli gęstą szachownicę „łowców czołgów” – każdy w należycie zamaskowanej jamie miał przy sobie po dziesięć sztuk pancerfaustów. Nie przewidzieli, że tego dnia zamiast czołgów zobaczą nad sobą... błysk kawaleryjskich szabl – dla większości z nich był to ostatni widok

w życiu. Ci, którzy przeżyli, opowiadali w niewoli, że tak dobrze zorganizowanego natarcia nie widzieli przez całą wojnę i że przypominało ono ataki polskiej kawalerii we wrześniu 1939 roku. Ich reminiscencje nie były przypadkowe...

BURZENIE MITÓW

We wstępie do wydanej w Londynie w 1966 roku monografii „Ułani karpaccy. Zarys historii pułku” zespół redakcyjny stwierdza m.in.: „Wobec ewolucji środków technicznych rola kawalerii konnej skończyła się z wojną polsko-niemiecką roku 1939. Wprawdzie pozostały jeszcze przez pewien czas wcale liczne jednostki konnicy w wielkich armiach świata, ale w akcji już udziału nie wzięły. Słowem, ostatni rozdział dziejów polskiej kawalerii konnej na polach walk był też zarazem ostatnią kartą tej broni w dziejach wojen światowych na większą skalę”.

Autorzy nie uwzględnili jednak, że wybuch wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 roku był bodźcem do powiększania istniejących i tworzenia nowych jednostek kawaleryjskich. Błotniste lub mroźne stopy rosyjskie hamowały często ruchy jednostek pancernych i wtedy do akcji wkraczała kawaleria, która walczyła nie tylko z regularnymi wojskami sowieckimi, lecz musiała też zabezpieczać tyły armii przed partyzantami. Od

1941 roku zarówno w Wehrmachcie, jak i Waffen-SS powstawały kolejne wielkie jednostki kawaleryjskie (1 Dywizja Kawalerii Wehrmachtu i 1 Dywizja Kawalerii SS); ponadto Niemcy zaczęli tworzyć formacje kawaleryjskie z jeńców i żołnierzy sowieckich, którzy przeszli na ich stronę. Do końca 1944 roku w armii niemieckiej tworzone zatem wielkie jednostki kawaleryjskie. Podobnie było w Armii Czerwonej.

Również teza, że ułani Września 1939 zamknęli rozdział wielkich konnych jednostek kawaleryjskich w polskiej armii, nie jest precyzyjna. Oddziały kawaleryjskie istniały w strukturach Armii Krajowej, a także w tzw. armii Berlinga. Ułanów z wchodzącej w jej skład 1 Warszawskiej Samodzielnej Brygady Kawalerii uważa się za ostatnich kawalerzystów w II wojnie światowej, którzy przeprowadzili klasyczną, czyli z szablami w dłoniach, szarżę na pozycje wroga. Była ona wyjątkowa nie tylko ze względu na to, że zwycięska, ale też dlatego, że uratowała przed klęską własne oddziały pancerne – wyposażone w czołgi T-34.

Po przełamaniu umocnień Wału Pomorskiego w lutym 1945 roku wykrwawione oddziały 1 Armii Wojska Polskiego nie miały wiele czasu na odpoczynek. Stalin zweryfikował zbyt optymistyczne plany bezpośredniego ataku na Berlin i nakazał dowództwu 1 Frontu Białoruskiego zmienić kierunek natarcia i uderzyć częścią sił na Pomorze. We współdziałaniu z 2 Frontem Białoruskim prawe skrzydło wojsk marszałka Gieorgija Żukowa miało rozbić niemiecką Grupę Armii „Wisła”, opanować Pomorze i dotrzeć do Bałtyku.

W planach Stawki 1 Armia WP wraz z sowieckim II Korpusem Kawalerii Gwardii miała tworzyć ogniwo wiążące skrzydła obu frontów białoruskich. Jej zadaniem było rozwinąć natarcie w pasie od Nadarzyc do Łowicza Waleckiego i przełamać obronę wroga w rejonie Borujuki, Żabina i Wierzychowa, a następnie uderzyć



OBRAZ ZDZISŁAWA WALCZAKA

POD BORUJSKIEM CAŁY DZIEŃ KRWAWYCH WALK ZOSTAŁ ROZSTRZYGNIĘTY W CIĄGU KILKU MINUT UŁAŃSKIEJ SZARŻY

w kierunku na Złocieniec i Białogard. Niemcy zbudowali sieć systemów obronnych, nasasyconych schronami ziemnymi z bronią maszynową, wałami, zaporami i polami minowymi; na przetrzebioną i jadącą często na resztkach benzyny broń pancerną czekali grenadierzy z pancerfaustami.

PRZEDWOJENNE TRADYCJE

Gen. Stanisław Popławski, dowódca 1 Armii WP, do głównego natarcia na Borujsko, Żabin i Góry Smolne wyznaczył 1 i 2 DP, ich odwód stanowiła 4 DP. Pozostałe dwie dywizje piechoty – 3 i 6 – miały prowadzić działania obronne. Do wsparcia 2 DP gen. Jana Rotkiewicza dowódca armii wyznaczył 2 Brygadę Artylerii Haubic, 13 Pułk Artylerii Pancernej i 1 Brygadę Pancerną im. Bohaterów Westerplatte. W odwodzie generał oprócz 4 DP miał jeszcze jedną jednostkę, pod wieloma względami wyjątkową na tle pozostałych oddziałów 1 Armii WP – 1 Warszawską Samodzielną Brygadę Kawalerii.

Choć powołaną do życia w marcu 1944 roku Samodzielną Brygadę Kawalerii formowano według etatów sowieckiej brygady kawalerii, a jej dowództwo obejmowali sowieccy oficerowie, to od początku na charakter tej formacji miał wpływ fakt, że ponad trzy czwarte jej żołnierzy miało za sobą służbę w przedwojennych jednostkach kawalerii II Rzeczypospolitej. Byli to przede wszystkim ułani z pułków jazdy stacjonujących we wschodniej i południowej Polsce – najwięcej pochodziło z 19 Pułku Ułanów Wołyńskich i 21 Pułku Ułanów Nadwiślańskich. Oprócz tych weteranów w szeregach brygady znalazła się spora grupa partyzantów z 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Główny trzon bojowy jednostki, czyli dwa pułki kawalerii, kultywował tradycje przedwojennych pułków ułańskich: 2 Pułk nosił barwy 2 Pułku Ułanów Grochowskich im. gen. Józefa

Dwernickiego, a 3 Pułk – 3 Pułku Ułanów Śląskich. Po walkach o Warszawę we wrześniu 1944 roku i o przełamanie Wału Pomorskiego w Brygadzie zaszły istotne zmiany. Wyłączono z niej wówczas grupę konną pod dowództwem mjr. Waleriana Bogdanowicza, przeznaczoną do współdziałania z 1 Brygadą Pancerną. W jej skład wchodziły dwa szwadrony ułanów poruczników Zbigniewa Staraka i Mieczysława Spisackiego, wzmocnione 2 baterią 4 Dywizjonu Artylerii Konnej, plutonem moździerzy i dwoma cekaemami na taczankach. Powstała głównie dlatego, że polska armia, od początku istnienia słabo nasyciona pojazdami mechanicznymi, została na Pomorzu pod tym względem jeszcze bardziej sparaliżowana przez ostrą zimę, niedostateczną pracę służb kwatermistrzowskich i brak benzyny. Pierwotnie planowano, że grupa konna, jako tzw. jednostka szybka, będzie wchodzić do akcji po przełamaniu nieprzyjacielskiej obrony przez czołgi brygady pancernej. W boju pod Borujukiem nieoczekiwanie role zostały odwrócone.

1 marca 1945 roku, po lotniczym i artyleryjskim bombardowaniu umocnionych pozycji niemieckiej 163 DP, o godzinie 9.00 ruszyli do ataku żołnierze 1 i 2 DP oraz 14 Pułku Piechoty z 6 DP. Szybko się okazało, że przygotowanie ogniowe nie naruszyło zbytnio niemieckich pozycji i serie z cekaemów zaczęły kosić polskich piechurów, doskonale widocznych w ciemnozielonych płaszczach na ośnieżonych i odkrytych polach. Ostatecznie dwa pierwszorzutowe bataliony 2 DP zaległy przed Borujukiem, o 300 m od szosy prowadzącej do Mirosławca. Niemiecki ogień z moździerzy i cekaemów był tak gęsty, że żołnierze nie mogli nawet podnieść głów nad ziemię. Wezwano szturmowe ily, które ponownie zbombardowały niemieckie pozycje; zaległe oddziały wsparły



też drugorzutowym batalionem. Wszystko to wystarczyło jedynie na zdobycie kolejnych 150 m terenu.

O godzinie 11.00 do wsparcia piechoty wysłano 2 Batalion Czołgów 1 Brygady Pancernej (posiadający jedynie cztery sprawne T-34) i baterię kilku dział samobieżnych SU-85. Gdy wozy pancerne osiągnęły linię piechoty, ta próbowała wznowić natarcie, lecz uniemożliwił to znowu ogień broni maszynowej. Wobec tego dowódcy czołgów zaryzykowali atak bez osłony piechoty i w tym momencie uaktywnili się ukryci we wnękach przed szosą grenadierzy z pancerfaustami. Prawie jednocześnie zapłonęły dwa pierwsze czołgi, trafione pociskami kumulacyjnymi; reszta maszyn szybko się wycofała.

Wtedy dowództwo armii zdecydowało raz jeszcze rzucić swych żołnierzy do ataku na Borujsko. Do natarcia wyznaczono świeże siły: 4 Pułk Piechoty, z 1 Brygady Pancernej 1 Batalion Czołgów (14 lub 16 czołgów, według różnych źródeł) z batalionem fizylierów jako desantem i baterię dział SU-85 z 13 Pułku Artylerii Pancernej. Do tych niemałych sił zastępca dowódcy armii do spraw liniowych, gen. Marek Karkoz oddał jeszcze gen. Rotkiewiczowi dwa szwadrony i baterię artylerii konnej z grupy konnej mjr. Bogdanowicza. Dowództwo nad 220-osobowym oddziałem objął por. Zbigniew Starak, przedwojenny oficer 23 Pułku Ułanów Grodzieńskich i uczestnik Września 1939. Kawaleria miała być użyta ewentualnie w pościgu za rozbitym przez czołgi nieprzyjacielem, więc na pole walki szła na końcu zgrupowania.

Około godziny 16.00 ruszyło nowe natarcie na Borujsko, ale i na to uderzenie Niemcy byli przygotowani. Znowu gęsty ogień broni maszynowej przygwoździł do ziemi piechurów i fizylierów osłaniających czołgi, a te zaczęły być wyluskiwane przez pancerfausty. Gęste dymy z trafionych T-34 zasnuły pola, na których polscy żołnierze starali się poderwać do kolejnego uderzenia na niemieckie pozycje. Niemcy, skoncentrowani na ostrzeliwaniu piechoty i czołgów, nie spostrzegli, kto wyłania się z dymów płonących wraków. Trzymające się z tyłu szwadrony por. Staraka zbliżyły się niepostrzeżenie do niemieckich pozycji za szosą; wykorzystały do tego zakrzaczony jar. W niebo wystrzeliła czerwona rakietka, por. Starak wydał zwyczajową komendę: „Lance, szable w dłonie!” (teraz nie mieli lanc). Plutony rozwinęły się w linię, wyminęły czołgi, piechotę i pocwalały w kierunku szachownicy jam grenadierów. Ułani wpadli między zaskoczonych Niemców, którzy zaczęli panikować.

Pancerfausty były już nieprzydatne. Kto wychylił się z jamy lub uciekał, dostawał szablą. Por. Starak po latach podsumował tę chwilę krótko: „Cięliśmy i dalej. Tuż przed Borujskiem dopadliśmy jaru, który przylegał prawie do samej wsi. Spieszyliśmy się i ruszyliśmy do ataku

w kierunku kościoła”. Jako pierwszy do wsi dotarł pluton ppor. Józefa Ziętka. Rozgorzała zażarta walka wręcz, ale jej wynik był już przesądzony, gdyż na pomoc kawalerii nadbiegli piechurzy, a polskie czołgi objechały jary od południa, wjechały do wsi i udaremniły niemieckie kontrataki. Po godzinie walki Borujsko zostało zdobyte.

OSTATNIA SZARŻA

Straty ułanów w czasie tej pełnej dramatycznych zwrotów walki były niewielkie: siedmiu zabitych i dziesięciu rannych. Do niewoli wzięto 50 żołnierzy Wehrmachtu i Waffen-SS. Zdobyto także sporo dokumentów i map. Stanisław Arkuszewski, oficer polityczny 1 Warszawskiej Samodzielnej Brygady Kawalerii, stwierdził po latach, że zdobycie Borujaska było „najtrudniejszym zadaniem powierzonym Brygadzie Kawalerii w czasie wojny”. Jego wypełnienie otworzyło armii polskiej drogę w głąb Pomorza.

Dziś w miejscu szarży przy szosie stoi obelisk, na którym wyryto napis: „Ostatnia szarża ostatnich ułanów Rzeczypospolitej, 1 Warszawskiej Samodzielnej Brygady Kawalerii 1 III 1945 r.”. Także na Pomniku Tysiąclecia Jazdy Polskiej w Warszawie ostatnia z 43 tablic z nazwami bitew z udziałem polskiej jazdy nosi napis „Borujsko 1945”. A mimo to wciąż wśród historyków trwa dyskusja, czy szarża pod Borujskiem była ostatnia w dziejach polskiego wojska. Do kolejnej miało już dojść kilka dni od zdobycia Borujaska, bo 5 marca 1945 roku w bitwie pod Bierzwnicą. Dość rozbieżne relacje mówią nawet o kilku szarżach grupy konnej mjr. Waleriana Bogdanowicza w tym dniu lub tylko o przecwalaowaniu przez linię okopów nieprzyjacielskich i szybkim spieszeniu do dalszej walki na broń palną i granaty. Płk Cezary Leżeński w zbeletryzowanych wspomnieniach wojennych zatytułowanych „Ostatnia szarża” podaje, że miała ona miejsce 21 kwietnia 1945 roku pod Heckelbergiem i Grunthal; podobno wtedy konno atakował Niemców (i to dwukrotnie) 3 Pułk Ułanów. Jeśli chodzi o inne armie, to najczęściej wymienia się konny 10 Dywizjon Rozpoznawczy z amerykańskiej 10 Dywizji Górskiej, który w bitwie w dolinie Padu 23 kwietnia 1945 roku dwukrotnie, choć bez powodzenia, szarżował na niemieckie pozycje, ponosząc przy tym ciężkie straty. 176 żołnierzy Dywizjonu nie walczyło jednak z białą bronią, więc nie uważa się jej często za klasyczną szarżę ułańską.

Dyskusja o ostatniej szarży II wojny światowej może jeszcze długo nie znaleźć rozstrzygnięcia. Pewne jednak pozostaje to, że ta pod Borujskiem była klasyczną szarżą kawaleryjską. Polscy ułani wykorzystali wówczas zaskoczenie nieprzyjaciela i rozsiekali szablami grenadierów pancernych. Cały dzień krwawych walk został rozstrzygnięty w ciągu kilku minut ułańskiej szarży – i to także wpisuje się w tradycje polskich bitew kawaleryjskich. ■



ppor. Franciszek Jarecki



TOMASZ GOS

Pogoń za wolnością

W tym samym czasie, kiedy umierał Józef Stalin, 1,5 tys. km od jego podmoskiewskiej daczki ppor. Franciszek Jarecki usiadł za sterami samolotu MiG-15bis. Wkrótce zachodni świat ogłosił go bohaterem.

Ranikiem 5 marca 1953 roku nad lotniskiem 28 Pułku Myśliwskiego w Redzikowie gromadzą się chmury. To dobry znak dla niespełna 22-letniego ppor. Franciszka Jareckiego. Kilka miesięcy wcześniej opracował plan, w którym chmury okazały się jego sprzymierzeńcem. O szczegółach rozmyślał, kiedy słuchał radia, które dostał od samego prezydenta Bieruta za bardzo dobre wyniki w nauce w dęblińskiej Szkole Orląt.

Ostatniej nocy nie zmrzął oka, ale nie czuje zmęczenia. W takich chwilach działa adrenalina. Na lotnisku Jarecki zamienia kilka słów z por. Józefem Caputą. Mają wykonać wspólny przelot na trasie Słupsk – Darłowo – Kamień Pomorski – Miastko – Słupsk. Będzie ćwiczył prowadzenie po punktach. Caputa wyprowadzi go tylko na pierwszy punkt.

Ppor. Jarecki idzie do swojej maszyny. W drodze zatrzymuje się jednak przy innym samolocie, w którym jest włączone radio. Musi ustalić częstotliwość alarmową, która zmienia się co jakiś czas i jest tajna. W końcu zasiada za sterami MiG-a o numerze 346. Przeładowuje pistolet i spogląda na zegarek. Dochodzi godzina 6.55.

LOT POD CHMURAMI

Kilka chwil po starcie Jarecki jest już na wysokości 6 tys. m. Leci z prędkością 600 km/h. Kiedy jest za Darłowem, czyli pierwszym punktem zaplanowanym w ćwicze-

niach, odrywa się od samolotu por. Caputa. Schodzi do wysokości 200 m. Jest niewykrywalny dla radarów, a gęste chmury utrudniają wzrokową lokalizację jego maszyny. Zwiększa prędkość do 1200 km/h. W specyfikacji MiG-ów można przeczytać, że maksymalna dla tych myśliwców to 1100 km/h. Jarecki pilotuje jednak samolot z nowoczesnym silnikiem WK-1, o większym ciągu niż te w starszych maszynach tego typu. Jego MiG-15bis leci w stronę duńskiej wyspy Bornholm.

W Redzikowie zaczyna się panika. Polacy twierdzą, że myśliwiec się rozbił, ale Rosjanie nie wierzą w taki obrót sprawy. Pół roku wcześniej ppor. Edward Pytko został rozstrzelany za próbę ucieczki do Berlina samolotem Jak-9. Był dwa lata starszy od Jareckiego i piloci znali się z dęblińskiej szkoły. Jarecki przeładował pistolet przed startem MiG-a na wypadek, gdyby ucieczka się nie powiodła. Wówczas mógłby przed rozbiciem maszyny popełnić samobójstwo strzałem w głowę.

ŚCIGANY PRZEZ OŚMIU

Rosjanie wysyłają w pościg za Polakiem osiem myśliwców. Rozpoczyna się operacja „Krest”. Teraz dla młodego pilota jedynym sposobem na ocalenie życia jest wylądowanie na wyspie Bornholm. Zrzucił zbiorniki z paliwem, ale wie, że ucieczka jest bardzo ryzykowna. Maszyna może wpaść do Bałtyku, zostać zestrzelona przez Rosjan albo rozbić się podczas lądowania. Jarecki



zna częstotliwości alarmowe i pozycje ścigających go myśliwców. Jest też co jakiś czas wywoływany przez radio.

W końcu nerwowo nie wytrzymuje presji i się odzywa – mówi, że leci po lekarstwo dla towarzysza Stalina. Nie dostaje jednak odpowiedzi. Rosjanie muszą być wściekli i pragną zemsty za taką zniewagę. Brawura młodego pilota oraz problem z jego zlokalizowaniem przez rosyjskie myśliwce wywołują złość u radzieckich decydentów, do których już dotarła informacja o pościgu. Jest jednak jeszcze jeden ważny element tej gry w kotka i myszkę. Amerykanie wyznaczyli nagrodę wysokości 50 tys. dolarów za dostarczenie im MiG-a. Widzieli te myśliwce podczas wojny w Korei. Nie udało im się

1948 rok

Pilot Mieczysław Sadowski zorganizował ucieczkę wraz z przyjaciółmi (również pilotami) Tomaszem Tomaszewskim (który był wtedy pasażerem) oraz Janem Konikowskim na pokładzie samolotu PLL LOT marki **Dakota** na trasie z Katowic do Gdańska. Podczas międzylądowania w Łodzi do samolotu wsiadły żony Sadowskiego oraz Tomaszewskiego wraz z synami. Napełniono też wtedy bak z paliwem. Pilot przez całą drogę mylnie informował nawigatora o swoim położeniu. Będący na pokładzie funkcjonariusz UB oraz nawigator za późno się zorientowali, co się dzieje – pięć minut przed lądowaniem na Bornholmie.

jednak żadnego z nich zdobyć ani nawet wejść w posiadanie planów konstrukcyjnych. Rosjanie zatem prędzej go zestrzelą, niż dopuszczą, by wpadł w ręce wrogów z Zachodu.

HAMOWANIE W BAGNIE

Na horyzoncie coraz wyraźniej widać Bornholm. Ppor. Jarecki wie z informacji propagandowych, że znajduje się tam duże lotnisko z amerykańskimi samolotami. Kiedy jednak dolatuje na miejsce, widzi tylko porośnięty

Słynne ucieczki z PRL-u

1947 rok

Dwaj studenci, Stanisław Rankin i Jerzy Martula, wypłynęli na niewielkiej łódce „Ramar” z portu w Górkach Zachodnich i po postoju w Jastarni ruszyli w kierunku szwedzkiej Karlskrony. Po 30 godzinach od wypłynięcia niemiecki kuter „Karin” zabrał ich do szwedzkiego portu w Ystad.

1951 rok

Kilku marynarzy **ORP „Żuraw”** pod przewodnictwem starszego sternika Henryka Barańczaka sterroryzowało załogę i obróło kurs do szwedzkiego portu Ystad.

trawą pas startowy bez żadnych oznaczeń, informujących pilota np. o tym, z której strony ma lądować. Jest dosyć krótki, ma około 1200 m. Posadzenie na nim MiG-a jest dość ryzykowne. Jeśli maszyna nie zatrzyma się na końcu pasa, może dojść do katastrofy.

Jarecki nie ma jednak wyjścia. Ścigający nie zawahają się, żeby go zestrzelić, nawet jeśli będzie się znajdował w przestrzeni powietrznej Danii. Zniszczą samolot również wówczas, gdy zauważą go na duńskim lotnisku. Czasu jest więc bardzo mało. Kiedy pilot jest tuż nad

1959 rok

Nikołaj Artamonow, kapitan radzieckiego niszczyciela, i Ewa Góra, polska studentka stomatologii, postanowili uciec na Zachód. Oficjalnie wybrali się na połów ryb w Zatoce Gdańskiej, ale rejs zakończyli w szwedzkim porcie Karlskrona. Po skontaktowaniu się z amerykańską ambasadą Nikołaj i Ewa polecieli do Stanów Zjednoczonych. Po roku zmienili nazwiska na Nikołaj i Blanka Szadrin. W grudniu 1970 Nikołaj został zde-maskowany w Wiedniu przez KGB, którego agenci otrzymali zadanie sprowadzenia Szadrina żywego z powrotem do Moskwy. Operacją kierował Oleg Kaługin, późniejszy generał KGB, który prawdopodobnie otruił Nikołaja.

1971 rok

Eugeniusz Pieniążek po przesładowaniach ze strony Urzędu Bezpieczeństwa za kontakty ze Szwedami postanowił zbudować samolot, nazwany później „Kukułka”. Konstrukcję maszyny rozpoczął w bloku mieszkalnym, potem przeniósł się do hangaru aeroklubu. Celem lotu była Jugosławia. Ostatecznie jego podróż zakończyła się jednak w Szwecji.

1982 rok

W czasie stanu wojennego kpt. Czesław Kudłek wraz z załogą uprowadził rejsowy samolot PLL LOT na linii Warszawa – Wrocław i wylądował nim na lotnisku Tempelhof w Berlinie Zachodnim.

1983 rok

Jan Zytka i Mieczysław Szejna uciekli cywilnym samolotem z lotniska aeroklubu w Przylepie koło Zielonej Góry i wylądowali na Tempelhof w Berlinie Zachodnim.

pasa startowego, od razu wpadłby w bagnisty grunt, co prawdopodobnie skończyłoby się katastrofą.

SPOTKANIE Z PREZYDENTEM

Po zatrzymaniu maszyny Polak od razu z niej wyskakuje. W oddali słychać rosyjskie myśliwce, ale drzewa zasłaniają MiG-a. Jarecki zauważa na znajdujących się w pobliżu zasiekach rosyjskie litery. Jest zdezorientowany. Wyciąga pistolet. Nie wie, że po II wojnie światowej na Bornholmie przez jakiś czas stacjonowały sowieckie wojska. Po chwili widzi zbliżających się do niego żołnierzy. Nie wyglądają jednak na Sowietów.

Oddaje im pistolet i mówi: „komunizm kaput, asylum”. Dociera do niego, że znalazł się w Danii i jest wolnym człowiekiem.

W nocy na Bornholmie lądują spadochroniarze. To amerykańscy agenci. W pośpiechu demontują samolot. 50 tys. dolarów nagrody przypadnie właśnie Jareckiemu. Przez najbliższe tygodnie w zachodnich mediach głośno jest o Polaku. Radio Wolna Europa przeprowadza z nim wywiad. O rozmowę z pilotem zabiegają dziennikarze zagranicznych gazet i magazynów. W Londynie gen. Władysław Anders odznacza go Krzyżem Zasługi. Jarecki trafia również do Stanów Zjednoczonych, gdzie w Białym Domu spotyka się z prezydentem Dwightem Eisenhowerem. Dostaje amerykańskie obywatelstwo. Osiada w Pensylwanii i tam zakłada własną firmę, produkującą elementy wykorzystywane przy budowie rakiet.

KONIEC STALINIZMU

W Polsce mało kto cieszy się z ucieczki Jareckiego. Ci, których znał, boją się o swoje życie. Por. Caputa, z którym 5 kwietnia młody pilot poleciał na ćwiczenia, trafia do aresztu. Śledczy wiele razy go przesłuchują, bo sądzą, że jest w zмовie z podporucznikiem. Do więzienia trafia też matka uciekiniera. Wolność odzyskuje dopiero po trzech latach i wkrótce umiera. Na Jareckiego natomiast w Polsce zaocznie zapada wyrok śmierci.

Kilkanaście godzin po brawurowej ucieczce polskiego pilota umiera Stalin. Kończy się epoka nazwana przez historyków stalinizmem i zaczyna czas tzw. odwilży. Ster władzy w Związku Radzieckim obejmuje Nikita Chruszczow. Na XX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego wygłasza słynny referat, w którym krytykuje rządy Stalina. Od tej pory o stalinizmie mówi się jako o okresie błędów i wypaczeń. Do upadku bloku wschodniego jest jeszcze daleko, ale koszmar stalinowskiego terroru się skończył. Mieszkańcy Europy Wschodniej coraz śміiej zaczynają myśleć o wolności, a pierwszą osobą, która jej doświadczyła po śmierci radzieckiego dyktatora, był ppor. Franciszek Jarecki. ■

ziemią, w ostatniej chwili zauważa parkan z drutu kolczastego. Udaje mu się na chwilę poderwać maszynę, ale ten manewr oznacza, że na wylądowanie będzie miał jeszcze krótszy odcinek pasa startowego, niż początkowo przypuszczał. W końcu kołami dotyka lotniska. Zaczyna hamować, ale teren jest nierówny. Samolot chybotrze się na boki, muskając skrzydłami ziemię. Koła zaczynają grzęznąć w podłożu, bo na końcu pasa startowego jest bagno. Maszyna staje w miejscu. Gdyby Jarecki podjął decyzję o lądowaniu z drugiej strony

POLSKA ZBROJNA
HISTORIA

NOWY
MAGAZYN

JUŻ
WKRÓTCE

1050
LAT HISTORII
I CHWAŁY
ORĘŻA
POLSKIEGO

KWARTALNIK
HISTORYCZNY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

JAKUB NAWROCKI

Wyklęty życiorys

Był jednym z najbitniejszych żołnierzy wyklętych w Łomżyńskim. Jego postać dziś jest praktycznie nieznana.

Pełnił odpowiedzialne stanowiska w strukturach partyzanckich. W wieku 21 lat dowodził dwiema komendami powiatowymi Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (NZW) na północno-wschodnim Mazowszu. Był dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych. Tadeusz Narkiewicz ps. „Ciemny”, „Rymicz”, prowadził bezwzględną walkę z komunistycznym ustrojem w Polsce. W organach bezpieczeństwa uchodził za jednego z najgroźniejszych ludzi w województwie białostockim.

MŁODZIEŃCZY ZAPAL

Tadeusz Narkiewicz urodził się w 1926 roku w Łapach. Nie wiele dziś wiadomo o jego dzieciństwie. Gdy ukończył siódmą klasę szkoły powszechnej, wybuchła II wojna światowa. Najprawdopodobniej w 1943 roku został zaprzysiężony jako żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ).

W drugiej połowie 1944 roku na wyraźny rozkaz przełożonych zgłosił się do ludowego Wojska Polskiego. Zadaniem Narkiewicza było ukończenie szkolenia wojskowego i infiltracja środowiska nowo powstałej polskiej armii. W stopniu sierżanta zdezerterował w czerwcu 1945 roku. Trafił do oddziału pppor. Łuniewskiego ps. „Żbik” w Białostockiem. Wkrótce został przeniesiony do oddziału osłonowego Sztabu Komendy Okręgu NZW „Chrobry”. Jednostka ta pełniła również funkcję żandarmerii polowej. Hart ducha Narkiewicza i jego odwaga sprawiły, że właśnie jemu, 19-latkowi, dowódca białostockiego Okręgu NZW ppłk Władysław Żwański ps. „Błękit” powierzył dowództwo oddziału osłonowego, a już rok później, w 1946 roku, Pogotowia Akcji Specjalnej (PAS)

w łomżyńskiej Komendzie Powiatu NZW „Łaba Południowa”.

OJCIEC CHRZESTNY

W 1946 roku Narkiewicz został awansowany na podporucznika. Dowodzone przez niego oddziały wykazywały się niesamowitą aktywnością i skutecznością.

Osobiście uczestniczył w likwidacji komendanta powiatowego Milicji Obywatelskiej w Łapach i dwóch oficerów Urzędu Bezpieczeństwa z Wysokiego Mazowieckiego – ludzi niezwykle groźnych i zaangażowanych w zwalczanie podziemia antykomunistycznego. Starał się jednak unikać konfrontacji z żołnierzami WP. Jeżeli już do niej dochodziło, wziętych do niewoli zawsze po rozbrojeniu wypuszczał. Wzorowa postawa i niezachwiana wiara w ostateczne zwycięstwo sprawiły, że w tym samym roku, na osobisty rozkaz

ppłk. „Błękita”, stanął na czele Komendy Powiatu Łomża NZW „Podhale”, a w maju 1947 roku również Wysokiego Mazowieckiego „Mazur”.

Po wielu latach jeden z ostatnich żyjących żołnierzy łomżyńskiego NZW Bronisław Karwowski ps. „Grom” tak wspominał komendanta: „Dyscyplinę w oddziale utrzymywał, to fakt, ale bez przesady. Jako dowódca był lubiany i szanowany przez swoich podkomendnych. Mogłem to zaobserwować osobiście”. Nieżyjący już oficer NZW parę lat przed śmiercią tak opisywał wygląd i dyscyplinę żołnierzy „Ciemnego”: „U nas w Łomżyńskim stosunki były koleżeńskie, tytułów wojskowych nie używało się. A tam »Ciemny« czy »Cygan« to tylko obcasami trzaskali. Chłopaki nosili na mundurach ryngrafy i czarne pagony na znak, że są z PAS”.





Miejsce pochówku
ppor. „Ciemnego”
nie jest znane
do dziś.

Narkiewicz prowadził sprytną walkę psychologiczną z aparatem bezpieczeństwa. Na przykład pod koniec 1946 roku podpisał i rozesłał do wyższych stopniem funkcjonariuszy UB działających na jego terenie kilkadziesiąt nietypowych życzeń noworocznych o następującej treści: „Z okazji Nowego Roku składam panu życzenia. Wyrok. W imieniu Rzeczypospolitej Armii Narodowej Podziemnej skazuję pana na śmierć przez rozstrzelanie, wyrok zostanie wykonany w terminie do dnia 1 II 1947 roku. Wasz przyjaciel »Ciemny«”.

Cieszył się ogromną popularnością wśród mieszkańców wsi. Traktowany jako rzeczywisty przywódca i symbol władzy, przyjmowany był gościnnie przez

W CHWILI ŚMIERCI TRZECH MIESIĘCY

gospodarzy. Wielu, chcąc okazać swoje zaufanie i poparcie, prosiło „Ciemnego”, by został ojcem chrzestnym ich dzieci. W latach 1946–1947 uczestniczył w prawie 20 tego typu uroczystościach. Sam Narkiewicz nie myślał o sobie jako o symbolu władzy, nie szukał aplauzu. W ocalałym liście do rodziców, w którym pisał, że został w walce siedmiokrotnie (!) ranny, uspokajał ich: „nie martwcie się, to wszystko dla kochanej Ojczyzny”.

ZNAMIE ZDRADY

Ponieważ nie było można ani schwytać, ani zabić „Ciemnego”, funkcjonariusze bezpieki uruchomili sieć donosicieli i agentów, którzy mieli za zadanie dotrzeć do komendanta. Łączniczką Narkiewicza z jednostkami terenowymi z ramienia PAS była wówczas młoda dziewczyna o pseudonimie „Ruda”. Ich relacje przerodziły się w związek uczuciowy. Dowódca jednego z oddziałów NZW operujących w Łomżyńskim, Michał Bierzyński ps. „Sęp”, odkrył jednak, że jest ona tajnym współpracownikiem PUBP z Łomży (!). Decyzja mogła być tylko jedna. Wyrok na młodej dziewczynie wykonał żołnierz PAS-u. Zlikwidowano również jednego z członków kierownictwa Komendy Powiatowej NZW „Podhale” – ppor. Jana Gołaszewskiego ps. „Śruba”. Miał on zaprosić na kolację kilku najważniejszych dowódców oddziałów i patroli NZW. W jej trakcie „Ciemny” ukroił kawałek podanej gościom kiełbasy i dał psu właściciela, który po paru minutach padł w konwulsjach. Podejrzanie padło od razu na gospodarza, który natychmiast został rozstrzelany.

MUZEUM ŻOŁNIERZY WYKŁĘTYCH W OSTROŁĘCE

Do dziś nie zachowały się (lub nie zostały odnalezione) bezpośrednie dokumenty świadczące o współpracy Gołaszewskiego z UB. Są jednak raporty agentów, którzy podkreślali, że „Śruba” chciał zerwać z podziemiem. Żeby wkupić się w łaski bezpieki, jako dowód swoich „dobrych intencji” pragnął pozbyć się swoich kompanów.

Największym ciosem dla komendanta były jednak wydarzenia z drugiej połowy 1947 roku. One też pośrednio doprowadziły do jego śmierci. Jednym z najbliższych przyjaciół „Ciemnego” był ppor. Jan Skowroński ps. „Cygan”. Obaj wychowywali się w Łapach i znali z dzieciństwa. To najprawdopodobniej „Cygan” wciąż

przeświadczony o tym, że został zdradzony przez towarzyszy broni, zaczął składać obszerne zeznania dotyczące siatki, tras przemarszów, melin i samych oddziałów operujących na terenie Łomżyńskiego i Wysokiego Mazowieckiego. Doprowadziło to do aresztowań setek osób i ekspedycji karnych, które wyruszyły w teren, a Urząd Bezpieczeństwa ustalił miejsce postoju patrolu PAS NZW, przy którym znajdował się „Ciemny”.

6 września 1947 roku ppor. Narkiewicz wraz ze swoimi partyzantami stacjonował u zaprzyjaźnionej rodziny w kolonii Czochanie-Góra, gdy nagle zaczęła się oblawa UB. Lucjan Grabowski ps. „Wybicki”,

NARKIEWICZOWI ZABRAKŁO RÓWNO DO SKOŃCZENIA DWUDZIESTU JEDEN LAT

gnał Tadeusza do konspiracji narodowej. Mniej więcej w tym samym czasie co „Ciemny” wstąpił do wojska, Skowroński przystał do bezpieki w celu infiltracji re-sortu. I mniej więcej w tym samym czasie co jego przyjaciel zdezerterował do lasu. Działal w partyzancie na terenie powiatu Wysokie Mazowieckie. Gdy w sierpniu 1947 roku w walce z grupą operacyjną UB został ranny i otoczony, usiłował popełnić samobójstwo. Mimo że strzelił sobie w głowę, nie zginął, a bezpieka zrobiła wszystko, by go odratować. Schwytyany oficer narodowego podziemia był dla nich niezwykle cenny. Zanim „Cygan” odzyskał przytomność, Urząd Bezpieczeństwa w Białymstoku przygotował misterną akcję psychologiczną, mającą wpłynąć na decyzje i postawę Skowrońskiego. Otoczono go osobami, które znał, a które współpracowały z UB. Gdy „Cygan” odzyskał świadomość, zaczął zwierzać się ludziom z otoczenia, których pamiętał z przeszłości, i prosić o kontakt z dowództwem Okręgu „Chrobry”. Pisał listy m.in. do ppłk. Żwańskiego, a nawet kpt. Kazimierza Kamieńskiego ps. „Huzar” z WiN-u z prośbą o odbicie go. Podstawiony personel medyczny tłumaczył mu, że znajduje się w szpitalu w Łapach, podczas gdy w rzeczywistości był w Białymstoku. Wmawiano „Cyganowi”, że nikt z kompanów nie ma zamiaru go odbijać, a poza tym wszyscy się dobrze bawią i korzystają z życia, nie interesują się jego losem. Aby mistyfikacja udała się w całości, UB namówiło siostrę Skowrońskiego do napisania do brata listu oczerniającego jego towarzyszy. List dotarł do porucznika, który straszony konsekwencjami wobec najbliższej rodziny, torturami i zarazem

dowódca terenowy NZW, tak opisał ostatnią walkę ppor. „Ciemnego”: „Dwa tygodnie przed śmiercią został ciężko ranny. Kula karabinowa przeszła mu szyję i wyszła ustami, wybijając cztery zęby. Miał przy sobie dziewięciu partyzantów. UB-owcy w sile 50 ludzi przyjechali i zaczęli przetrząsać wieś. »Ciemny« dał rozkaz swoim wycofania się z kolonii do lasu. [...] »Ciemny« dostał serię z erkaemu w brzuch i upadł, koledzy chcieli go wynieść, lecz nie było to proste: olbrzymi mężczyzna obładowany bronią i amunicją. Będąc na wpół przytomny, zdążył oddać im swoją torbę oficerską pełną meldunków i rozkazów. Gdy UB-owcy dopadli do niego, leżał w kałuży krwi i udawał, że nie żyje. Jeden chwycił jego automat, drugi odpiął pas z rewolwerem w kaburze, trzeci chciał zdjąć zegarek domniemanego nieboszczyka, kiedy ręka z zegarkiem błyskawicznie sięgnęła do kieszeni spodni. »Ciemny« miał tam drugi rewolwer, niemiecki mauzer. Strzelił do sięgającego po zegarek, drugim strzałem poważnie ranił w brzuch ściągającego buty, a trzecią kulę przeznaczył dla siebie. Strzelił sobie pod brodę i skonał”.

W chwili śmierci Narkiewiczowi zabrakło równo trzech miesięcy do skończenia 21 lat. Bezpieka zabrała ciało oficera do Zambrowa. Do dziś nie jest znane miejsce jego pochówku. Ppor. Jan Skowroński „Cygan”, oszukany i wpłątany w mistyfikację UB, nigdy nie dowiedział się, że jego serdeczny przyjaciel zginął w wyniku zeznań, które to on złożył. Skazany wyrokiem sądu doraźnego w Białymstoku, został rozstrzelany w 1948 roku. ■

TADEUSZ WRÓBEL

AFRYKAŃSCY KAWALERZYŚCI

Przez ponad sto lat do elity francuskiej lekkiej kawalerii zaliczali się spahisi, werbowani spośród mieszkańców francuskich posiadłości w Afryce Północnej.

W 1827 roku gwałtownie pogorszyły się stosunki pomiędzy Królestwem Francji a Husajnem Dejem. Rządzący w imieniu tureckiego sułtana Algierem Dej zażądał od Paryża zwrotu długu za dostarczone jeszcze w 1799 roku zboże. Usłyszawszy beczelną odpowiedź francuskiego dyplomaty, dzielił go packą na muchy, co w owych czasach było wielką obrazą. Niebawem francuska flota zaczęła blokować wybrzeża Algieru. Trzy lata później Francuzi postanowili dokonać zbrojnej inwazji. 14 czerwca 1830 roku pierwsi żołnierze z ponad 37-tysięcznych sił ekspedycyjnych wylądowali w portowym mieście Sidi-Ferruch (obecnie Sidi-Fredj), 25 km na zachód od Algieru. Po trzytygodniowej kampanii, 5 lipca 1830 roku, Husajn uznał się za pokonanego. Siły francuskie zajęły Algier, ale mieszkańcy północnej Afryki nie zamierzali składać broni. Podbój kolejnych obszarów Algierii zajął Francuzom kilkadziesiąt lat. Dokonali tego w dużej mierze rękoma cudzoziemców i miejscowych żołnierzy. Wśród tych ostatnich byli znakomici kawalerzyści, zwani spahisami.

PIERWSZE SZWADRONY

Francuzi bardzo szybko zaczęli wykorzystywać animozje pomiędzy mieszkańcami Algierii, zwłaszcza Arabami i Berberami. Werbowali członków niektórych plemion, będących znakomitymi jeźdźcami. Stworzono z nich nieregularne jednostki, nazywane strzelcami spahisi (Chasseurs-Spahis). Ich nazwa nawiązywała do sipahi, oddziałów elitarniej kawalerii armii imperium

W FEZACH I BURNUSACH

W 1843 roku niewielki pododdział algierskich spahisów wysłano do Senegalu. Tam wśród jego mieszkańców oraz Francuskiego Sudanu rozpoczęto rekrutację ochotników. Pododdziały senegalskich spahisów na obszarach francuskich kolonii w Afryce Zachodniej, Sudanie, Czadzie i Kongu operowały do 1898 r. Później użyto ich w latach 1908–1919 w Maroku. Ostatecznie w okresie międzywojennym spahisi stali się kadram dla nowo utworzonej konnej żandarmerii. Ich tradycje przetrwały w Senegalu do dziś. Pododdział kawalerii, zwany Czerwoną Strażą, wypełnia zadania ceremonialne i prezydenckiej ochrony. Elementami ich umundurowania są, tak jak w epoce kolonialnej, burnus, fez i czerwona tunika.

Patrol spahisów na rycinie Jeana Edouarda Detaille'a, 1886 rok



otomańskiego istniejących w XIV–XVIII wieku. We wrześniu 1834 roku stworzono cztery regularne szwadrony spahisów, które przydzielono do pułków strzelców afrykańskich. W jednostkach tych służyli Arabowie i Berberowie, a oficerami byli Francuzi. Przyjęte rozwiązanie wynikało prawdopodobnie z tego, że wówczas jeszcze nie w pełni ufano miejscowym kawalerzystom i starano się mieć ich pod kontrolą. Wzięli oni udział m.in. w ekspedycjach do Konstantyny oraz przez przełęcz nazywaną Żelaznymi Wrotami (les Portes de Fer) w masywie Biban (Dżibal al-Biban). Podczas krwawych walk ze swoimi ziomkami spahisi wykazali

AZJATYCCY JEŹDŹCY

W 1860 roku spahisi walczyli w ramach francuskiej ekspedycji wojskowej w północnych Chinach. Co ciekawe, w 1861 roku w armii kolonialnej w Indochinach utworzono szwadron jeźdźców nazywanych spahisami, w którym służyli ochotniczo mieszkańcy regionu Kochinchina (dawna nazwa południowej części Wietnamu). Jednostka ta przetrwała do 1871 roku. W połowie lat osiemdziesiątych XIX wieku spahisi znowu wzięli udział w azjatyckiej eskapadzie. Tym razem powodem była chińsko-francuska wojna o Tonkin, czyli obecnie północny Wietnam. Ostatni raz walczyli tam za Francję w latach 1947–1954. ■



BIBLIOTHEQUE
NATIONALE DE FRANCE (2)

EUROPA

- 1 RSA (1 Armia)
- 2 RSA (1 Armia)
- 3 RSA (3 Dywizja Piechoty Algierskiej)
- 7 RSA (1 Brygada Spahisów)
- 1 RMSM (2 Dywizja Pancerna)
- 1 RSM (rezerva generalna)
- 3 RSM (2 Dywizja Piechoty Marokańskiej)
- 4 RSM (4 Dywizja Górską Marokańską)
- 5 RSM (1 Brygada Spahisów)

AFRYKA

- 5 RSA
- 6 RSA
- 2 RSM
- 4 RST

się całkowitą lojalnością wobec Francji. Wyróżniały ich odwaga i wytrwałość, a znajomość terenu oraz znakomite konie były dodatkowym atutem.

Przełomową datą dla francuskich spahisów był 2 lipca 1845 roku. Wówczas na mocy rozkazu króla Ludwika Filipa utworzone zostały pierwsze trzy pułki (régiments de spahis – RS) – w Algierze, Oranie i Konstantynie. O walorach północnoafrykańskich kawalerzystów świadczyć może chociażby to, że podczas wojny krymskiej w latach 1853–1856 ich pododdział stanowił eskortę francuskiego marszałka Jacques’a Leroy de Saint Arnauda. W 1860 roku spahisi weszli w skład sił wysłanych do Syrii i Libanu.

W czasie wojny francusko-pruskiej w latach 1870–1871 część szwadronów przerzucono do metropolii. Po zajęciu Tunezji przez Francję, na jej terenie utworzono 1 października 1886 roku czwarty pułk.

Z czasem przed muzułmańskimi żołnierzami otworzyły się możliwości oficerskich awansów. Maksymalnie mogli liczyć na stopień kapitana. Z drugiej strony, wyjątkowe mundury, wzorowane na ubiorach berberyjskich jeźdźców, oraz szacunek, jakim darzono spahisów, przyciągały w ich szeregi rodowitych Francuzów, nie tylko oficerów.

Przed wybuchem I wojny światowej istniały cztery pułki spahisów. 1 RS stacjonował w Medei, 2 RS w Sidi Bel





WZOREM FRANCUZÓW

W 1911 roku wybuchła wojna pomiędzy imperium osmańskim a Włochami. Te ostatnie postanowiły wykorzystać osłabienie Turków i zająć należącą do nich Libię. Po pokonaniu sił sułtana Włosi, podobnie jak Francuzi, musieli spacyfikować miejscową ludność. Wykorzystując lokalne podziały, zaczęli werbować tubylczych ochotników. W 1912 roku utworzono pierwszy oddział spahisów. W odróżnieniu od armii

francuskiej była to nieregularna lekka jazda wykonująca zadania porządkowe. W momencie największego rozkwitu w latach dwudziestych XIX wieku we włoskich wojskach kolonialnych w Libii istniały prawdopodobnie cztery grupy szwadronowe spahisów, liczące po trzy lub cztery jednostki. W 1932 roku rozformowana została 2 Grupa Szwadronów Spahisów, natomiast w 1935 roku utworzona nowa, 5 Grupa Szwadronów Spahisów, która walczyła

w wojnie z Etiopią.

10 czerwca 1940 roku, w momencie przystąpienia Włoch do wojny, było około tysiąca spahisów. O ich działaniach bojowych w tym okresie niewiele wiadomo, poza tym, że zajmowali się patrolowaniem i rozpoznaniem. Formalnie zostali rozwiązani w styczniu 1943 roku, gdy wojska włosko-niemieckie wycofały się z Libii do Tunezji. ■

Abbès i 3 RS w Batnie, a tunezyjski 4 RS w Sfax. Część szwadronów z każdego pułku operowała od 1911 roku na terenie Maroka, które Francuzi uczynili swym protektorem. Poza tym istniały jeszcze dwa szwadrony spahisów senegalskich, w tym jeden służący w Maroku. W sierpniu 1914 roku utworzony został 5 Pułk Spahisów. W następnym miesiącu w Algierii sformowano brygadę marszową złożoną z 1 i 2 Pułku Marszowego Spahisów (régiment de marche des spahis – RMS). W sierpniu 1915 roku zmieniono ich numerację na 6 RMS i 7 RMS. Z istniejących w Maroku szwadronów pomocniczych strzelców marokańskich stworzono natomiast Pułk Marszowy Tubylczych Strzelców Konnych, który w 1915 roku zmienił nazwę na Pułk Marszowy Spahisów Marokańskich (régiment de marche de spahis marocains – RSM).

Podczas I wojny światowej na froncie zachodnim przez większość czasu toczyły się walki pozycyjne, dlatego użycie kawalerii było ograniczone. Czasami w trakcie kolejnych ataków spahisi byli trzymeni w rezerwie, by w razie czego uderzyć w luki powstałe po szturmach piechoty. Zdarzało się, że obsadzali okopy jak zwykła piechota. W tej sytuacji w latach 1916–1917 wycofano z Francji do Afryki Północnej, głównie do Maroka, kilka szwadronów północnoafrykańskiej kawalerii. Tam były bardziej przydatne w manewrowej wojnie z rebeliantami. Jednak latem 1918 roku część spahisów ponownie trafiła do Francji.

Spahisów wysyłało do walki również na innych frontach. W 1917 roku część marokańskich spahisów włączono do wojsk francuskich operujących na Bałkanach. Pod koniec 1918 roku kawalerzyści RSM przekroczyli Dunaj i weszli do Budapesztu. Ostatnią misją bojową spahisów marokańskich był rajd na zamek Foth, 30 km na

północ od stolicy Węgier, gdzie schwytali niemieckiego feldmarszałka Augusta von Mackensena i członków jego sztabu. Po kolejnych zmianach nazw RSM ostatecznie stał się w końcu lat dwudziestych 1 Pułkiem Spahisów Marokańskich (régiment de spahis marocains – RSM). Spahisów algierskich wysłano natomiast w 1918 roku na Bliski Wschód, gdzie walczyli z Turkami.

CZAS PRZEMIAN

Po zakończeniu I wojny światowej w historii jednostek jazdy północnoafrykańskiej rozpoczął się burzliwy okres. W tym czasie tworzono, przeformowywano i rozwiązywano liczne jednostki spahisów. W 1921 roku do ich nazw dodano wyróżniki od miejsca sformowania (tak jak uczyniono wcześniej w przypadku jednostki z Maroka), i tak pojawiły się pułki spahisów algierskich (régiments de spahis algériens – RSA) i tunezyjskich (régiments de spahis tunisiens – RST). Podobnie jak wiele innych jednostek francuskich wojsk kolonialnych, północnoafrykańscy kawalerzyści uczestniczyli w dalszym podboju Maroka, w tym w stłumieniu powstania Rifenów, oraz w działaniach w Syrii. Ostatecznie struktury organizacyjne ukształtowały się w 1933 roku po likwidacji 5 RST. Pozostało wówczas 13 pułków spahisów, które stacjonowały w Algierii, Maroku, Lewancie (Syria i Liban), Tunezji oraz we Francji. Jeden z pułków ulokowanych w metropolii, 4 RSM w Senlis, pełnił funkcje reprezentacyjne.

1 września 1939 roku wybuchła II wojna światowa. W tym czasie we Francji były rozmieszczone dwie brygady spahisów – 1, utworzona z 4 RSM i 6 RSA, stacjonująca w Compiègne oraz 2 – z 7 i 9 RSA, stacjonująca w Vienne i Montauban. Później do Francji przybyła

jeszcze 3 Brygada Spahisów, utworzona z 2 RSA i 2 RSM w październiku 1939 roku w Afryce. W lutym 1940 roku w Tunezji utworzono 7 Brygadę Spahisów w składzie 6 Dywizji Lekkiej Kawalerii. Do tej brygady włączono 1 RSA i 3 RSA. W Tunezji znajdował się także 4 RST w 4 Brygadzie Kawalerii, natomiast 3 RSM i 8 RSA były w 5 Brygadzie Kawalerii w Maroku, a 1 RSM stacjonował w Syrii.

W tym okresie pułki spahisów składały się z pododdziału dowodzenia, szwadronu broni ciężkiej (armaty przeciwpancerne i ciężkie karabiny maszynowe) oraz dwóch grup kawalerii (każda mająca pododdział dowodzenia i dwa szwadrony). Spahisów przydzielono do różnych armii, stąd w maju i czerwcu 1940 roku walczyli na całym froncie niemiecko-francuskim, od Luksemburga po granicę ze Szwajcarią. Podczas kampanii 1940 roku większość pułków poniosła duże straty, na przykład 15 maja 1940 roku w bitwie o La Horgne z jednostkami niemieckiej 11 Dywizji Pancernej zginęli dowódcy obu pułków 3 Brygady, a dowodzący brygadą płk Marc Olivier ranny trafił do niewoli. Jeden z pułków spahisów, 7 RSA, nie chcąc poddać się Niemcom, przeszedł do Szwajcarii, gdzie kawalerzystów internowano.

LOJALNI DO KOŃCA

Większość spahisów pozostała w armii Vichy. W latach 1940–1941 rozformowano 2 RSM oraz 6 RSA, 7 RSA, 8 RSA i 9 RSA. Zniknęły cztery z sześciu pułków, które wzięły udział w bitwie o Francję. Pomimo zawarcia rozejmu z Niemcami część spahisów kontynuowała walkę w szeregach Wolnych Francuzów. 30 czerwca z Syrii do kontrolowanej przez Brytyjczyków Palestyny przeszedł 1 szwadron 1 RSM pod dowództwem kpt. Paula Jourdiera. Jednostka ta wzięła udział na początku 1941 roku w kampanii we Włoskiej Afryce Wschodniej, a później, w czerwcu i lipcu tegoż roku, w walkach w Syrii przeciwko wojskom wiernym kolaboranckiemu rządowi Vichy. Po zakończeniu działań w Syrii konie zastąpiono pojazdami mechanicznymi. Wraz z napływem kolejnych ochotników szwadron we wrześniu 1942 roku przekształcił się w 1 RMSM, który walczył w Libii i Tunezji. Kiedy alianci wyładowali we Francuskiej Afryce Północnej, dołączyły do nich kolejne pułki północnoafrykańskiej jazdy. Po pobięciu wojsk Osi w Tunezji, spahisi wraz z innymi jednostkami francuskimi wzięli udział w kampanii włoskiej, a później walczyli o wyzwolenie Francji. Drugą wojnę światową kawalerzyści zakończyli na terenie Niemiec. Warto pamiętać, że był to czas, gdy w kolejnych jednostkach konie za-

stępowano pojazdami pancernymi. Spahisi stali się pułkami rozpoznawczymi armii i dywizji. Niemniej jednak w co najmniej dwóch zachowano konie. Brygada jazdy była w dyspozycji 1 Armii Francuskiej. Dziewięć pułków spahisów odznaczono Krzyżem Wojny 1939–1945 z jedną, dwoma lub trzema palmami.

Po zakończeniu II wojny światowej rdzenni mieszkańcy zamorskich posiadłości Francji zaczęli się domagać niepodległości. Pierwszy konflikt wybuchł w Indochinach. W 1947 roku wyruszyli tam żołnierze z 2 RSM. W 1949 roku wysłano na Daleki Wschód personel 8 RSA oraz 5 i 6 grupę Szwadronów Spahisów Marokańskich. Żołnierze ci walczyli w Wietnamie i Kambodży do końca tego konfliktu. Tymczasem coraz niespokojniej było w Afryce Północnej. W 1952 roku w Tunezji, po aresztowaniu działacza niepodległościowego Habiba Burgiby, doszło do rewolty. Francuzi mieli tam dwa szwadrony konne spahisów, które wykorzystano do patrolowania i ścigania rebeliantów na terenach niedostęp-

nych dla pojazdów mechanicznych. W 1954 roku szwadrony połączono w 4 RST. Jednostka istniała do 19 lutego 1957 roku. W tym czasie w sąsiedniej Algierii wybuchł krwawy konflikt wewnętrzny. Topografia terenu działań spowodowała, że Francuzi musieli znowu używać koni. Sformowano trzy jednostki – 5 RS, 9 RS i 23 RS – każda zło-

żona ze szwadronu dowodzenia i czterech szwadronów interwencyjnych. W sumie pułk miał 700 koni. Jednostki te działały do końca wojny w 1962 roku.

SPADKOBIERCY TRADYCJI

Do 1964 roku znikły dotychczasowe pułki spahisów. Część z nich przekształcono, na przykład 4 RSM stał się 3 Pułkiem Huzarów. W 1965 roku dotychczasowy 21 RS przeformowano w 1 RS. Pułk dziedziczący tradycje wszystkich jednostek związanych z linią 1 RSM stacjonuje w Valence. Zalicza się on do kawalerii pancernej. Od sierpnia 2015 roku jest jednostką rozpoznawczą 6 Lekkiej Brygady Pancernej. W jego skład wchodzi trzy szwadrony bojowe wyposażone w 18 czołgów na kołach oraz wozy AMX 10RCR uzbrojone w armatę kalibru 105 mm. Pułk ma także cztery szwadrony: dowodzenia, rozpoznawczy, wsparcia i rezerwowy. Poza AMX 10RCR współcześni spahisi posiadają jeszcze 60 lekkich pojazdów opancerzonych VBL i 18 kołowych transporterów opancerzonych VAB, a także wyrzutnie przeciwpancernych pocisków kierowanych Eryx i Milan. ■

MUNDURY, WZOROWANE NA UBIORACH BERBERYJ- SKICH JEŹDŹCÓW, ORAZ SZACUNEK, JAKIM DARZO- NO SPAHISÓW, PRZYCIĄ- GAŁY W ICH SZEREGI RO- DOWITYCH FRANCUZÓW

Na początku lat trzydziestych XX wieku linie lotnicze uznały, że samoloty pasażerskie o konstrukcji drewnianej nie są bezpieczne i Amerykanie zaczęli prace nad maszynami wykonanymi w całości z metalu. Wpływ na rozwój nowych projektów miał również sam prezydent USA Franklin Delano Roosevelt, który 9 lutego 1934 roku jednym podpisem anulował umowy na przewozy lotnicze pocztą zawarte przez poprzednią administrację.

OCZEKIWANIA PREZESÓW

Prywatnych przewoźników miał zastąpić Korpus Lotniczy Armii (Army Air Corps – AAC). Szybko okazało się, że wojsko nie było przygotowane do tej misji. Jego samoloty były przestarzałe, a personel latający niedostatecznie wyszkolony, by wykonywać loty nocne i w trudnych warunkach pogodowych. W pierwszym tygodniu lotów z pocztą AAC utracił osiem samolotów. W katastrofach zginęło dwóch pilotów wojskowych.

Sytuację tę postanowił wykorzystać prezes Transcontinental & Western Air Jack Frye, który zamierzał udowodnić, że prywatne linie lotnicze potrafią przewieźć pocztę skuteczniej niż wojsko. Do tego celu wykorzystał prototypowy dwusilnikowy samolot DC-1 firmy Douglas Aircraft Company. Maszyna wylądowała pocztą wystartowała z Glendale w Kalifornii i skierowała się do Newark, w stanie New Jersey, na Wschodnim Wybrzeżu. DC-1 pokonał, z dwoma międzylądowaniami, dystans 4199 km w 13 godzin i dwie minuty. Niebawem TWA zaczęła użytkować seryjne samoloty DC-2, wywodzące się od DC-1. Maszyny te zyskały ogromną popularność, gdy jedna z nich, w barwach holenderskiego przewoźnika KLM, wygrała w 1934 roku wyścig Londyn – Sydney. Kilkadziesiąt DC-2 w kilku wersjach, w tym do przewozu VIP-ów, zamówił AAC.

Pomimo wielu walorów, takich jak duża prędkość przelotowa i liczba pasażerów (14 osób), DC-2 nie był konstrukcją idealną. Piloci sygnalizowali szereg problemów technicznych, m.in. ciężko pracujące lotki i stery, pojawiające się oblodzenie, nadmierne turbulencje oraz niedostatek mocy silników. Dlatego Cyrus Rowlett Smith, prezes American Airlines, zaczął namawiać Donalda Douglasa, by dokonał pewnych modyfikacji. Ten na początku nie bardzo się do tego kwapił, bo DC-2 bardzo dobrze się sprzedawał w kraju i za granicą. Co ciekawe, American Airlines chciały kupić dwie różne wersje samolotu. Oprócz przeznaczonej do lotów dziennych zamówiono wersję z leżankami do transkontynentalnych lotów nocnych. 14-miejscowa latająca kuszетка (Douglas Sleeper Transport – DST), wyprodukowana w Santa Monica w Kalifornii, odbyła pierwszy lot 17 grudnia 1935 roku. Linie lotnicze odebra-

ły pierwszy model tego typu 29 kwietnia 1936 roku. Wersja dzienna, DC-3, zabierała 21 pasażerów. Nowy samolot szybko zdobył tak dużą popularność, że DAC miał problem z realizacją wszystkich zamówień. Sprzedał więc licencję Holandii, Związkowi Sowieckiemu i Japonii.

DOUGLAS W MUNDURZE

Japończycy i Sowieci nieprzypadkowo zainteresowali się konstrukcją Douglasa. Jedni i drudzy doszli do wniosku, że maszyna może być wykorzystana do celów wojskowych. Zwróciły na to uwagę również siły zbrojne USA, które świadome nieuchronności wielkiego konfliktu zbrojnego zwiększały potencjał lotniczy. Pierwsze duże zamówienie na transportowce Douglasa lotnictwo USA złożyło we wrześniu 1940 roku, w czasie, gdy trwała bitwa o Anglię. Wojsko zamierzało kupić 547 samolotów oznaczonych jako C-47 Skytrain, wyposażonych w podwójne

TADEUSZ WRÓBEL PODNIĘBNA CIĘŻARÓWKA

Samolot transportowy Douglas DC-3 miał znaczący udział w zwycięstwie aliantów w II wojnie światowej.

drzwi wyladunkowe na lewej burcie, wzmocnioną metalową podłogę i opuszczane schody. Maszyna poza czteroosobową załogą zabierała 27 żołnierzy siedzących na składanych fotelach zamontowanych przy bocznych ścianach kabiny transportowej. Zamówiono też 92 egzemplarze wersji C-53 Skytrooper, bez wzmocnionej podłogi i szerokich drzwi. Przewidziana była do przewozu 28 osób siedzących na krzesłkach ustawionych rzędami. Niebawem DAC otrzymała kolejne kilkutysięczne zlecenia. Jako że firma produkowała też inne samoloty wojskowe, musiała otworzyć nowe zakłady. Rekordem jednego z nich, powsta-

tego w Oklahoma City, było wyprodukowanie wiosną 1944 roku, przed inwazją w Normandii, 1,8 samolotu C-47 w ciągu godziny. Tam i w drugim zakładzie w Long Beach (Kalifornia) w maju 1944 roku powstały 573 transportowce Douglasa. Co ciekawe, w maju 1945 roku w Long Beach zbudowano ich ponad 415. Ostatnie transportowe C-47 zamówione zostały w lipcu 1944 roku.

Według danych firmy DAC, wyprodukowane zostały przez nią 10 632 samoloty DC-3/C-47 (z czego trzy jako części zamienne). Dominowały maszyny w wersjach wojskowych, których powstało 10 291. Głównym odbiorcą było lotnictwo, ale pewna liczba trafiła też do marynarki. Przy czym przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny, do grudnia 1941 roku, w zakładzie w Santa Monica w Kalifornii wytworzono ich 527, w tym 38 sztuk DST. 435 egzemplarzy DC-3 dostarczono liniom lotniczym i innym klientom cywilnym. Resztę przejęło wojsko, które zamówiło też następne. Lotnictwo otrzymało 531 nowych samolotów DC-3 wyprodukowanych w Santa Monica. Większość tych maszyn – 382 – stanowiły wersje wojskowe, w tym 219 C-53 i 159 C-53D. Poza tym po wybuchu wojny na potrzeby militarne zarekwirowano jeszcze cywilne DC-3, którym też nadano oznaczenie C-53. Maszyn tych używano do przewozu spadochroniarzy oraz holowania szybowców transportowych z piechotą szybowcową i sprzętem. W sumie do armii trafiło 625 z 966 samolotów DC-3, które powstały do lipca 1943 ro-

ku w Santa Monica. Najwięcej opuściło linie produkcyjne zakładu w Oklahoma City. Z 6928 zamówionych wyprodukowano 5381, w tym 28 w cywilnej wersji DC-3D, z kolei w zakładach w Long Beach powstało 4285 egzemplarzy. Ponad 1900 ze zbudowanych w USA transportowców dostarczono w ramach programu „Lend-Lease” brytyjskim Królewskim Siłom Powietrznym (Royal Air Force), które nadały im nazwę Dakota. RAF użytkował ich cztery wersje – Dakota Mk.I (C-47), Dakota Mk.II (C-53), Dakota Mk.III (C-47A) i Dakota Mk.IV (C-47B). Na tym nie koniec, bo w Związku Sowieckim do 1954 roku wyprodukowano na licencji 6157 samolotów oznaczonych jako Li-2 (część źródeł podaje, że było ich tylko 4937). W Japonii natomiast Showa Company, która przejęła dokumentację od firmy Nakajima Aircraft Company, zbudowała 487 licencyjnych DC-3, oznaczonych jako L2D dla lotnictwa Cesarskiej Marynarki Wojennej.

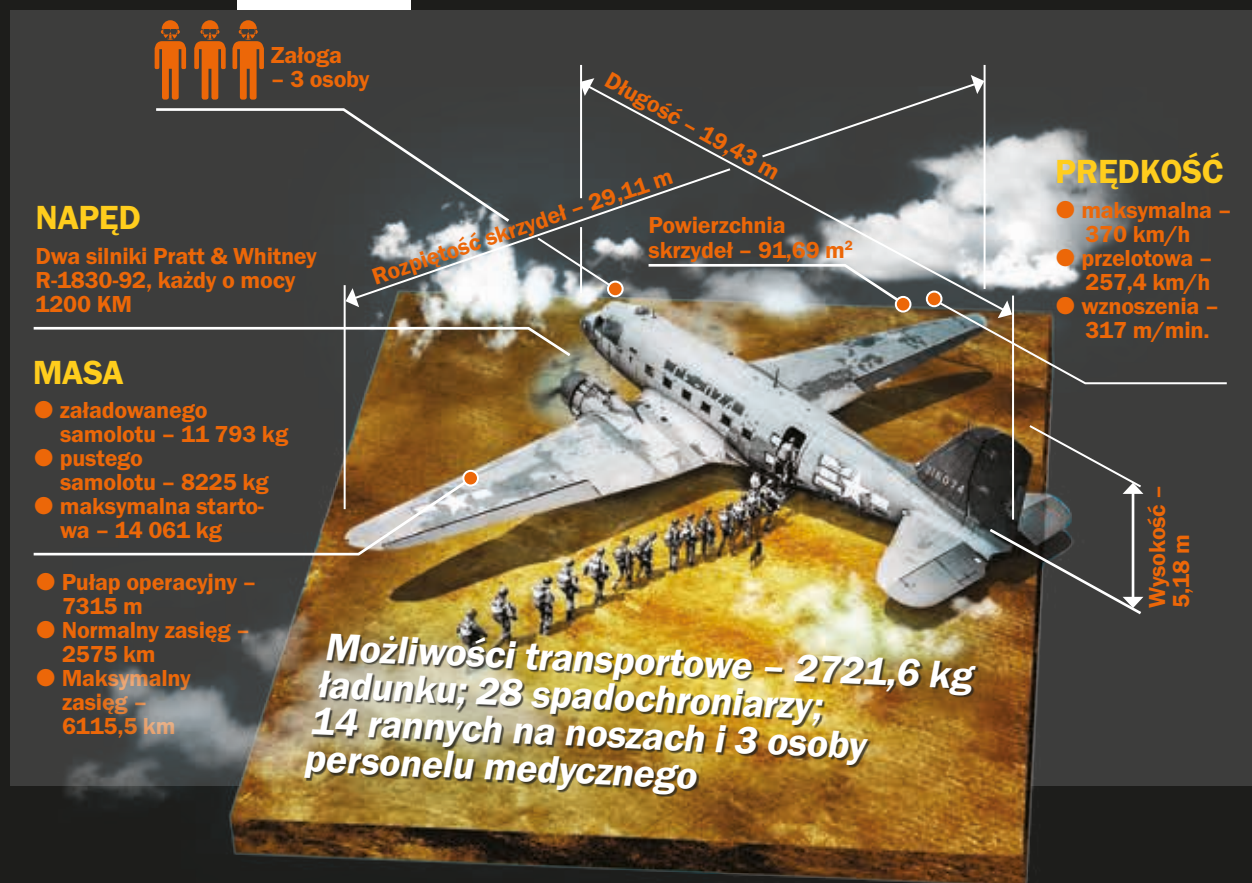
NA WSZYSTKICH FRONTACH

W czasie II wojny światowej samoloty z rodziny DC-3 były podstawowymi maszynami transportowymi w siłach powietrznych aliantów i Związku Sowieckiego. Bez nich nie byłoby szans na przeprowadzenie jakiegokolwiek dużej operacji powietrznodesantowej. Po raz pierwszy w takiej misji kilkadziesiąt transportowców Douglasa użyto podczas lądowania



Według danych firmy DAC,
wyprodukowane zostały
przez nią 10 632
samoloty DC-3/C-47

C-47 W LICZBACH



MD/DZIAŁ GRAFICZNY, ARCHIWUM USAF

wojsk amerykańsko-brytyjskich w listopadzie 1942 roku we francuskiej Afryce Północnej. Kilkaset C-47 zrzuciło spadochroniarzy amerykańskich i brytyjskich 9 lipca 1943 roku nad Sycylią. W końcu maja 1944 roku IX Dowództwo Transportu Wojsk dysponowało 1207 samolotami C-47. Podczas pierwszych dwóch dni walk w Normandii Amerykanie stracili 42 transportowce. Brytyjczycy zaś użyli w trakcie desantu w Normandii 239 dakot. W czasie najbardziej znanej operacji „Market Garden” uczestniczyły 1274 amerykańskie C-47 i 164 brytyjskie dakoty. W „Varsity” wykorzystano 836 amerykańskich C-47 i 752 brytyjskie dakoty.

Desanty zdarzały się raz na jakiś czas, ale na co dzień tysiące transportowców dostarczały na front zaopatrzenie i ewakuowały rannych. Jednymi z najtrudniejszych były loty z Indii, z dostawami dla walczącej z Japończykami chińskiej armii Czang Kaj-szeka. Nie było to łatwe, bo samoloty musiały pokonać wysokie pasma Himalajów. W tym celu opracowano wersję C-47B z silnikami R-1830-90 i dodatkowymi zbiornikami paliwa. Wyprodukowano 3364 egzemplarze maszyn tego typu.

Czas wojny pokazał, że samoloty z rodziny DC-3 mają niezwykle mocną konstrukcję. Jeden z transportowców przetrwał zderzenie z japońskim myśliwcem Mitsubishi A6M Reisen, znanym jako Zero. Wroga maszyna rozbiła się na ziemi, a pokiereszowany C-47 dotarł na lotnisko. Pilot innego douglasa staranował kamikadze. Najbardziej niezwykłą historią była jednak przygoda chińskiego C-47, który zaatakowało pięć japońskich myśliwców. W kadłubie i skrzydłach doliczono się 3 tys. przestrzelin. Gdy naprawiona prowizorycznie maszyna wpadła w wielką ulewę, a z jej silników zaczęły wybijać płomienie, widok był tak upiorny, że sześć wrogich myśliwców zrezygnowało z ataku. Później radio Tokio, opisując to zdarzenie, utrzymywało, że była to jakaś nowa aliancka tajna broń.

Według zaleceń, C-47 powinien zabierać nie więcej niż 30 pasażerów. Jednak sytuacja wojenna powodowała, że często tego nie przestrzegano. Ppłk Jimmy Doolittle, dowódca pierwszego amerykańskiego nalotu bombowego na Japonię, leciał z Birmy samolotem z 73 innymi osobami. ■



KRZYSZTOF
KUBIAK

Potęga improwizacji



Rozwój w dziedzinie techniki wojskowej prowadzi do powstawania coraz bardziej wyspecjalizowanych rodzajów uzbrojenia i wyposażenia. W czasie wojny dochodzi jednak do sytuacji, kiedy jedynym sposobem uporania się z istniejącymi wyzwaniami jest przyjęcie rozwiązań doraźnych, absolutnie improwizowanych, o których w czasie pokoju nawet by nie pomyślano. Historia wojen zna przypadki, gdy wyspecjalizowanym samolotom i śmigłowcom skonstruowanym do zwalczania okrętów podwodnych przyszło operować w wysokich górach.

Tak wydarzyło się podczas drugiej wojny pakistańsko-indyjskiej we wrześniu 1965 roku. Wybuch konfliktu zastał jedyny indyjski lotniskowiec, „Vikrant”, w stoczni remontowej, w związku z czym jego skrzydło pokładowe, w którego skład wchodziły również śmigłowe samoloty przeciwpodwodne Breuget Br. 1050 Alize, wyokrętowano na ląd. Początkowo patrolowały one podejścia do zachodnich wybrzeży Indii, w tym głównej bazy w Bombaju. Szybko jednak maszynami zainteresowały się wojska lotnicze, które zmagaly się z naprowadzanymi przez kontrolę naziemną pakistańskimi myśliwcami.

Jednym ze sposobów zdobycia przewagi było wyeliminowanie owego systemu naprowadzania, ale wymagało to zniszczenia będących jego kością stacji radiolokacyjnych. Lotnictwo indyjskie nie dysponowało jednak żadnymi urządzeniami pozwalającymi namierzać wrogie radary. Przypomniano sobie wówczas, że takie wyposażenie, pod nazwą ARRAR-2, mają należące do marynarki wojennej samoloty zwalczania okrętów podwodnych. Jedną maszynę przebazowano więc (wraz z personelem obsługi naziemnej) z Bombaju – najpierw do Nowego Delhi, a następnie do północnoindyjskiej Agry.

Nie obyło się jednak bez problemów, gdyż lotnictwo morskie nie miało map interioru, a na kontynencie obowiązywało zaciemnienie, co utrudniało orientację podczas nocnego przelotu. W trakcie kilku kolejnych lotów bojowych alize, manewrujący nad własnym terytorium, w oddaleniu od styku walczących armii, co miało wyeliminować zagrożenie ze strony artylerii przeciwlotniczej własnych wojsk lądowych, zlokalizował stacje radiolokacyjne w rejonie Lahaur oraz Sargodhy. Alize potwierdził także, że instalacja w Badin, która wcześniej była atakowana, została przywrócona do funkcjonowania, w związku z czym konieczne jest przeprowadzenie kolejnego uderzenia. Improwizowane rozwiązanie się sprawdziło, mimo że urządzenie ARRAR podawało tylko namiar na źródło emisji elektromagnetycznej.

Po raz kolejny maszyny przeciwpodwodne, tym razem jednak śmigłowce, operowały w górach w czasie walk w Bośni i Hercegowinie. Wprawdzie jugosłowiańska marynarka wojenna nie miała integralnego lotnictwa morskiego, ale w składzie wojsk lotniczych był 784 Dywizjon Śmigłowców Zwalczania Okrętów Podwodnych. Nosił on nazwę Ajkule (rekiny), a stacjonował w Divulje pod Splitem. Pododdział był wyposażony w sowieckie maszyny typu Kamow Ka-25PŁ i Kamow Ka-28PŁ. Dwa śmigłowce drugiego z wymienionych typów, wyposażone w silne stacje radiolokacyjne, z braku innego sprzętu wykorzystano do monitorowania ruchów chorwackich oddziałów w Hercegowinie w 1992 roku. O rezultatach tej improwizacji niczego pewnego jednak nie wiadomo.



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

HORYZONTY

/ SPORT



JACEK SZUSTAKOWSKI

WOJSKO PIŁKĘ KOPIE

Po 22 latach reaktywowano reprezentację Wojska Polskiego w piłce nożnej. Nowo zbudowana drużyna zajęła dziewiąte miejsce w II Wojskowym Pucharze Świata.

ANEKOHO / FOTOLIA



D

la żołnierzy grających w piłkę nożną Międzynarodowa Rada Sportu Wojskowego (Conseil International du Sport Militaire – CISM) organizuje dwie bardzo ważne imprezy: mistrzostwa świata i turnieje o puchar świata. Te pierwsze są rozgrywane od 1946 roku. W 2015 roku odbyła się 45. edycja czempionatu. Po- cząwszy od 1995 roku, kiedy to dla uczczenia 50. rocznicy

zakończenia II wojny światowej odbyły się I Letnie Igrzyska Wojskowe w Rzymie, mistrzostwa odbywają się co cztery lata w ramach wojskowych igrzysk. Pomiedzy olimpiadami czempionaty nie są organizowane regularnie – ostatni odbył się przed 12 laty w niemieckim Warendorfie. Z kolei turnieje o puchar świata są rozgrywane dopiero od 2013 roku. Reprezentacja Wojska Polskiego uczestniczyła jedynie w dwóch imprezach największej rangi w wojsku: w 1993 roku w 35. Wojskowych Mistrzostwach Świata oraz w 2017 roku w II Wojskowym Pucharze Świata. Przed 24 laty nasi piłkarze grali w Maroku, a w styczniu tego roku w Omanie.

UDANY DEBIUT W MAROKU

W debiucie w wojskowym czempionacie Polacy wywalczyli w Rabacie piąte miejsce. Do mistrzostw zakwalifikowało się dziewięć reprezentacji. W fazie grupowej nasi reprezentanci pokonali 2:0 drużynę z USA oraz 4:0 ekipę z Tanzanii. Po wyjściu z pierwszego miejsca z grupy B Polacy rozegrali dwa spotkania. Najpierw przegrali 1:3 z Egiptem, a potem ulegli 1:2 Niemcom. Bramka samobójcza, stracona w 89. minucie meczu z Niemcami, odebrała biało-czerwonym szansę gry o trzecie miejsce. W finale Egipt wygrał 3:2 z reprezentacją Maro-

ka, a w pojedynku o brązowy medal Niemcy pokonali 3:0 Francuzów.

Trenerem polskiej reprezentacji był Paweł Michalec, a w selekcji do niej pomagał mu płk Lucjan Brychczy, legenda wojskowego klubu z Łazienkowskiej. „Selekcja do reprezentacji odbywała się na bocznym boisku warszawskiej Legii. Trenerzy wybrali piłkarzy Legii: Artura Salamona, Arkadiusza Gmura, Janusza Kopcia, Andrzeja Sazonowicza, Roberta Jadcza, Dariusza Szeląga, Macieja Siutę, Igora Kozioła, Adama Dąbrowskiego, Piotra Stankiewicza, Grzegorza Lewandowskiego i Marcina Muszyńskiego, a także trzech zawodników bydgoskiego Zawiszy – Jarosława Chwiałkowskiego, Macieja Nuckowskiego i Krystyna Hilschera oraz dwóch reprezentantów krakowskiego Wawelu – Sebastiana Synoradzkiego i Piotra Gruchałę. W ostatniej chwili jednak ze składu wypadli Salamon, Gmur i Kopec”, wyjaśniał Robert Jadcza, jeden z piłkarzy, który reprezentował WP w Maroku. Drużyna Wojska Polskiego z 1993 roku, w przeciwieństwie do obecnej, nie występowała jednak w reprezentacyjnych strojach z orzełkiem na piersi. W Rabacie piłkarze grali w trykotach warszawskiej Legii.

„Stroje reprezentacyjne nie dotarły do nas na czas przed odlotem do Maroka. Do Rabatu zabraliśmy więc dwa komplety tych, które dostaliśmy od Legii”, dodał Jadcza. Przypominał, że reprezentacja Wojska Polskiego do Maroka leciała z Niemiec wraz z piłkarzami Bundeswehry. Przyznał też, że na mistrzostwach działaczom drużyny marokańskiej z Rabatu wpadł w oko piłkarz Zawiszy Jarosław Chwiałkowski. „Chcieli go sprowadzić do siebie, ale wtedy jeszcze nie funkcjonowało prawo Bosmana i to było niemożliwe”, podkreślił. Jadczaowi utkwiło też w pamięci, że za zajęcie piątego miejsca wszyscy szeregowi z reprezentacyjnej drużyny zostali awansowani na starszych szeregowych.



Reprezentacja Wojska Polskiego na II Wojskowy Puchar Świata

ŻOŁNIERZE, KTÓRZY GRALI W OMANIE

Bramkarze – st. szer. Kamil Ulman (w rundzie jesiennej 2016/2017 grał w Miejskim Klubie Sportowym Biebrza Goniądz), szer. Andrzej Szreiber (Sparta Brodnica), st. kpr. Błażej Kokosiński (MKS Ciechanów);

obrońcy – st. szer. Krystian Chruścicki (Czarni Żagań), szer. Adrian Kochanek (Pogoń Łęborg), st. mat. Przemysław Kostuch (Gminny Klub Sportowy Przodko-

wo), mar. Dawid Łodyga (Vineta Wolin), szer. Hubert Molski (Rominta Gołdap), st. szer. Janusz Szkarapat (Czarni Żagań);

pomocnicy i napastnicy – st. szer. Jacek Bochnia (Apis Jędrzychowice), szer. Damian Formela (Pogoń Łęborg), st. szer. Damian Kosiński (Stradom Częstochowa), mat. Mateusz Łuczak (Gminny Klub Sportowy Przodkowo), sierż. Krzysztof

Matuszak (Biały Orzeł Koźmin Wielkopolski), ppor. Dominik Maziarz (Zorza Dobrzany), mat. Marek Niewiada (Vineta Wolin), szer. Dariusz Piechowiak (Promień Żary), szer. Paweł Rakowski (GKS Leśnik Manowo), szer. Konrad Rokicki (Astra Ustronie Morskie), szer. Konrad Romańczyk (Gryf Polanów), mar. Mateusz Wachowiak (Pogoń Łęborg), st. szer. Marcin Żeno (Ilanka Rzepin).

ARCHIWUM REPREZENTACJI W.P.

W 1994 roku drużyna Wojska Polskiego wzięła udział w kwalifikacjach do I Letnich Igrzysk Wojskowych w Rzymie. Aby na nie wyjechać, Polacy musieli wygrać dwumecz z Holendrami. Niestety przegrali oba pojedynki z pomarańczowymi – 1:3 w Wezep i 1:5 w Krakowie. W naszej reprezentacji grali wówczas żołnierze zasadniczej służby wojskowej z trzecioligowego Wawelu Kraków oraz Krzysztof Bizacki z pierwszoligowego Ruchu Chorzów. W holenderskiej ekipie występowało m.in. kilku piłkarzy z pierwszej drużyny Ajaksu Amsterdam. Po nieudanych eliminacjach do rzymskich igrzysk ludzie odpowiedzialni za udział polskich żołnierzy w rywalizacji o medale w imprezach pod egidą CISM nie proponowali już piłkarzom startu w wojskowych czempionatach.

PO 22 LATACH

W 2015 roku VI Letnie Igrzyska Wojskowe odbyły się w Korei Południowej. Na poprzedzającym je spotkaniu działacze CISM okazało się, że jest jeszcze jedno wolne miejsce dla drużyny z Europy w turnieju piłki nożnej. Dowiedział się o tym przedstawiciel Polski mjr Tomasz Bartkowiak i wtedy zaczął się interesować piłkarską reprezentacją Wojska Polskiego. Na jej zbudowanie przed igrzyskami w Mungyeong nie było już jednak zarówno czasu, jak i środków. „Nie wyobrażam sobie, aby na kolej-

nych igrzyskach w Chinach zabrakło biało-czerwonych”, mówił major przed odlotem polskiej ekipy do Korei Południowej. Po powrocie z Mungyeong oficer z Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych dowiedział się o organizowaniu przez Oman II Wojskowego Pucharu Świata w Piłce Nożnej. Ta impreza zmobilizowała go do starań o utworzenie piłkarskiej reprezentacji, dla której docelowym startem byłyby igrzyska w Chinach.

Organizatorzy turnieju w Omanie dla drużyn z Europy przewidzieli trzy miejsca. Europejskie reprezentacje mogły o nie powalczyć w turniejach eliminacyjnych. „Po ostatnich międzynarodowych sukcesach lotników w futsalu przekonałem się, że mamy w naszej armii wielu zdolnych piłkarzy, z których by można utworzyć reprezentację i dać jej szansę sprawdzenia się w turniejach pod flagą CISM. Czas rozpocząć jej budowę”, mówił mjr Bartkowiak w grudniu 2015 roku. Oddział Wychowania Fizycznego i Sportu Inspektoratu Szkolenia Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, odpowiedzialny za sport w polskiej armii, misję koordynowania budowy reprezentacji i przygotowania jej do najbliższych imprez powierzył mjr. Sebastianowi Krasoniowi, szefowi Sekcji Wychowania Fizycznego i Sportu 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej. Początkowo za wyselekcjonowanie zawodników odpowiadali trenerzy kpt. Jakub Wołyński ➔

z 23 Śląskiego Pułku Artylerii z Bolesławca i st. chor. Tomasz Mucha z dowództwa 11 LDKPanc. W kolejną próbę budowy piłkarskiej reprezentacji włączył się również portal polska-zbrojna.pl.

Pierwsze zgrupowanie selekcyjne odbyło się na początku kwietnia 2016 roku w Poznaniu. 22 wybranych piłkarzy powołano następnie na czterodniowe zgrupowanie w Gniewinie, podczas którego kandydaci do reprezentacji rozegrali mecz kontrolny z czwartoligową drużyną Stolemu Gniewino. Żołnierze wygrali 6:0. Ostateczny skład na czerwcowy turniej eliminacyjny do II Wojskowego Pucharu Świata w Omanie został ogłoszony po trzech kolejnych zgrupowaniach. Testy do drużyny przeszło w sumie blisko 150 zawodników. O przepustki do Omanu Polacy walczyli w Niemczech. W pierwszym meczu na boisku w Lage nasi reprezentanci przegrali 1:4 z Niemcami. Następnie biało-czerwoni pokonali w Augustdorfie 2:1 Holendrów oraz 5:0 Litwinów i zapewnili sobie awans do II Wojskowego Pucharu Świata.

DZIEWIĄTE MIEJSCE W OMANIE

Drugi turniej o puchar świata z udziałem 16 drużyn odbył się w mieście Maskat, stolicy Omanu. Triumfowali gospodarze, którzy w finale wygrali w rzutach karnych 4:1 z reprezentacją Kataru. Polska drużyna złożona z zawodników grających w III i IV lidze oraz w klasach okręgowych ukończyła rywalizację na dziewiątym miejscu. Biało-czerwoni zremisowali 1:1 z Egiptem, przegrali 0:1 z Syrią oraz pokonali 6:1 Kanadę.

Drużyny, które wyeliminowały Polaków z gry w ćwierćfinale, okazały się jednymi z najlepszych w turnieju. Egipcjanie i Syryjczycy byli o krok od finału. Egipt zremisował w półfinale 2:2 z Omanem, a w rzutach karnych gospodarze pokonali Egipcjan 4:1. Z kolei Syryjczycy w meczu o awans do finału zremisowali 2:2 z reprezentacją Kataru. Rzuty karne jednak lepiej egzekwowali rywale reprezentantów Syrii – wygrali 4:2.

„To dziewiąte miejsce, biorąc pod uwagę składy drużyn, w większości złożone z zawodników grających w profesjonalnych klubach, należy uznać za bardzo dobry wynik. Przegraliśmy nieznacznie tylko jeden mecz, jeden zremisowaliśmy, a jeden wysoko wygraliśmy. Nasi reprezentanci naprawdę dali z siebie wszystko i miło było patrzeć na ich postawę na boisku”, stwierdził ppłk Sebastian Krasoń, który w Omanie był zastępcą szefa polskiej misji na II Wojskowy Puchar Świata. Oficer szczególnie wyróżnił dwóch piłkarzy: st. szer. Damiana Kosińskiego i mata Mateusza Łuczaka. Pierwszy trener reprezentacji st. chor. Tomasz Mucha również w samych superlatywach wyrażał się o Kosińskim i Łuczaku. „Zaimponowali mi profesjonalnym podejściem w przygotowaniach do turnieju. Wi-

dać to było na murawie”, przyznał szkoleniowiec. Do szczególnie wyróżniających się w całym turnieju trener Mucha dodał jeszcze szer. Adriana Kochanka. Warto wspomnieć, że wraz z trenerem Muchą sztab szkoleniowy reprezentacji WP podczas II Wojskowego Pucharu Świata tworzyli: kpt. Jakub Wołyński, st. kpr. Dominik Sworowski, st. szer. Tomasz Chrupała i st. szer. Maciej Kulikowski. Ppłk Krasoń, który od samego początku obserwował pracę trenerów, najlepiej wie, ile serca włożyli szkoleniowcy w utworzenie reprezentacyjnej drużyny. „Poświęcili wiele swojego wolnego czasu. Uważam, że doskonale się ze sobą zgrali i będę za tym, aby sztab szkoleniowy pozostał w tym samym składzie”, podkreślił oficer.

Przed odlotem do Omanu wszystkim marzyło się wyjście z grupy i gra w ćwierćfinale. Po remisie z Egiptem, czwartą drużyną ostatnich wojskowych igrzysk w Korei Południowej, Polacy mieli ogromne szanse na wywalczenie punktu w pojedynku z Syrią. „Niestety, nie potrafiliśmy wykorzystać kilku doskonałych okazji w ostatnich minutach. Remis dałby nam z pewnością awans, bo nie obawialiśmy się ostatniego rywala grupowego. Tymczasem musieliśmy liczyć na zwycięstwo Syrii nad Egiptem. Strzeliliśmy tyle goli w pojedynku z Kanadą, ile było potrzebne. Niestety, w drugim pojedynku był remis”, przypomniał trener Mucha. „Czujemy pewien niedosyt. Ale myślę, że za jakiś czas wszyscy bardziej docenimy to, co udało nam się osiągnąć w Omanie”, dodał szkoleniowiec.

KIERUNEK CHINY

Mecze biało-czerwonych przeciwko Egipcjowi i Syrii uważnie obserwował kpt. Rudolf Fell, oficer odpowiedzialny za piłkę nożną w CISM. Niemiec był pod wrażeniem gry polskiej reprezentacji. „Po spotkaniu z Egiptem, w którym wszyscy skazywali nas na wysoką porażkę, kapitan Fell bardzo chwalił naszych piłkarzy. W pierwszej rundzie jego zdaniem Polacy wypadli najlepiej z europejskich zespołów”, podkreślił ppłk Sebastian Krasoń. Niemiecki oficer chce bardziej rozwinąć wojskowy futbol na Starym Kontynencie. Dlatego rozważa organizację wojskowych mistrzostw Europy. „Kapitan uznał, że taki czempionat pomógłby podnieść poziom europejskich drużyn. Niestety, w wojskowych igrzyskach może brać udział mniej ekip niż w pucharze świata. W Chinach dla Europy prawdopodobnie będą tylko dwa miejsca”. Już w Omanie, po zakończeniu rywalizacji w fazie grupowej, Polacy rozpoczęli nowy etap przygotowań do igrzysk w Chinach. Biało-czerwoni rozegrali dwa mecze kontrolne z drużynami z Oman Professional League. Pierwszy pojedynek z Saham Club przegrali 0:3. Drugi natomiast – z Muscat Club – wygrali 2:1. Obie bramki dla naszej reprezentacji zdobył mat Mateusz Łuczak. ■



W mieszczącym się
w lubelskim zamku więzieniu
przyszła na świat
w 1949 roku MAGDALENA
ZARZYCKA.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE
ARCHIWUM PRYWATNE

Koniec z milczeniem

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

**Ojciec powtarzał, że przeżyła po to, aby przekazać innym
rodzinną historię. Minęło 40 lat, zanim zaczęła mówić.**

Magdalena Zarzycka jest prezesem zarejestrowanego w lutym 2016 roku Stowarzyszenia Dzieci Żołnierzy Wyklętych. Organizacja zrzesza dzieci i wnuki żołnierzy powojennego podziemia niepodległościowego, którzy walczyli w szeregach Narodowych Sił Zbrojnych, Batalionów Chłopskich, a także pochodzili z działającego po 1945 roku na Lubelszczyźnie oddziału partyzanckiego mjr. Hieronima Dekutowskiego ps. „Zapora”.

O kilkudziesięciu członkach stowarzyszenia Magdalena Zarzycka mówi czule „moje dzieci”, choć średnia ich wieku przekracza 60 lat. Odnajdywała ich w różnych zakątkach Polski. Są wśród nich m.in. synowie „Lalusia”, „Ognia” i „Uskoka”, córki „Boruty”, „Wydry” i „Zapory”. Jest także Janusz Niemiec, najmłodszy więzień UB, skazany za „przynależność do bandy Żubryda”. Spędził kilka miesięcy w więzieniu, bo... był dzieckiem Janiny i Antoniego Żubrydów. Jedni byli wychowywani przez dziadków i krewnych, inni dorastali w domach dziecka. Tylko nieliczni doczekali powrotu ojca czy matki z więzienia. Krok po kroku Magdalena przełamywała ich nieufność, oswajała

strach przed wspomnieniami. Wśród członków stowarzyszenia są też tacy, których rodzice byli więzieni na lubelskim zamku. W latach 1944–1954 mieściło się w nim owiane złą sławą więzienie karno-śledcze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Tam 29 maja 1949 roku urodziła się Magdalena Zarzycka. Ktoś wpisał takie imię w papiery, prawdopodobnie dlatego, że tego dnia przypadają imieniny Magdaleny. Jej matka, Stefania Zarzycka, zmarła po porodzie. Ojciec, Władysław Zarzycki, został skazany na 15 lat więzienia. Na wolność wyszedł w 1956 roku na mocy amnestii.

RODZINNY DOM

Stefania i Władysław Zarzyccy mieszkali we wsi Kolonia Łuszczów niedaleko Lublina. Ich dom stał z dala od innych zabudowań, zapewniał dobre warunki do konspiracji, bo 20-hektarową posesję otaczał las.

„Rodzice działali w podziemnej organizacji Wolność i Niezawisłość”, wspomina Magdalena. On był kwatermistrzem, organizował dla partyzantów broń i przekazywał im pieniądze. Ona jeździła do gwoździowni w Lublinie →



Prezydent RP odznaczył Władysława Zarzyckiego, ojca pani Magdaleny, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Na zdjęciu: Sławomir Król (syn Marii, siostry Magdaleny Zarzyckiej), jej brat Henryk, Karolina Zarzycka (córka Sławomira), prezydent Andrzej Duda, pani Magdalena i Anna Król (żona Sławomira)

po amunicję, którą przewoziła w workach z mąką. W majątku Zarzyckich spotykali się na odprawach dowódcy oddziałów WiN.

Władysław był także prezesem związku chmielarskiego. Myślał, że to dobra przykrywka dla działalności konspiracyjnej. Gdy ktoś przyjeżdżał do domu, mówił sąsiadom, że to w sprawach służbowych. Udawało się aż do dnia, w którym żołnierz WiN-u o pseudonimie „Góral” doprowadził do zagrody Zarzyckich funkcjonariuszy UB. Odbywający właśnie naradę dowódcy przedarli się do lasu, ale gospodarze zostali aresztowani.

„W nocy 3 kwietnia 1949 roku funkcjonariusze Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie zatrzymali we wsi Łuszczów gm. Wólka Władysława Zarzyckiego i jego żonę Stefanię pod zarzutem, że od lata 1946 roku do dnia zatrzymania udzielali powtarzającej się pomocy osobom pozostającym w bandzie pod dowództwem »Zapory«, »Uskoka«, dając im zakwaterowanie i wyżywienie”, napisano w raporcie znajdującym się w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Lublinie. Magdalena przeczytała go 40 lat później.

NA ZAMKU

Po aresztowaniu rodziców w domu zostali 9-letnia Zosia, 11-letni Henio i 13-letnia Marysia. Nikt nie przejmował się dziećmi „bandytów”. Chowały się w budynku gospodarczym, obserwując jak rozkradany jest ich majątek. UB zagroziło, że jeśli ktoś ze wsi pomoże rodzeństwu, pójdzie siedzieć. Nie wszyscy sąsiedzi posłuchali. Po kilku miesiącach Zosię i Henia zabrano do domu dziecka, Marysia trafiła do szkoły z internatem.

„W momencie aresztowania mama była ze mną w siódmym miesiącu ciąży. Nie uchroniło jej to ani przed wielo-

krotnymi przesłuchaniami, ani przed biciem. Ojciec słyszał krzyki mamy, ona słyszała, jak katują jego. Oczywiście, nie był to przypadek”, opowiada Magdalena Zarzycka. Po jednym z takich przesłuchań Stefania trafiła na więzienny oddział szpitalny. Rozpoczął się przedwczesny poród. Odebrała go akuszerka, więźniarka. Stefania zmarła kilkadziesiąt minut później z powodu upływu krwi.

Magdalena nie wie, jak udało jej się przeżyć. Opiekowały się nią więźniarki, to one ją karmiły i przewijały. Słyszała, że jej pierwszą „mamą” była kobieta, która poroniła. Miała pokarm w piersiach, więc przygarnęła dziecko. Tymczasem ojciec siedział w innej części tego samego więzienia. O tym, że ma córkę, a jego żona nie żyje, dowiedział się po kilku miesiącach.

Po półrocznym śledztwie, 25 listopada 1949 roku, Wojskowy Sąd Rejonowy w Lublinie uznał, że Władysław Zarzycki systematycznie pomagał „bandom”. Skazał go na 15 lat więzienia, pozbawienie praw publicznych i obywatelskich na pięć lat oraz konfiskatę mienia: 17-pokojowego domu murowanego, zabudowań gospodarczych, sań, młoc-karni, dwóch wozów, trzech koni, sześciu krów, 12 świń, 50 kur. Dziś w miejscu, gdzie stał dom Zarzyckich, jest łąka porośnięta z rzadka drzewami.

POWRÓT OJCA

Magdalena Zarzycka spędziła w więzieniu na zamku dwa lata i dwa miesiące. W lipcu 1951 roku trafiła do sierocińca w Łabuniach pod Zamościem, kilka miesięcy później – do sierocińca w Klemensowie.

„Byłam przerażona, gdy prowadzące sierociniec zakonnice szły ze mną na podwórko. Tam była ogromna przestrzeń, a ja znałam tylko skrawek nieba nad więziennym dziedzińcem. Nie wiedziałam, jak wyglądają drzewa i tra-

wa”, wspomina. W 1956 roku na mocy amnestii Władysław Zarzycki wyszedł na wolność. Chciał odnaleźć córkę. Kilkuletnia Magdalena tak zapamiętała chwilę, gdy zjawiał się w sierocińcu: „Siostry zebrały wszystkie dzieci w korytarzu. Zobaczyłam wysokiego mężczyznę w czarnym płaszczu. Spojrzałam na niego, on spojrzał na mnie. Chciałam uciec. Był dla mnie obcym człowiekiem i budził strach. Nikt mnie wcześniej nie przytulał, nie kochał. Ojciec zabrał mnie do domu i poznałam swoje rodzeństwo”. Siostra powiedziała jej, że wołałaby, żeby zamiast Magdy przeżyła mama.

Ojciec nie czytał dziecku bajek na dobranoc, nie kupował zabawek. „Mówił o mamie, o więzieniu, o organizacji WiN, o »Zaporze«, »Uskoku«, »Strzale«, »Żelaznym«. Mówił, że jestem najmłodsza, więc doczekam, aż ten system się zawali, i że mam te historie przekazać wnukom. Nie chciałam go słuchać. Nie rozumiałam tych opowieści”, wspomina Magdalena.

Władysław Zarzycki próbował sądownie odzyskać majątek. Proces nie przebiegał jednak po jego myśli. W 1963 roku wrócił z rozprawy i zmarł na zawał. „Ucieszyłam się, że znów pójdę do sierocińca. Nie czułam wtedy więzi z ojcem”, przyznaje Magdalena. Miała wówczas 14 lat. Ale Państwowy Dom Dziecka w Lublinie okazał się inny od tych prowadzonych przez siostry zakonne, od razu przyklejono jej łatkę „córką bandyty”. „Wierzyłam wtedy, że moi rodzice byli bandytami i bardzo się wstydziłam. Na szkolnych uroczystościach deklamowałam: moi rodzice byli bandytami, ale ja nie pójdę ich śladem”, dodaje.

Jako dziecko „bandytów” nie mogła korzystać z pomocy państwa. Nie przysługiwał jej fundusz na zakup butów i ubrań. Nie brała udziału w wycieczkach. Mogła uczyć się jedynie w szkole zawodowej.

Została ekspedientką w sklepie mięsny. Straciła pracę, gdy okazało się, że podała nieprawdziwe dane w życiorysie. Podobne problemy mieli Marysia, którą wyrzucono z uczelni, i Henryk, którego nie przyjęli do wojska. „Siostra radziła: wyjdź za mąż, zmień nazwisko. Tak zrobiłam”, mówi Magdalena.

Przez 40 lat ukrywała prawdę o swoim pochodzeniu. Bała się, że gdy wyjdzie na jaw, kim byli jej rodzice, wyrzucą ją z pracy. „Nikomui nie ufałam. Nie mogłam się z nikim zaprzyjaźnić, nie potrafiłam się otworzyć w oba-



RODZICE MAGDALENY ZARZYCKIEJ DZIAŁALI W ORGANIZACJI WOLNOŚĆ I NIEZAWISŁOŚĆ

wie, że ktoś na mnie doniesie. Dziś wiem, że żyłam w kłamstwie”, opowiada.

ODKRYWANIE HISTORII

Dopiero po upadku komunizmu zaczęła odkrywać rodzinną historię. „Szukałam ludzi, którzy pamiętali moich rodziców. Rozmawiałam z byłymi więźniami, spotykałam się z członkami WiN-u. Dotarłam do akt sądowych z procesu ojca”, wspomina Magdalena.

W 1989 roku po raz pierwszy pojechała na lubelski zamek. Spotkała się m.in. z „Góralem”, partyzantem, który doprowadził funkcjonariuszy UB do rodziców. Przyznał, że spodziewał się odwiedzin któregoś z dzieci Zarzyckich. Tłumaczył, że zdradził, bo załamał się po torturach.

„Postanowiłam, że koniec z milczeniem. Wróciłam do swojego nazwiska Zarzycka. Przywracam rodzicom dobre imię, opowiadałam ich historię. Doprowadziłam do sądowej rehabilitacji ojca. Po czterdziestym roku życia wreszcie uwierzyłam w słowa ojca, który powtarzał, że przeżyłam po to, by przekazywać innym, jak było”, opowiada.

W 2007 roku Magdalena Zarzycka-Redwan odebrała od prezydenta RP przyznany pośmiertnie matce Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. „Wtedy ostatecznie rozumiałam, że moi rodzice byli patriotami, a nie bandytami”, mówi.



Zkamerą od wielu lat towarzyszy Pan poszukiwaniom grobów żołnierzy podziemia niepodległościowego. Powstały filmy: „Historia Kowalskich”, „Kwaterna Ł” oraz „Dzieci kwatery Ł”, „Inka. Zachowałam się jak trzeba”. Skąd takie zainteresowania?

Na szlak odkrywania pamięci o żołnierzach wyklętych trafiłem pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, trochę przypadkiem, na planie filmu fabularnego, w którym debiutowałem jako autor zdjęć. Jan Białostocki, wnuk płk. Ignacego Oziewiczza, pierwszego dowódcy NSZ [Narodowe Siły Zbrojne], proponował, abym wraz z kolegą nakręcił wspomnienia żołnierzy jego dziadka. Jednak zanim nagrałem pierwsze relacje, musiałem przełamać nieufność i rozwiać obawy moich rozmówców. I tak krok po kroku odkrywałem nieznane karty historii i docierałem do ciekawych ludzi. Zobaczyłem, że ich historie są czymś znacznie więcej niż opo-

PRZYWRACAM PAMIĘĆ

*Z Arkadiuszem
Gołębiewskim*

**o kościach wydobywanych
z dołów śmierci, traumie
dzieci bandytów
i emocjach na łączce
rozmawia Małgorzata
Schwarzgruber.**

Różnie przebiegały rozmowy z rodzinami. Jedni byli otwarci, inni nieufni

wieścią o szlakach bojowych czy akcjach. Szedłem tym tropem. Koledzy z Ligi Republikańskiej powołali wówczas Fundację „Pamiętamy”, rozpoczęło się upamiętnianie żołnierzy wykłętych obeliskami wznoszonymi w całej Polsce. Pomniki te były poświęcone naszym kresowym bohaterom z V Brygady Wileńskiej AK, żołnierzom NSZ czy podkomendnym Józefa Kurasia ps. „Ogień”. W tych uroczystościach uczestniczyły rodziny poległych.

Były pomniki, ale nie było grobów.

Rodziny które poznawałem, miały żal do systemu komunistycznego, do oprawców ich ojców, jednak większość pogodziła się z takim stanem. III RP przez lata niewiele zrobiła, aby zadośćuczynić rodzinom, a bohaterów godnie upamiętnić. Większość działań przywołujących pamięć o podziemiu niepodległościowym to były inicjatywy społeczne. Marzeniem rodzin było, aby ich bliscy przestali być postrzegani jako wrogowie ludu, jako bandyci. Nie sądzę, aby wówczas mogli śnić o odnalezieniu ciał swoich bliskich. Ten proces przywracania pamięci i żal pokazałem w filmie „Sny stracone, sny odzyskane”, który opowiada o rodzinie Borychowskich. Udało mi się uchwycić ważny moment, kiedy działania społeczne spotkały się z działaniami państwa polskiego. W finałowej scenie filmu, nakręconej w pałacu prezydenckim, córki Mariana Borychowskiego dziękują prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu, że w końcu przestali być dziećmi bandyty. Od tego momentu rozpoczął się proces narodowego upamiętniania żołnierzy wykłętych. Portretowanie takich historii uzmysławia nam filmowcom, że sztuka filmowa jest w tym wypadku czymś więcej niż zwykle – przywraca ludzi do życia, oddaje im imiona i nazwiska, a rodzinom pozwala podnieść wysoko głowę.

Jaką historię opowiedział Pan w filmie „Sny stracone, sny odzyskane”?

Marian Borychowski był żołnierzem ZWZ-AK, pomagał partyzantom 6 Wileńskiej Brygady. We wrześniu 1950 roku w jego gospodarstwie odkryto ukrywających się partyzantów, którzy zginęli w nierównej walce. Mariana Borychowskiego zamęczono po kilku miesiącach, nie doczekał procesu, zmarł w areszcie śledczym przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie. Jego ciało zakopano w nieznanym miejscu, prawdopodobnie w dole z wapnem na Wojskowych Powązkach, w tzw. kwaterze na Łączce. Aresztowano również całą rodzinę Borychowskiego. Jego żona Czesława została skazana na dziesięć lat więzienia, córka Janina – na 1,5 roku, pozostała trójkę

nietletnich dzieci umieszczono w domach dziecka, a gospodarstwo skonfiskowano. W 2005 roku w Borychowie odsłonięto obelisk poświęcony partyzantom z 6 Brygady Wileńskiej AK, którzy polegli w 1950 roku – Arkadiuszowi Czapskiemu ps. „Arkadek”, Józefowi Oksici

ps. „Pomidor”, Władysławowi Strzałkowskiemu ps. „Władek”, Eugeniuszowi Welfelowi ps. „Orzełek” oraz Marianowi Borychowskiemu, który im pomagał. Pomnik stanął na skraju wsi, blisko byłego domostwa Borychowskich, stając się równocześnie zaczątkiem wspólnoty pięciu rodzin i miejscem, gdzie mogą zapalić znicz. Jak dotąd jedynym upamiętniającym tych bohaterów.

Poszukiwania grobów rozpoczął dopiero prof. Krzysztof Szwagrzyk ze swoją ekipą. Od 2012 roku kręcił Pan film o Łączce, miejscu, gdzie przez lata był cmentarny śmietnik.

Było dla mnie oczywiste, że dzieje się coś ważnego i że będę towarzyszył z kamerą tym poszukiwaniom. Film „Kwaterna Ł” stał się nieco chropowatym lustrem, w którym członkowie tej młodej ekipy mogli się przejrzeć i zobaczyć, jak dojrzewali, prowadząc poszukiwania.

Kto jest bohaterem tego filmu?

„Kwaterna Ł” ma kilku bohaterów: to zamordowani w więzieniu mokotowskim, ich rodziny oraz osoby, które pracowały w grobowych jamach 2 m na 70 cm, z których po ponad 70 latach wydobywali z ziemi szczątki. Archeolodzy odkrywali kości, antropolodzy przenosili je i próbowali złożyć szkielet, a lekarze pobierali od rodzin materiał genetyczny. Trudno powiedzieć, co budziło większe emocje. Dzieci zabitych, które przychodziły na Łączkę, musiały wypełnić ankietę: jakie ubytki miał ojciec w uzębieniu? Jakiego był wzrostu? Zderzały się z tak prostymi pytaniami, co sprawiało, że musiały odtworzyć tamten świat, który wielu z nich zagrzebało w pamięci. Obserwowałem ten proces przez obiektyw kamery. Powracał dramat, jaki przeżyła rodzina. 70-latkowie stawali się kilkuletnimi dziećmi. Syn Antoniego Olechnowicza wówczas miał około czterech lat, a kmr. Mieszkowskiego – 15 lat. Czułem, że dokumentuję nie tylko historię, ale także traumę rodzin.

Na cmentarzu we wrocławskich Osobowicach ekipa prof. Szwagrzyka odnajdywała ciała pochowane w trumnach. Na Łączce wydobywano kości splecione z korzeniami rosnących obok drzew. To chyba robi różnicę, nawet kiedy się patrzy przez obiektyw kamery?



Filmowanie na Łączce nie było łatwe. Najpierw musiałem pokonać bariery administracyjne i uzyskać stosowne zezwolenia, abym mógł tam wejść z kamerą. Potem starałem się zdobyć zaufanie ekipy prof. Szwagrzyka. Byli to głównie młodzi ludzie, skupieni na swojej pracy. Czułem respekt. Na Łączce czas płynął wolniej. Fotografowałem jamy, z których wydobywano kości. Nie było to łatwe zadanie, bo panowała w nich ciemność, ekipa była ubrana w białe kombinezony, świeciło ostre słońce – nie są to wymarzone warunki dla filmowca. Ale to prawda, że obiektyw oddala emocje, kamera staje się tarczą, za którą można się schować i skupić na kadrze i ostrości obrazu. Takich emocji, jakie były na Łączce, nie można wyreżyserować ani powtórzyć.

Co na Panu zrobiło największe wrażenie – szczątki odkopane w mundurach Wehrmachtu czy czaszka przebita 11 kulami?

Na wyobraźnię działały także odnajdywane czasem medaliki, resztki butów, związane ręce zabitych, otwarte szczęki w ciałach rzuconych twarzą do dołu czy szkielety oplecione korzeniami drzew. Takie obrazy pokazywały okrucieństwo sprawców. Przejmujące były jamy, w których odkrywano kolejne ciała. Najpierw pojawiały się pojedyncze kości, które układały się w szkielet. Po kilku godzinach były już dwa szkielety, a potem kolejne i kolejne. Wszystkie w jednej jamie.

Padają pytania: „kiedy znajdziecie mojego tatę?”.

Rodziny przychodziły na Łączkę z nadzieją. Najczęściej były to osoby w podeszłym wieku, przychodziły samotnie lub przywoził je ktoś z bliskich samochodem pod stanowisko, gdzie pobierano materiał DNA. Potem nie wracały. Ale byli też inni. Maria Leśnikowska, która już w latach pięćdziesiątych przychodziła z mamą na Łączkę. Zofia Pilecka, pełna pokory córka rotmistrza. Witold Mieszkowski, syn komandora, przynosił codziennie termos kawy i pączki dla ekipy. Te osoby cierpliwie czekały, stając się partnerami w poszukiwaniach. Pan Witold wynajdywał stare mapy, prowadził własne śledztwo, analizował różne warianty, pomagał odnaleźć świadków. Rodziny uwierzyły, że jeszcze za ich życia zostaną odnalezione szczątki bli-

Z każdym z rodzeństwa rozmawiałem w osobnym pokoju.

Siostry pytały mnie potem, co powiedział ich brat, jak mu było w domu dziecka, a ten ponad 60-letni mężczyzna płakał jak dziecko

skich. Gdy Borychowscy po oddaniu materiału DNA opuścili cmentarz, za bramą zaczęli dyskutować o tym, gdzie zostanie pochowany ojciec. Każde z czworga dzieci miało inną wizję, podczas gdy szczątków jeszcze nie odnaleziono.

Łączka, cmentarze we wrocławskich Osobowicach, w Gdańsku, Białymstoku, Lublinie czy też PUBP (Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego) w Płocku i Mławie, Stary Grodków. Czy to cały czas jest ta sama historia?

Historia podobna, ale okoliczności były różne. Na Łączce z jam wydobywano pojedyncze szkielety. W Białymstoku pod fundamentami więzienia znajdowała się ściana białych kości. W bukowym lesie na Opolszczyźnie poszukiwania objęły obszar kilku kilometrów, bo żół-

WIZYTÓWKA

ARKADIUSZ GOŁĘBIEWSKI

nierze oddziału „Bartka” zostali zamordowani podczas nocnego postoju. Większość tych prac utrwaliłem na filmowej taśmie, ale mogę też wyobrazić sobie scenę, gdy antropolog wchodzi do jamy pod posadzką więziennej celi w Białymstoku i wydobywa z niej szkielet w mundurze.

Różnie przebiegały rozmowy z rodzinami. Jedni byli otwarci, inni nieufni. Często wyczuwałem strach przed poznaniem rodzinnej historii. W domach przez lata, w obawie przed represjami, nie opowiadano o tym, co się stało. I tak doraślały kolejne pokolenia, zgadzając się na powtarzalność tej traumy. W rodzinie Borychowskich po rodzicach pozostało jedynie ślubne zdjęcie. Rodzeństwo nigdy nie rozmawiało o śmierci ojca i więzieniu matki. Tereska, która podczas aresztowania rodziców miała siedem lat, trafiła do domu dziecka. Janina, wówczas 17-letnia, do więzienia. Tereska przypominała sobie, jak ojciec przytulił ją ostatni raz, jak do więzienia jeździła na widzenia do matki. Pamiętała, ale dotychczas nie była w stanie o tym opowiedzieć. Dopiero kamera wyzwoliła emocje. Z każdym z rodzeństwa rozmawiałem w osobnym pokoju. Siostry pytały mnie potem, co powiedział ich brat, jak mu było w domu dziecka, a ten ponad 60-letni mężczyzna płakał jak dziecko. Przez te wszystkie lata nikomu o tym nie opowiadał.

Jednym z ostatnich Pana filmów jest „Inka. Zachowałam się jak trzeba”. Jak powstawał?

Praca filmowca jest dla mnie zobowiązaniem. Kiedy dzieje się coś ważnego, muszę tam być z kamerą. Odzywa się instynkt dokumentalisty. Gdy dostawałem sygnał od prof. Szwagrzyka, że np. jedzie na cmentarz do Gdańska szukać „Inki”, brałem kamerę i ruszałem za nim. Stałem się niejako kronikarzem. Miałem świadomość, że jeśli nie nakręcę tych zdjęć, okazja przepadnie bezpowrotnie. Tak było też z filmem o „Ince”. Przy poszukiwaniach jej grobu byłem dość sceptyczny, bo georadary nie wykazały, że ziemia może kryć jakieś szczątki. Tamtego dnia, gdy z odsłoniętego dołu, z głębokości zaledwie 49 cm, wydobyto szczątki „Inki” i „Zagończyka”, na gdańskim cmentarzu pozostał z kamerą tylko mój operator. W Gdyni trwała kolejna edycja festiwalu filmów „Niepokorni. Niezłomni. Wyklęci”, którego jestem pomysłodawcą i dyrektorem. Akurat wtedy była zaplanowana premiera mojego filmu o Łąccze „Dzieci Kwatery Ł”. Gdy członkowie ekipy prof. Szwagrzyka do nas dołączyli, nic nie zdradzili, ale wiedziałem, że stało się coś ważnego, bo mieli dziwnie zadowolone miny.

Jest reżyserem i producentem filmowym, absolwentem PWSFTViT w Łodzi, Wydziału Operatorskiego i Realizacji TV. Nakręcił m.in. takie filmy, jak: „Historia Kowalskich”, „Rozbity kamień”, „Kwaterna Ł”, „Dzieci kwatery Ł”, „Inka. Zachowałam się jak trzeba”, „Pan major Łupaszka”, „Operacja Gryf”, „Solidaruchy z Rakowieckiej”, „Polska dusza w dniach żałoby”.

Kogo wybierali na bohaterów reżyserzy prezentowanych na festiwalu filmów?

Niewątpliwą satysfakcją dla nas jako organizatorów festiwalu NNW jest fakt, że stworzyliśmy miejsce, które integruje środowisko i inspirowe twórców, często niezależnych, do opowiadania własnych, lokalnych historii. W małych ośrodkach

w całym kraju zaczęto odnajdywać i opowiadać historie poświęcone bohaterom z lat 1944–1989. Sfilmowane trafiają na nasz festiwal. W ubiegłym roku prezentowaliśmy 62 filmy poświęcone indywidualnym bohaterom, głównie partyzantom i ich oddziałom. Wygrał obraz „Hieronim Bednarski – wyklęty z czerwonej wsi”. Pokazuje on losy pochodzącego ze Zwińcicy koło Rzeszowa żołnierza AK. Hieronim Bednarski był uczestnikiem akcji „Burza”, po wojnie działał w antykomunistycznym podziemiu, w 1953 roku został skazany na śmierć. Przeniesienie jego szczątków w 2008 roku do rodzinnej Zwińcicy spotkało się z protestem grupy mieszkańców tej miejscowości.

Nad czym Pan obecnie pracuje?

Szukam historii, których jeszcze nie opowiedziałem. Takich jak o Józefie Kurasiu ps. „Ogień” czy o gen. Maczku. Tych jest dużo i cieszę się, że dzisiaj wiele osób przywraca swoimi filmami pamięć o żołnierzach wyklętych. Nadal realizuję film o Łąccze. Projekt ten rozpocząłem w 2012 roku i od tego czasu dokumentuję wszystko, co się tam wydarzyło. Pierwszą część cyklu poświęciłem poszukiwaniom na Łąccze, drugą – rodzinom, w trzeciej chcę pokazać zbiorowy portret pomordowanych, w kolejnej – katów. Zamierzam także nakręcić film, który będzie opowiadał o tych wszystkich aspektach, stanie się niejako podsumowaniem oraz dokumentem opisującym ten fragment najnowszej polskiej historii. Kręcąc takie filmy, spłacam dług. Jesteśmy to winni naszym bohaterom. Trzeba mówić o nich z pokorą, odkłamać historię i upamiętniać. Od lat staram się łączyć moją filmową działalność z pracą animatora w tym sektorze, organizując festiwal NNW oraz jego retrospektywy w kraju i za granicą. Jednym z projektów towarzyszących festiwalowi jest „Nakręć dziadka komórką”. Jego celem jest dokumentowanie opowieści uczestników ważnych wydarzeń historycznych oraz rozpowszechnianie ich w szkołach i lokalnych społecznościach. Jesteśmy to winni tym wszystkim, którzy w latach 1939–1989 mieli odwagę stanąć po stronie prawdy i wolnej Polski.

WYJĄTKOWY MECZ SIATKÓWKI



PIOTR JASZCZUK

Hołd dla weteranów

Zmaganiom siatkarzy ONICO AZS Politechnika Warszawska z PGE Skrą Bełchatów na boisku warszawskiego Torwaru przyglądali się weterani misji poza granicami kraju. Siatkarze w szczególny sposób upamiętnili chor. Karola Szlązaka, żołnierza 25 Brygady Kawalerii Powietrznej,

który zginął 15 grudnia 2004 roku w Iraku. Jego córka Amelia wręczyła puchar dla najlepszego zawodnika meczu – Macieja Olenderka.

Obecność weteranów na imprezach sportowych to zasługa kpt. Andrzeja Pindora, twórcy akcji w ramach kampanii „Szacunek i wsparcie”. Włą-

czyło się w nią wielu znanych aktorów, m.in. Cezary Żak i Jan Wieczorkowski, sportowców: Monika Pyrek i Marcin Gortat, oraz muzyków: Tatiana Okupnik i Jacek Stachurski. Sportowe wydarzenia, na których weterani są gośćmi specjalnymi, zaczęły się od meczu Legii Warszawa z Pogonią Szczecin w 2015 roku. Wówczas legionieści wybiegli na rozgrzewkę w koszulkach z hasłem „Wspieramy Naszych Żołnierzy”. Podczas meczu Legii z Lechem Poznań został natomiast wyemitowany spot „Szacunek i wsparcie”, a weterani Piotr Ogonowski i Jarosław Kurowski wnieśli na murawę stadionu puchar za zdobycie mistrzostwa.

„Takie wydarzenia są świetną okazją, by przypomnieć polskim kibicom o żołnierzach, którzy na misjach stracili zdrowie, a niekiedy nawet życie”, przekonuje kpt. Pindor. Oficer planuje, aby 2 maja, gdy na Stadionie Narodowym odbędzie się mecz o Puchar Polski w Piłce Nożnej, weterani wnieśli na boisko flagę Polski. EK ■



„Tak” po rocie

W 12 Brygadzie Zmechanizowanej w Szczecinie przed rozpoczęciem defilady z okazji żołnierskiej przysięgi (szer. elew Paweł Brdak) poprosił dowódcę o pozwolenie na zabranie głosu. Wziął mikrofon, uklęknął i oświadczył się narzeczonej – Joannie. Zaręczyny zostały przyjęte.

Wszystko działo się na placu apelowym, gdzie chwilę wcześniej słowa roty przysięgi wojskowej wypowiedział 159 elewów pierwszego turnusu służby przygotowawczej. Uroczystość oglądali mieszkańcy miasta oraz rodziny. „Przysięgając, wyraziliście gotowość do służenia narodowi, z którego wyrosliście”, zaznaczył płk Piotr Trytek, dowódca brygady. AD ■

Wojskowa krew

Żołnierz ze Szczecina rekordzistą Europy w oddawaniu krwi.

Pojemność średniej wanny, czyli 155 litrów krwi, oddał dotąd st. chor. sztab. Jacek Schmidt z 12 Brygady Zmechanizowanej. Żołnierz po raz pierwszy został krwiodawcą w 1988 roku. Od tego czasu regularnie co kilka tygodni odwiedza Regionalne Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa w Szczecinie. Dzięki oddanym przez podoficera krwi i osoczu udało się uratować życie ponad 70 osób. W 2013 roku, jako zasłużony krwiodawca, chorąży został



uhonorowany Złotym Krzyżem Zasługi. „Pomaganie innym to część mojego życia. Nauczyłem się tego od mojego taty, który był honorowym dawcą krwi i stał się moim wzorem do naśladowania oraz prawdziwym autorytetem”, mówił wówczas wojskowy. AD ■

Porucznik Henryk Prajs, weteran 3 Pułku Szwoleżerów Mazowieckich, wita nas okrzykiem: „O, »Polska Zbrojna«, znam, znam! Kiedyś nawet napisałem do tej gazety artykuł!”. A umówić się z kawalerzystą nie jest łatwo. Często uczestniczy w uroczystościach państwowych, regularnie spotyka się z młodzieżą, kombatanami, a także sympatykami kawalerii. Nie zapominają o nim też przedstawiciele władz i wojska.

Ostatniego żyjącego kawalerzystę 3 Pułku Szwoleżerów Mazowieckich odwiedzam w domu w jego rodzinnej Górze Kalwarii. W pokoju pełnym książek, pamiątek i fotografii honorowe miejsce na ścianie zajmuje portret żołnierza w mundurze z czasu wojny. „No to o czym chcesz porozmawiać?”, pyta. Po czym zaczyna opowiadać. Po chwili już wiem, dlaczego Igną do niego tłumy.

Abram Chaim Prajs urodził się 30 grudnia 1916 roku w Górze Kalwarii. „Moja mama była patriotką, dziadek w 1918 roku rozbrajał Niemców, a brat mamy był radnym aż do 1939 roku. Patriotyzm był dla nas bardzo ważny, mimo że w domu pielęgowaliśmy żydowskie tradycje”, opowiada. Kiedy miał dwa lata, jego ojciec zginął w potyczce z bandytami. Matka wychowywała syna samotnie. Ukończył szkołę powszechną oraz żydowski cheder. Lubił czytać, szczególnie Słowackiego i Mickiewicza. Dużo czasu spędzał też z rówieśnikami. „Kiedyś było inaczej niż teraz. W Polsce żyło wielu obco-krajowców: Żydów, Rosjan, Bia-

łorusinów i Ukraińców. Jako dzieciaki bawiliśmy się wszyscy razem na podwórku i mieliśmy bardzo dobre relacje. Pamiętam, że jedna moja koleżanka, Zosia, tak dobrze mówiła po żydowsku, że niektórzy nie wierzyli, że jest Polką”, wspomina.

MAGDALENA MIERNICKA

MÓWILI NA NAS SŁONECZNIKI

Wypad na Prusy, bitwa pod Olszewem i miłość do kawalerii. O swojej służbie opowiada nam por. Henryk Prajs – ostatni żołnierz 3 Pułku Szwoleżerów Mazowieckich.

SERCE KAWALERZYSTY

Po ukończeniu szkoły Prajs został rzemieślnikiem. Pewnie byłby nim nadal, gdyby nie upomniała się o niego armia. Nie ukrywa, że przyjął tę wiadomość z entuzjazmem. „Zawsze bardzo ceniłem wojsko, szczególnie kawalerię. Gdy byłem dzieckiem, w Górze Kalwarii mieścił się ośrodek szkolenia koni dla wojska. Patrzyłem wówczas na wierzchowce i marzyłem, aby kiedyś zostać szwoleżerem. Od razu kiedy stanąłem przed komisją lekarską, poprosiłem o taki przydział”, wspomina Prajs.

Zanim jednak rekrut trafił do 3 Pułku Szwoleżerów Mazowieckich im. Hipolita Koziatulskiego Suwalskiej Brygady Kawalerii, z wyróżnieniem ukończył szkołę podoficerską. „Szkolenie było bardzo wymagające, ale zależało mi na służbie, więc postanowiłem pokonać trudności”, podkreśla. Służbę rozpoczął w 1938 roku. Dowodził sześcioposobową sekcją w 1 plutonie 4 szwadronu. „Na czapkach, jak to w kawalerii, mieliśmy żółte obwódki. Dlatego mówili na nas »słoneczniki«, żartuje.

Jednym z pierwszych zadań, które otrzymał w wojsku było... szkolenie żołnierzy. „Dziś każdy umie czytać lub pisać, ale wówczas wiele osób było analfabetami. Musiałem podszkolić kolegów, tak aby umieli chociaż rozpoznawać stopnie wojskowe. W końcu żołnierz musi wiedzieć, komu się melduje!”, wspomina.

MICHAŁ NIWICZ



Na setne urodziny dostał m.in. trąbkę sygnałową od członków konnego ochotniczego oddziału kawalerii kultywującego tradycje 3 Pułku Szwoleżerów.



Ale najbardziej zapadła mu w pamięć jazda konno. „Mój koń nazywał się Arlekin i był kary. Cały 4 szwadron miał kare konie, 1 szwadron zaś – jasne, 2 szwadron – kasztany, a 3 szwadron – gniade”, opowiada Prajs. „Pamiętam je prawie wszystkie. Były Czupryn, Warta, Rubin...”, wylicza. „Próbowałem jeździć jeszcze po wojnie. Chyba w latach czterdziestych wsiadłem na konia na oklep, ale od razu mnie zrzucił”, mówi porucznik. „Później miałem jeszcze okazję prowadzić defiladę w Górze Kalwarii. Specjalnie dla mnie sprowadzono białego konia. Ale byłem wówczas dumny!”, relacjonuje.

Opowiada także o przyjaźniach, które zawarł w armii. „Miałem dwóch bardzo dobrych kolegów. Razem chodziliśmy na przepustki... i na randki. W pułku służyło też dwóch czy trzech Francuzów, a w każdym szwadronie było też po czterech Żydów i Niemców”, wspomina. „Razem mieszkaliśmy w koszarach, nie powiem, że zawsze się wszyscy kochaliśmy, ale żyliśmy w dobrych stosunkach”, dodaje. „To właśnie w wojsku przybrałem imię Henryk. Tak było prościej”, zaznacza.

Koszarowe życie upływało na ciągłym doskonaleniu umiejętności, ale równie ważna była sfera duchowa. Jak wspomina Prajs, w pułku służyli żołnierze różnych wyznań, jednak ta różnorodność nie sprawiała problemów. „Katolicy chodzili do kościoła, prawosławni do cerkwi, ewangelicy do kirchy, a żydzi do synagogi. Ja wówczas wyznawałem judaizm, ale któregoś dnia zapytałem kolegę, czy mogę iść z nim na mszę. »Tak, możesz«, odpowiedział. Od tego czasu uczęszczam na nie regularnie. Bardzo cenię papieża Jana Pawła II, mam nawet jego zdjęcie”, mówi i wskazuje na fotografię znajdującą się w biblioteczce.

WYPAD NA PRUSY

Nastroje w pułku zaczęły się zmieniać wraz z pogłoskami o zbliżającej się wojnie. „Mniej więcej od marca 1939 roku wiedzieliśmy, że coś zaczyna się dziać. Dostaliśmy wówczas hełmy, naboje, ograniczono nam też przepustki”, wspomina Prajs. 23 sierpnia żołnierze opuścili koszarę w Suwałkach i zostali rozlokowani w okopach, nieopodal pruskiej granicy. Szwadron, w którym służył Prajs, został skierowany do miejscowości Raczek. Tam zastała go wojna. „2 września usłyszeliśmy wybuchy, ale nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje. Dopiero po apelu nasz dowódca powiedział nam, że Niemcy zbombardowali stację kolejową, a także koszarę w Suwałkach”, opowiada. Wówczas 2 i 4 szwadron 3 Pułku otrzymały rozkaz marszu na Prusy Wschodnie”.

3 września prawie stu żołnierzy pod dowództwem mjr. Edwarda Witkowskiego i jego zastępcy rtm. Jana



MIAŁEM SZCZĘŚLIWE ŻYCIE, CHOCIAŻ ŻYJĘ TYLKO DZIĘKI DOBRYM LUDZIOM, KTÓRYCH SPOTKAŁEM NA SWOJEJ DRODZE. ALE JA TEŻ ZAWSZE STARAŁEM SIĘ BYĆ WOBEC NICH W PORZĄDKU

Chłudzińskiego ruszyło w drogę. Konie, niestety, musieli zostawić w Polsce. Do granicy polsko-pruskiej dotarli w nocy. „Strażnicy byli zaskoczeni naszym przybyciem, chyba się nawet wystraszyli. Znałem trochę język niemiecki, więc na prośbę dowódcy powiedziałem: spokojnie, wszystko będzie dobrze. Zabraliśmy im amunicję, a jeden z naszych oficerów zdjął tablicę informującą, że znaleźliśmy się na terenie Prus. Potem ruszyliśmy dalej”, wspomina. Celem szwoleżerów było zdobycie wsi Reuss (teraz Cimochy). Prajs pamięta, że na miejscu były kościół i kasyno, które Polacy zdobyli. W czasie starcia zginął szwoleżer Wacław Błusko. „Mówiłem mu: padnij, ale on chciał się wykazać. Strasznie mi było go szkoda”.

Chociaż zgodnie z pierwotnym planem szwoleżerowie mieli ruszyć dalej, niespodziewanie otrzymali polecenie do odwrotu. „Okazało się, że przybyło Niemców w okolicy, mieli też więcej amunicji”, relacjonuje Prajs.

ABRAM CHAIM PRAJS (DZIŚ HENRYK) URODZIŁ SIĘ 30 GRUDNIA 1916 ROKU W GÓRZE KALWARII



„Na czapkach, jak to w kawalerii, mieliśmy żółte obwódki. Dlatego mówili na nas »słoneczniki«”.

Po powrocie do kraju 3 Pułk Szwoleżerów został skierowany na wschód – w kierunku Zambrowa. Bardzo szybko się okazało, że miasto, będące również ważnym węzłem komunikacyjnym, jest już zajęte przez wroga, tak że trasa wojska znów uległa zmianie. „Ze względu na ciągłe bombardowania Luftwaffe maszerowaliśmy tylko w nocy. W dzień odpoczywaliśmy. Zajmowaliśmy stodoły, czasem rozkładaliśmy się w lesie, przykrywając się kocami”, mówi porucznik. Przez cały czas dochodziło do potyczek, zaczęły się także problemy z zaopatrzeniem. „10 września skończył się nam prowiant, po prostu nie było już go skąd brać. Ale hasło naszego pułku brzmiało »Naprzód!«, szliśmy więc dalej. Po drodze mijaliśmy zgliszcza i widzieliśmy ślady walk. Mimo to nie poddawaliśmy się. Najważniejsze było, aby nie dać się okrążyć”. Sytuacja zrobiła się naprawdę niebezpieczna, kiedy w nocy z 13 na 14 września, pułk dotarł w rejon Olszewa. Wówczas żołnierze napotkali na drodze niemiecki oddział pancerny. „Otworzyli ogień, było ich dużo więcej niż nas. Nie mogliśmy się wycofać ani iść dalej, dlatego szybko się przegrupowaliśmy i przystąpiliśmy do walki”, opowiada Prajs. „Moja sekcja uczestniczyła w początkowej fazie natarcia. Ja strzelałem z karabinu maszynowego”. Podczas starcia zginęło wielu żołnierzy, zarówno polskich, jak i niemieckich. Henryk Prajs, który w pewnym momencie musiał przejąć dowodzenie, został ranny w nogę. „Jeszcze zdążyłem dać rozkaz i straciłem przytomność. Ocknąłem się dopiero w punkcie sanitarnym”.

Po kilku godzinach walki pułk ruszył dalej – na południe. Prajs odniósł rany i został z niewielkim taborzem, który skierowano na wschód. „Wieziono mnie furmanką, miałem dostać się do szpitala. Ale była wojna, drogi poza-

mykane, więc nigdy do niego nie dotarłem”, mówi. Tabor został rozwiązany 18 września.

Prajs nie wiedział, co ze sobą zrobić. Nie był jednak w stanie iść do rodzinnej Góry Kalwarii. Zajęli się nim przypadkowo spotkani ludzie – rodzina Lickich, u której spędził kilka tygodni. Jego stan poprawił się w grudniu. Wówczas, wyposażony w zapas jedzenia, ruszył w rodzinne strony. Szedł przez wiele dni, omijając główne drogi. Prosił o wsparcie napotkanych ludzi, a ci, bezinteresownie, oferowali mu nocleg i wyżywienie. „My Polacy chyba już tak mamy, że jednoczymy się w nieszczęściu”, podkreśla Prajs.

ZNOWU W DOMU

Powrót szwoleżera sprawił wielką radość rodzinie, która myślała, że zginął na froncie. Szczęście nie trwało jednak długo. „Któregoś dnia przyjaciółka mojej mamy przysłała nas ostrzec, że w Górze Kalwarii zaczynają się łapan-ki, a Żydów wywożą do obozów. »Henryk, mówisz po polsku, nie wyglądasz jak Żyd, uciekaj, masz szansę!«, mówiła”, wspomina Prajs. W lutym 1941 roku, na prośbę matki, rozpoczął kolejną tułaczkę. Do Góry Kalwarii wrócił dopiero po wojnie.

„Gdybym miała określić tatę w trzech słowach, powiedziałabym, że to Polak, żołnierz i patriota”, mówi Małgorzata Prajs, córka porucznika. „Czas, kiedy był żołnierzem, wspomina jako najszcześniejszy w swoim życiu”, dodaje. Podobną opinię ma jej syn, Mateusz. „Dziadek cały czas kieruje się w życiu twardymi, żołnierskimi zasadami. Pobudka zawsze o siódmej rano, posiłki koniecznie o stałej porze. Jest przy tym bardzo punktualny. Kiedy umówi się z kimś na godzinę 12.00, gotowy jest już o 11.00. Żartujemy, że jeśli kiedyś trafi do nieba, to będzie tam nawet przed Bogiem”.

Sam Henryk Prajs mówi, że jest szczęśliwy. „Nie jestem żadnym profesorem, mam tylko średnie wykształcenie, a ludzie obdarzają mnie wielkim szacunkiem. Na niektóre uroczystości, na których bywam, są zapraszane setki osób, a na mnie zawsze czeka krzesło w pierwszym rzędzie. Na moje setne urodziny przyjechało wojsko z generałem na czele!”, mówi ze wzruszeniem. Z dumą pokazuje też list z życzeniami od premier Beaty Szydło, medal, który otrzymał od szefa Urzędu do Spraw Kombatantów, szablę od burmistrza Góry Kalwarii oraz trąbkę sygnałową od członków konnego ochotniczego oddziału kawalerii kultywującego tradycje 3 Pułku Szwoleżerów. „Miałem szczęśliwe życie, chociaż żyję tylko dzięki dobrym ludziom, których spotkałem na swojej drodze. Ale ja też zawsze starałem się być wobec nich w porządku. Szanowałem ich poglądy i unikałem kłótni. Bo najważniejsze w życiu, to dać się lubić”, mówi. ■

ANNA DĄBROWSKA

Lasek wołyński

**Polscy harcerze pielęgnują groby
legionistów Piłsudskiego.**

Wgruzy szły szanice, belkami zdruzgotanymi przywalając ludzi, druty przed prawym skrzydłem częściowo zniknęły, jedno stanowisko ciężkiego karabinu maszynowego było rozbite, karabin uszkodzony, luneta pogrzebana, połączenia drutowe wszystkie zerwane, ziemianki waliły się jak domki z kart. Przechodząc wzdłuż pozycji, widziałem moich ludzi pokaleczonych, wytarzanych w ziemi i bagnie”, opisywał Marian Kukiel, uczestnik bitwy pod Kostiuchnówką.

SŁUPY PAMIĘCI

Latem 1916 roku, kiedy armia carska ruszyła do ofensywy, front ciągnął się wzdłuż doliny rzeki Styr na Wołyniu. 4 lipca trzy brygady Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego dostały rozkaz utrzymania za wszelką cenę pozycji pod wsią Kostiuchnówka, położoną na jednej z dróg natarcia Rosjan. Dysproporcje sił były ogromne. W legionach walczyło 5,5 tys. strzelców i 800 ułanów, a po stronie rosyjskiej pod dowództwem gen. Aleksieja Brusilowa nacierało 13 tys. piechoty i 3 tys. kawalerii.

Mimo to Polakom udało się przez trzy dni odpierać rosyjskie ataki. Dopiero 6 lipca wydano rozkaz odwrotu za linię rzeki Stochód. Zadanie zostało jednak wykonane – ofensywę Rosjan opóźniono, nie dopuszczono do przerwania frontu, a wojska austro-węgierskie uniknęły okrążenia. Był to najkrwawszy bój legionowy – zginęło, zostało rannych i zaginęło około 2 tys. naszych żołnierzy.

Walki z udziałem Polaków trwały na terenie Wołynia już od jesieni 1915 roku. Na początku listopada otrzymali oni rozkaz zdobycia wzgórza położonego na południe od Kostiuchnówki. Świtem 5 listopada ruszyli do natarcia, w którym zginęło ponad 60 żołnierzy, a stu zostało rannych. Wzgórze, nazwane potem Polską Górą, zdobyto dopiero pięć dni później dzięki wsparciu austriackich wojsk. Zimą front na Wołyniu zamarł, żołnierze zbudowali polo-

we osiedla, a w Polskim Lasku założyli legionowy cmentarz wojenny.

W trakcie ofensywy w lipcu 1916 roku cmentarz został zniszczony przez ostrzał artyleryjski. Nekropolię jednak odbudowano w latach dwudziestych i pochowano tam kolejnych poległych pod Kostiuchnówką Polaków. Ponadto około 300 m dalej powstała Bracka Mogiła, w której, według ewidencji z lat dwudziestych XX wieku, spoczęło 42 nieznanymi legionistów. W sumie w czasach II Rzeczypospolitej na Wołyniu założono osiem cmentarzy legionowych: w Koszyszczach, Kołkach, Maniewiczach, Kostiuchnówce, Wołczeczku, Kowlu, Włodzimierzu Wołyńskim i Łucku. Wszystkie były świetnie utrzymane.

W dziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości odbył się marsz z Kowla do Kostiuchnówki, postanowiono też usypać pod Polską Górą 25-metrowy Kopiec Chwały Legionów. Prace ruszyły w 1933 roku i do wybuchu wojny zbudowano 14 m kopca. Po śmierci Piłsudskiego powstał pomysł postawienia bazaltowych słupów pamięci w miejscach, gdzie w czasie wojny przebywał Marszałek. W 1938 roku ustawiono je w Nowej Rarańczy, Nowym Jastkowie, Wołczeczku i dwa pod Kostiuchnówką.

HARCERSKA AKCJA

Po II wojnie światowej, kiedy Wołyn znalazł się w Związku Sowieckim, cmentarze legionowe niszczyły i były dewastowane. Na początku lat dziewięćdziesiątych

ZBIGNIEW KĘPA / ORDYNARIAT POŁOWY WOJSKA POLSKIEGO





**NEKROPOLIA
W KOSTIUCHNÓWCE
jest najbardziej
zadbany polskim
cmentarzem
legionowym
na Wołyniu.**

ubiegłego wieku, gdy Ukraina odzyskała niepodległość, do rąk nieżyjącego już Władysława Barańskiego, nauczyciela ze Zgierza, trafił list ze szkoły w Kostiuchnówce. Jej dyrektor napisał, że w pobliżu jego miejscowości znajdują się zrujnowane groby Polaków. Barański poinformował o tym harcerzy z Hufca ZHP Zgierz.

W 1998 roku harcerze zorganizowali w Kostiuchnówce pierwszy obóz wakacyjny i rozpoczęli odbudowę polskiego cmentarza. Od tego czasu prace rekonstrukcyjne prowadzone są na Wołyniu co roku. Pomagają w nich harcerze z całej Polski, z hufca Wołyni, ukraińska Polonia oraz uczniowie szkół z obu stron Bugu.

Na Polskim Cmentarzu Wojennym w Kostiuchnówce uporządkowano groby i ogrodzono nekropolię bazaltowym murkiem. Odbudowano zniszczoną po II wojnie Bracką Mogiłę. W 2005 roku w pobliżu wejścia do cmentarza ustawiono pomnik nieznanego legionisty 4 Pułku Piechoty, przewieziony z okolic nieistniejącej wsi Podryże, a ekshumowane spod głazu szczątki żołnierza złożono na cmentarzu.

Obecnie nekropolia w Kostiuchnówce jest najbardziej zadbany polskim cmentarzem legionowym na Wołyniu. Spoczywają tutaj głównie żołnierze II Brygady, która obsadzała ten odcinek frontu. Według ewidencji z lat dwudziestych XX wieku, pochowano w tym miejscu 55 polskich żołnierzy. W kolejnych latach zwożono następnych, ekshumowanych z okolicy. W 2008 roku teren powiększo-

no o nowe groby, w których spoczęli legionieści przeniesieni ze zniszczonych mogił na Wołyniu, m.in. z miejscowości Kołki. Według szacunków, w nekropoli pochowano ponad sto osób.

Harcerze odbudowali także inne cmentarze legionowe w tym rejonie, m.in. w: Czersku, Jeziornie, Karasinie, Koszyszcach, Kowlu, Maniewiczach i Wołczecku. Odnowiono także słupy pamięci w rejonie Kostiuchnówki.

SALWA HONOROWA

Od 2000 roku harcerze ze Zgierza organizują sztafetę rowerową, która przewozi Ogień Niepodległości z cmentarza w Kostiuchnówce do Polski na obchody święta 11 listopada. Płomień lampy jest zapalany od zniczy na grobach legionistów, wieziony 700 km i składany na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza. Sztafeta nawiązuje do tradycji międzywojennej, kiedy młodzi ludzie biegli do Kostiuchnówki z krakowskich Oleandrów, miejsca wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej. Na cmentarzu legionowym w Polskim Lasku zapalali ogień i nieśli go do Krakowa. We wsi istnieje też Centrum Dialogu Kostiuchnówka. Budynek powstał w 1936 roku dzięki wsparciu legionistów Piłsudskiego. Mieściły się tutaj szkoła i schronisko turystyczne. Po 1945 roku gmach służył ukraińskim dzieciom. Zdewastowany obiekt w 2009 roku wyremontowano, m.in. dzięki pomocy polskiego Senatu. Zorganizowano tam salę tradycji, upamiętniającą wydarzenia z okresu I wojny i historię Legionów Polskich oraz prezentującą eksponaty odnajdywane podczas prac porządkowych na cmentarzach i pobojuwiskach legionowych.

20 sierpnia 2016 roku, w 100. rocznicę bitwy, na Polskim Cmentarzu Wojennym mszę świętą połową odprawił biskup połowy Wojska Polskiego gen. bryg. Józef Guzdek. W uroczystości uczestniczyli potomkowie legionistów, władze państwowe i samorządowe, harcerze i kombatanCI. Po raz pierwszy od okresu międzywojennego obchodom towarzyszyła asysta polskiego wojska. Salwę honorową oddali żołnierze Kompanii Reprezentacyjnej Wojska Polskiego, zagrała Orkiestra Wojskowa z Lublina.

„W stulecie bitwy pragniemy z dumą pamiętać, że wolności Polakom nikt nie podarował. Że upomnieliśmy się o nią zbrojnie i że to wielkie dobro okupiono zostało równie wielką ofiarą polskiej krwi”, napisał prezydent Andrzej Duda w liście do uczestników obchodów. Zwierzchnik sił zbrojnych podkreślił, że Legiony stały się zaczątkiem silnej polskiej armii, która później ustanowiła granice naszego państwa i obroniła suwerenność Rzeczypospolitej. „Zmagania pod Kostiuchnówką należą do największych, najchlubniejszych bitew stoczonych przez Legiony Polskie w latach I wojny światowej”, podkreślił. ■

**Panu płk. Jarosławowi Żybura
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

najszczerze wyrazy współczucia, wsparcia
i otuchy w trudnych chwilach z powodu śmierci

Ojca

składają szef, koledzy oficerowie oraz
pracownicy wojska Rejonowego Zarządu
Infrastruktury w Lublinie.

Panu ppłk. Januszowi Nakonecznemu

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają szef, żołnierze i pracownicy
Zarządu Planowania Użycia Sił Zbrojnych – P3/P7
Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

**Panu ppłk. Mariuszowi Szwyngłowi
i Jego Rodzinie**

słowa otuchy i wyrazy szczerego żalu
oraz głębokiego współczucia z powodu śmierci

Mamy

składają żołnierze i pracownicy wojska
Zarządu Obrony przed Bronią Masowego
Rażenia Inspektoratu Rodzajów Wojsk
Dowództwa Generalnego RSZ.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
długoletniego pracownika
Wojskowego Instytutu Higieny i Epidemiologii
w Warszawie

śp. dr. Jana Lacha.

Wyrazy najszczerzego współczucia

Rodzinie i Najbliższym

składają kadra i pracownicy Departamentu
Wojskowej Służby Zdrowia.

„Nie umiera, kto pozostaje w sercach bliskich”.

Panu płk. dr. inż. Mariuszowi Stopie,
szefowi Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
w Rzeszowie,

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Taty

składają kadra i pracownicy Wojewódzkiego
Sztabu Wojskowego w Rzeszowie oraz
podległych wojskowych komend uzupełnień.

„Nie umiera ten,
kto pozostaje w sercu i pamięci bliskich”.

**Ppłk. rez. Cezaremu Malessie,
Jego Rodzinie i Bliskim**

szczerze wyrazy współczucia i kondolencji
z powodu śmierci

Mamy

składają kadra zawodowa oraz pracownicy
resortu obrony narodowej Zarządu Wojsk
Rakietowych i Artylerii Inspektoratu
Wojsk Lądowych Dowództwa Generalnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

**Pani Grażynie Borzewskiej
oraz Jej Mamie**

wyrazy współczucia i żalu oraz słowa wsparcia
i otuchy z powodu śmierci

Ojca i Męża

składa dyrektor Departamentu Strategii
i Planowania Obronnego MON
wraz z kadrami i pracownikami wojska.

**Panu kpt. Ireneuszowi Janczewskiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
Dowództwa 11 Dywizji Kawalerii Pancernej.

**Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227**

Z głębokim żalem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci
plk. rez. Wiesława Kaczmareckiego,
byłego szefa Oddziału Kontroli Rozbrojenia.
Wyrazy szczerego współczucia i żalu
Rodzinie oraz Najbliższym
składają koleżanki i koledzy z Departamentu
Wojskowych Spraw Zagranicznych.

Panu ppłk. Arturowi Wiatrowskiemu
wyrazy współczucia oraz najszczerze
kondolencje z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
Dowództwa 6 Brygady Powietrznodesantowej.

„Nie umiera ten,
kto trwa w sercach i pamięci naszej”.

Z nieskrywanym smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci
st. chor. sztab. Roberta Gołębiowskiego,
żołnierza Oddziału Żandarmerii Wojskowej
w Żaganiu. W obliczu tej niepowetowanej straty
łączymy się w bólu
z Rodziną i Najbliższymi.
Komendant główny, żołnierze i pracownicy
wojska Żandarmerii Wojskowej

Panu kpt. Karolowi Piotrowskiemu
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Mamy
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Batalionu Ochrony Bazy w Redzikowie.

Komendantowi głównemu Żandarmerii
Wojskowej w Warszawie oraz komendantowi
Oddziału Żandarmerii Wojskowej w Żaganiu
serdeczne podziękowania za uroczystą oprawę
ceremonii pogrzebowej
ś. p. st. chor. sztab. Roberta Gołębiowskiego
składa pogrążona w żałobie żona z synem.

Dnia 23 stycznia 2017 roku zmarł
Zygmunt Kowalewski,
ojciec szefa Oddziału Gotowości Bojowej
i Reagowania Kryzysowego.
Kondolencje składają koleżanki i koledzy
z COM – Dkm.

Panu mjr. Krzysztofowi Wadze
wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci
Ojca
składają dyrektor, kadra zawodowa i pracownicy
20 Rejonowego Przedstawicielstwa Wojskowego
we Wrocławiu.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje
Panu płk. Jackowi Wera,
dowódcy 11 Mazurskiego Pułku Artylerii,
z powodu śmierci
Matki
składają żołnierze i pracownicy
11 Mazurskiego Pułku Artylerii.

Panu płk. Arturowi Wiatrowskiemu
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
w trudnych chwilach słowa wsparcia oraz wyrazy
głębokiego współczucia z powodu śmierci
Ojca
składają żołnierze i pracownicy 16 Batalionu
Powietrznodesantowego z Krakowa.

Pani lek. Małgorzacie Dyczek
szczerze wyrazy głębokiego żalu i szczerego
współczucia z powodu śmierci
Męża
składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego
z Polikliniką w Krakowie.

Pani Dorocie Wiechczyńskiej

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają komendant, kadra zawodowa
i pracownicy

5 Wojskowego Szpitala Klinicznego
z Polikliniką w Krakowie.

Naszej Drogiej Koleżance

mjr Karolinie Suchanek-Frąckowiak

wyrazy głębokiego współczucia oraz szczerę
kondolencję z powodu śmierci

Mamy

składają koleżdy i koleżanki
z Inspektoratu MON do spraw Bezpieczeństwa
Lotów w Poznaniu.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerę kondolencję

Rodzinie**śp. płk. Andrzeja Kreczko**

składają żołnierze i pracownicy
Szefostwa Dowodzenia i Łączności Inspektoratu
Uzbrojenia.

Dowódcy 24 Batalionu Obrony Terytorialnej
w Rzeszowie

Panu ppłk. Witoldowi Bubakowi

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
3 Podkarpackiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Wyrazy głębokiego współczucia

Pani Henryce Kowalewskiej

z powodu śmierci

Mamy

i najszczerze kondolencję składają
komendant, żołnierze i pracownicy resortu
obrony narodowej

44 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Krośnie Odrzańskim.

Panu ppłk. Januszowi Parczewskiemu**oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego żalu i szczerę kondolencję
z powodu śmierci

Teścia

składają kierownictwo, kadra i pracownicy
Departamentu Ochrony Informacji Niejawnych
Ministerstwa Obrony Narodowej.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia

Panu st. chor. sztab. Markowi Świderskiemu

z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
Jednostki Wojskowej 2031 w Lipowcu.

Panu ppłk. Arturowi Danielskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i szczerę
kondolencję z powodu śmierci

Teścia

składają dowódca, kadra zawodowa
oraz pracownicy wojska
5 Lubuskiego Pułku Artylerii w Sulechowie.

Panu ppłk. Arturowi Danielskiemu**oraz Jego Bliskim**

wyrazy współczucia i szczerę
kondolencję z powodu śmierci

Teścia

składają dowódca i żołnierze
1 Dywizjonu Artylerii Samobieżnej
5 Lubuskiego Pułku Artylerii w Sulechowie.

Panu bosmanowi Rafałowi Kajzlerowi**oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerę kondolencję z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
8 Dywizjonu Przeciwlotniczego z Dziwnowa.

**Panu ppłk. Arturowi Danielskiemu
oraz Pani Jolancie Danielskiej**

wyrazy szczerego żalu, głębokiego współczucia
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Teścia i Ojca

składa dowódca, żołnierze oraz pracownicy
5 Lubuskiego Pułku Artylerii.

Panu mł. chor. Adamowi Kacprzakowi

najszczerze kondolencje
oraz wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki Ewy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy resortu
obrony narodowej JW 5351.

Panu ppłk. Lechosławowi Wolińskiemu,
zastępcy komendanta 24 WOG,

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy 24 Wojskowego
Oddziału Gospodarczego w Giżycku.

Płk. Robertowi Cepko

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Matki

składają koleżanki i koledzy
z Departamentu Polityki Bezpieczeństwa
Międzynarodowego MON.

Zastępcy komendanta 24 Wojskowego Oddziału
Gospodarczego w Giżycku

**Panu ppłk. Lechosławowi Wolińskiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają komendant oraz kadra i pracownicy
resortu obrony narodowej
2 Regionalnej Bazy Logistycznej w Warszawie.

„Nie umiera ten,
kto pozostaje w sercu i pamięci bliskich”.

**Sz. Pani Jadwidze Margusz,
Jej Rodzinie i Bliskim**

szczerze wyrazy współczucia i kondolencje
z powodu tragicznej śmierci

Brata

składają kadra zawodowa i pracownicy resortu
obrony narodowej Dowództwa Generalnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.



Pamiętamy

plut. Piotr Mikułowski

4 marca 2003 r., Amber Fox Macedonia

sierż. Paweł Ordyński

20 marca 2013 r., PKW Afganistan

sierż. Paweł Legencki

4 marca 2003 r., Amber Fox Macedonia

por. Ryszard Bojsza

23 marca 1976 r., UNEF II Egipt

st. chor. Wiesław Caban

10 marca 1992 r., UNDOF Syria

st. chor. Jan Bednarz

23 marca 1976 r., UNEF II Egipt

szer. Józef Twardy

3 marca 1978 r., UNEF II Egipt

st. chor. Robert Frąszczak

10 marca 2003 r., KFOR Kosowo

st. chor. sztab. Zdzisław Wyrebiak

27 marca 1993 r., UNTAC Kambodża

Panu por. Robertowi Mudrakowi

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca Marka

składają dowódca, dowództwo, kadra
i pracownicy resortu obrony narodowej
22 Ośrodka Dowodzenia i Naprowadzania
w Bydgoszczy.

Panu mł. chor. Andrzejowi Rywce

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego
żalu z powodu śmierci

Ojca Jana

składają dowódca, dowództwo,
kadra i pracownicy resortu obrony narodowej
22 Ośrodka Dowodzenia i Naprowadzania
w Bydgoszczy.

**Panu mł. chor. Jarosławowi Gierczakowi
oraz Pani Marzenie Dzieciółowskiej**

wyrazy głębokiego żalu i szczerzego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają żołnierze oraz pracownicy wojska
7 Brygady Obrony Wybrzeża
Słupsk–Łębork–Trzebiatów.

Łącząc się w żałobie i smutku po śmierci

Ojca i Teścia,

koledzy z CWFIS z Centrum Szkolenia
Łączności i Informatyki w Zegrzu
składają

Państwu Agacie i Robertowi Purzyckim

kondolencje i wyrazy szczerzego współczucia.

Pani Marzenie Wirkus**i Jej Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy
34 Chojnickiego Batalionu Radiotechnicznego.

Pani Marzenie Dzieciółowskiej

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Taty

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Batalionu Ochrony Bazy w Redzikowie.

Naszemu Drogiemu Koledze

Stanisławowi Szewcowi

wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje z powodu śmierci

Mamy

składają koledzy i koleżanki
z Inspektoratu MON do spraw Bezpieczeństwa
Lotów w Poznaniu.

Panu st.chor. Arkadiuszowi Kowalcowi

wyrazy głębokiego i szczerzego współczucia z powodu
śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy
z 1 Batalionu Strzelców Podhalańskich w Rzeszowie.

Panu mjr. Arturowi Wróblakowi

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca Jana

składają dowódca, dowództwo, kadra i pracownicy
resortu obrony narodowej
22 Ośrodka Dowodzenia i Naprowadzania
w Bydgoszczy.

Panu ppłk. Sebastianowi Leszczyńskiemu

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Matki

składają kadra i pracownicy resortu obrony narodowej
Wydziału Dydaktycznego CSŁiI w Zegrzu.

Panu plut. Sławomirowi Sulimie

wyrazy głębokiego żalu i szczerzego współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają komendant, żołnierze
oraz pracownicy wojska
Centralnego Poligonu Sił Powietrznych w Ustce.

Panu ppłk. Tomaszowi Cieślakowi,

wojskowemu komendantowi uzupełnień w Pile,
wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje z powodu śmierci

Ojca

składają kadra i pracownicy
Wojskowej Komendy Uzupełnień w Pile.

KSIAŻKA

Awiator znaczy poświęcenie



Początki polskiej awiacji nie były łatwe. Problemy dotyczyły nie tylko braku sprzętu, lecz także pilotów. Trzeba bowiem pamiętać, że dopiero odradzała się polska państwowość. Kadre powstającego lotnictwa stanowili zatem Polacy słu-

żący w armiach państw europejskich w listopadzie 1918 roku. Powieść Jarosława Sokoła „Awiatorzy. Opowieść

o polskich lotnikach” to porywająca i wciągająca historia narodzin skrzydlatej Polski. Barwne przygody pięciu awiatorów – Polaków służących w eskadrach Niemiec, Austro-Węgier, Rosji i USA spletają się w jedną historię z walką o polską niepodległość. Pełna napięcia akcja miesza się z żywymi dramatami głównych postaci, co sprawia, że książkę tę czyta się jednym tchem. ■

JAKUB NAWROCKI

Jarosław Sokół, „Awiatorzy. Opowieść o polskich lotnikach”, Zwierciadło, 2016

KSIAŻKA

Wyznania pasażerki

Zofia Posmysz o strategii przetrwania w obozowej rzeczywistości.

Czym jest Auschwitz? Innym światem? Wymagowanym królestwem? Fabryką śmierci? Ona początkowo cieszyła się, że trafi do tego obozu. Bo czyż może być coś gorszego niż przesłuchania gestapo? Jeszcze kiedy zobaczyła na bramie napis „Arbeit macht frei”, była pełna nadziei. Przecież wie, co to ciężka praca. Poradzi sobie. Dzięki temu pozytywnemu myśleniu, umiejętności koncentracji na konkretnym zadaniu i wsparciu wyjątkowych ludzi przetrwała katorżniczą pracę, eksperymenty medyczne, tyfus, głód i upodlenie. Szybko bowiem zrozumiała, że to miejsce to „ciąg upokorzeń i zniewag”, które zostawiają piętno na całym życiu. Niewiele osób stamtąd wyszło, jeszcze mniej potrafiło później żyć. Jej się udało. I chociaż do dziś nie może słuchać melodii Straussa, bo przypominają jej obóz, nie unika wspomnień z tam-

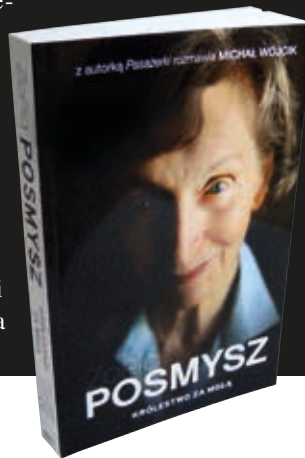
tych dni. Przerobiła tę traumę. Twierdzi, że dzięki literaturze. Zofia Posmysz jest bowiem autorką wielu książek o tematyce obozowej, a jej „Wakacje nad Adriatykiem” przyniosły zmianę perspektywy, z jakiej pokazywano obozową rzeczywistość. Najbardziej znana jest jednak z „Pasażerki” – słuchowiska, filmu i opery.

Michał Wójcik, historyk i dziennikarz, autor m.in. „Ptaków drapieżnych”, namówił ją na cykl rozmów. Zofia Posmysz jest osobą niezwykle aktywną, więc niechętnie przystała na spotkania, bo trudno było znaleźć w wypełnionym kalendarzu nawet kilka minut w tygodniu. I ten pośpiech czuje się na początku książki „Królestwo za

mgłą”, która jest zapisem rozmowy. Stopniowo, strona po stronie, buduje się pewien rodzaj więzi między rozmówcami, pojawia się coraz więcej refleksji, zaufania. Widać, że kobieta znalazła partnera do dyskusji, który potrafi słuchać, ale też sprowokować do zwierzeń. Dzięki tej więzi poznajemy obraz obozu naturalistyczny, ale i metafizyczny. Zofia Posmysz opowiada o swoich doświadczeniach, a także dwóch przyjaciółkach, którym nie udało się wygrać z obozową rzeczywistością. Zdradza swoją strategię przetrwania, ale zastrzega, że ona nie zawsze się sprawdza. Co więcej, pisarka nie narzuca innym swojego punktu widzenia, nie weryfikuje relacji świadków, nikogo nie ocenia. Często powtarza: „Ja tak to zapamiętałam”. Formuła tej książki przypomina „Cesałam ciepłe króliki”, w której Alicja Gawlikowska-Świerczyńska opowiada o przetrwaniu w Ravensbrück. Jakże są jednak inne. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Zofia Posmysz, „Królestwo za mgłą”, Znak, 2017



Główni bohaterowie filmu: „Wiktor” (Marcin Kwaśny) i „Lolo” (Wojciech Niemczyk)

FILM

WSPÓŁCZESNY BANITA

„Wykłęty” to film o wielkiej samotności w obliczu rozpadu świata.

Zołnierze, którzy po zakończeniu wojny zdecydowali się kontynuować walkę przeciw sowieckiej opresji, w świadomości społecznej funkcjonują przede wszystkim jako niezłomni i wykłęci. Te dwa dookreślenia, co warto sobie uświadomić, są bardzo odległe znaczeniowo. Pierwsze, nacechowane pozytywnie, oznacza tego, kto się nie poddaje i jest wierny swoim przekonaniom. Drugie, tego, który jest wyjęty poza nawias, nieakceptowany, niespełniający powszechnych norm i oczekiwań. Można to uznać za paradoks, ale tylko pozorny. Wpisuje się on zresztą w tradycję każdej niemal kultury na świecie. Na nim opierają się legendy o banitach i bohaterach narodowych, którzy, aby zasłużyć na własny mit, muszą podjąć walkę z silniejszym i bezwzględnym wrogiem w imię sprawiedliwości.

Wszyscy znamy naszą powojenną historię i jest ona jeszcze zbyt świeża, zbyt prawdziwa, by zatracić równowagę między rzeczywistością i legendą. Łatwo jednak pójść tą drogą i poddać historię popkulturowej obróbce, tworząc kolejnych herosów oderwanych od rzeczywistości. Film

„Wykłęty” Konrada Łęckiego trzyma się jednak tej rzeczywistości bardzo mocno. Nie jest też dziełem o heroicznej walce, lecz o wielkiej samotności. I tu można dostrzec kolejny paradoks. Samotność jest w końcu

„LOLO” TO BOHATER ZBIOROWY ZAMKNIĘTY W JEDNOSTCE SILNIE ZINDYWIDUALIZOWANEJ

stanem emocjonalnym, który przeżywa się indywidualnie. W filmie Łęckiego jest nią dotknięta jednak nie tylko jednostka, lecz cała grupa.

Franciszek Józefczyk „Lolo” to bohater zbiorowy, zamknięty w silnie zindywidualizowanej jednostce. Inspiracją do tej postaci były przede wszystkim losy Józefa Franczaka „Lalka”, ale też Łukasza Cieplińskiego „Pługa” czy Zdzisława Brońskiego „Uskoka”. Podobnie dowódca oddziału „Wiktor”, który ma wiele cech Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. Nie to jest jednak najważniejsze. Droga, którą podąża „Lolo”, jest

bowiem charakterystyczna nie dla kilku, lecz dla tysięcy żołnierzy, którzy zdecydowali się kontynuować walkę po II wojnie światowej. Po ujawnieniu się Józefczyk trafia do więzienia, gdzie jest poddawany torturom. W czasie jednej z akcji partyzanci odbijają go i w ten sposób znajduje się w oddziale „Wiktora”. Gdy „Wiktor” nakazuje żołnierzom się rozproszyć, dla „Lola” zaczyna się samotna walka już nie o wolność narodu, lecz o przetrwanie jednostki.

Bohaterowie Łęckiego są z góry skazani na porażkę. To nie jest dla widza niespodzianka, wszyscy wiemy, że oni nie mają możliwości wyboru. Ich świat się już skończył. Jeden z nich po ogłoszonej przez władze amnestii mówi, że chętnie przerwałby walkę, ale nie ma dokąd wrócić. „Lolo” w więzieniu stracił wszelkie złudzenia i nie ma już takich dylematów. Jest przekonany, że skorzystanie z prawa amnestii równa się ponownemu zejściu do piekła. W jednej ze scen w filmie „Lolo” przez lornetkę podgląda swoją rodzinę. Chociaż została ona zaczerpnięta z rzeczywistej biografii „Lalka”, w obrazie Łęckiego staje

Jeremy Clarkson, „Świat według Clarksona. Tak jak mówiłem...”, Insignis, 2016

się symbolem rozłamu, jaki dokonuje się między leśną rzeczywistością wyklętych a prawdziwym światem.

Konrad Łęcki z dużą rozważą wybierał obsadę „Wyklętego”. Główne role grają aktorzy doświadczeni, ale mało znani szerokiej publiczności, tacy jak Wojciech Niemczyk, Robert Wrzosek czy Hanna Świętnicka. W epizodach pojawiają się już jednak sławne nazwiska, między innymi Olgierd Łukaszewicz, Leszek Teleszyński, Marek Siudym, Janusz Chabior i Ignacy Gogolewski. Niewątpliwymi atutami filmu są przepiękne, surowe plenery ziemi świętokrzyskiej i sugestywna muzyka Szymona Szewczyka. Na uwagę zasługuje też niezwykle determinacja twórców, dążących do tego, aby film powstał. Zdjęcia rozpoczęły się w marcu 2014 roku, a zakończyły w maju 2016. Produkcją zajęła się Fundacja Między Słowami, założona przez Marcina Kwaśnego.

Konrad Łęcki przyznaje, że ważny był dla niego wielowymiarowy charakter bohaterów. Nie chciał tworzyć postaci „z brązu”. „Starłem się nie oceniać decyzji bohaterów, aby w sposób jak najbardziej bezpośredni pokazać tragizm ich losów, a także poczucie totalnej izolacji i osamotnienia w sytuacji, w której się znaleźli”, tłumaczy. Jest jednak w filmie Łęckiego druga grupa postaci, jednoznacznie negatywnych, przez co wypada ona trochę komiksowo – czyli funkcjonariuszy nowej władzy. To również bohater zbiorowy, ale zupełnie pozbawiony cech indywidualnych. Kwintesencja wulgarności, brutalizmu i głupoty. Zło pozostaje złem i zawsze jest takie samo. Dobro zaś nie podlega prostej kategoryzacji. ■

JOANNA ROCHOWICZ

„Wyklęty”, scenariusz i reżyseria Konrad Łęcki, w rolach głównych: Wojciech Niemczyk, Marcin Kwaśny, Robert Wrzosek, premiera 10 marca.

KSIĄŻKA

Kąśliwe przemyslenia

Czy za 100 tys. funtów można sprzedać urządzenie do szukania zagubionych piłeczek golfowych o wartości 13 funtów? Oczywiście tak, jeśli jest się „geniuszem zła”, który nazywa się James McCormick. O pomysły brytyjskiego biznesmena, który zarabiał m.in. na urządzeniach udających wykrywacze materiałów wybuchowych, a także o tym, dlaczego brytyjska flaga jest piękniejsza ze wszystkich flag na świecie, opowiada w kolejnej części swoich wspomnień Jeremy Clarkson. Najbardziej znany dziennikarz motoryzacyjny na świecie zebrał kil-



kadziesiąt swoich przemysleń na temat otaczającego świata i podał je w charakterystycznym kąśliwym stylu. „Świat według Clarksona. Tak jak mówiłem...” to zlepek różnych zasłyszanych przez dziennikarza opowieści, jak również opisów jego przygód z lat 2013–2015. To już szósta publikacja tego autora, która – jak wszystkie poprzednie – pełna jest typowego wyspiarskiego humoru. Jest to zatem książka dla fanów „Latającego cyrku Monty Pythona” czy serialu „Allo, allo”. I choć czytelnik może odnieść wrażenie, że tym razem nie trafił na najciekawszy „zestaw” wspomnień, niepowtarzalny styl Clarksona gwarantuje dobrą zabawę. ■

NATALIA EKIERT



KSIĄŻKA

Od przeszłości nie uciekniesz

W ciemnym, mrocznym lesie był sobie mroczny, szklany dom... To w nim Nora Shaw, autorka powieści kryminalnych, spędza najgorszy weekend swojego życia. Nie wiadomo, dlaczego przyjmuje zaproszenie na wieczór panieński przyjaciółki, z którą kontakt urwał się jej 10 lat temu w tajemniczych okolicznościach. Od samego początku wie jednak, że to kiepski pomysł. Nie dość, że miejsce spotkania jest dość przerażające, towarzystwo dziwne, to jeszcze wracają demony przeszłości. Gdy dodamy do tego wiszącą nad kominkiem strzelbę (oczywiście nawiązanie do Czechowa), możemy się domyślić, że bę-

dzie dramatycznie i emocjonująco. Debiutancka powieść Ruth Ware „W ciemnym mrocznym lesie” wciąga, choć może nie aż tak, jak można by się spodziewać po opisie na okładce, porównującym książkę do najlepszych thrillerów psychologicznych ostatnich lat. Swoją drogą takie rekomendacje mnie nie przekonują. Moim zdaniem dobra literatura broni się sama i nie potrzebuje porównań. Niemniej jednak wielbicielom gatunku i tym, którzy szukają lektury na zimowe wieczory, polecam. ■

MARTA SACHAJKO

Ruth Ware, „W ciemnym mrocznym lesie”, Prószyński i S-ka, 2017



ANDRZEJ
FĄFARA

Dla pokrzepienia serc



Bohun usieczon! – darli się wniebogłosy roznosiciele gazet zimą 1884 roku na ulicach Warszawy. Ale darli się dopiero wtedy, gdy sami przeczytali kolejny odcinek „Ogniem i mieczem” w dzienniku „Słowo”. Nie mogli się od tego powstrzymać. Blisko wiosny było już wiadomo, że Bohun jednak nie usieczon, lecz puszczonej wolno dzięki wielkiej łaskawości imć pana Skrzetuskiego. 1 marca tegoż roku „Słowo” zakończyło publikowanie powieści Henryka Sienkiewicza. Niewiele później ostateczne losy bohaterów pierwszej części „Trylogii” poznali czytelnicy krakowskiej gazety „Czas”.

Warszawa znajdowała się pod zaborem rosyjskim, a Kraków – austriackim. Wielkopoleanie natomiast, żyjący pod rządami Prusaków, zostali pozbawieni bieżących informacji na temat usieczonienia, a potem puszczenia wolno Bohuna. Mogli ewentualnie liczyć na listy od rodziny z centralnej Polski albo z Galicji. Ale już wkrótce powieść Sienkiewicza ukazała się w jednym kawałku, a nie w odcinkach. I wtedy autor oraz bohaterowie książki zyskali niewyobrażalną popularność na ziemiach wszystkich trzech zaborów.

Sienkiewicz miał w tym momencie niespełna 38 lat, był więc, jak na pisarza, człowiekiem młodym. Zdążył wcześniej napisać sporo nowel, m.in. „Latarnika” i „Janka Muzykanta”, a także opowiadanie historyczne „Niewola tatarska”, zjechał dokumentnie przez czołowego wówczas krytyka literackiego Stanisława Brzozowskiego. Niezrażony tym pisarz postanowił mimo wszystko wyruszyć ze swoimi bohaterami na Dzikie Pola.

Działo się to 20 lat po upadku powstania styczniowego. Podtekst „Trylogii” był więc oczywisty: należało podnieść naród na duchu. Pokazać, jacy byliśmy wspaniali i niewyciężeni ponad dwa wieki wcześniej. Sienkiewicz określił ten swój zamysł dopiero w końcowych wersach trzeciej części „Trylogii”: „Na tym kończy się ten szereg książek pisanych w ciągu kilku lat i w nie-małym trudzie – dla pokrzepienia serc”.

Bohaterska śmierć Podbięty! – to kolejny okrzyk roznosicieli gazet, odnotowany przez kronikarzy w dniu opublikowania kolejnego odcinka „Ogniem i mieczem” w warszawskim „Słowie”. Większość czytelników była święcie przekonana, że pocziwy i dzielny pan Longinus herbu Zerwikaptur istniał naprawdę i że zginął tak, jak to opisał Sienkiewicz, czyli próbując przedostać się z oblężonego Zbaraża do obozu króla Jana Kazimierza. Owo przekonanie było tak silne, że gdy w tymże Zbarażu władze chciały oddać pod budowę jakiś plac przykościelny, mieszkańcy zaprotestowali, twierdząc, że spoczywają tam szczątki pana Podbięty.

Nigdy wcześniej i nigdy później literatura w Polsce nie miała takiej mocy. Henryk Sienkiewicz doświadczył tego nie tylko w formie hołdów, zachwytów i uwielbień. Po ukazaniu się trzeciego tomu „Trylogii” otrzymał także potężną kwotę w rublach. Darczyńca podpisał się: Michał Wołodajowski.



XIII Międzynarodowa Konferencja i Wystawa

Nowoczesne technologie



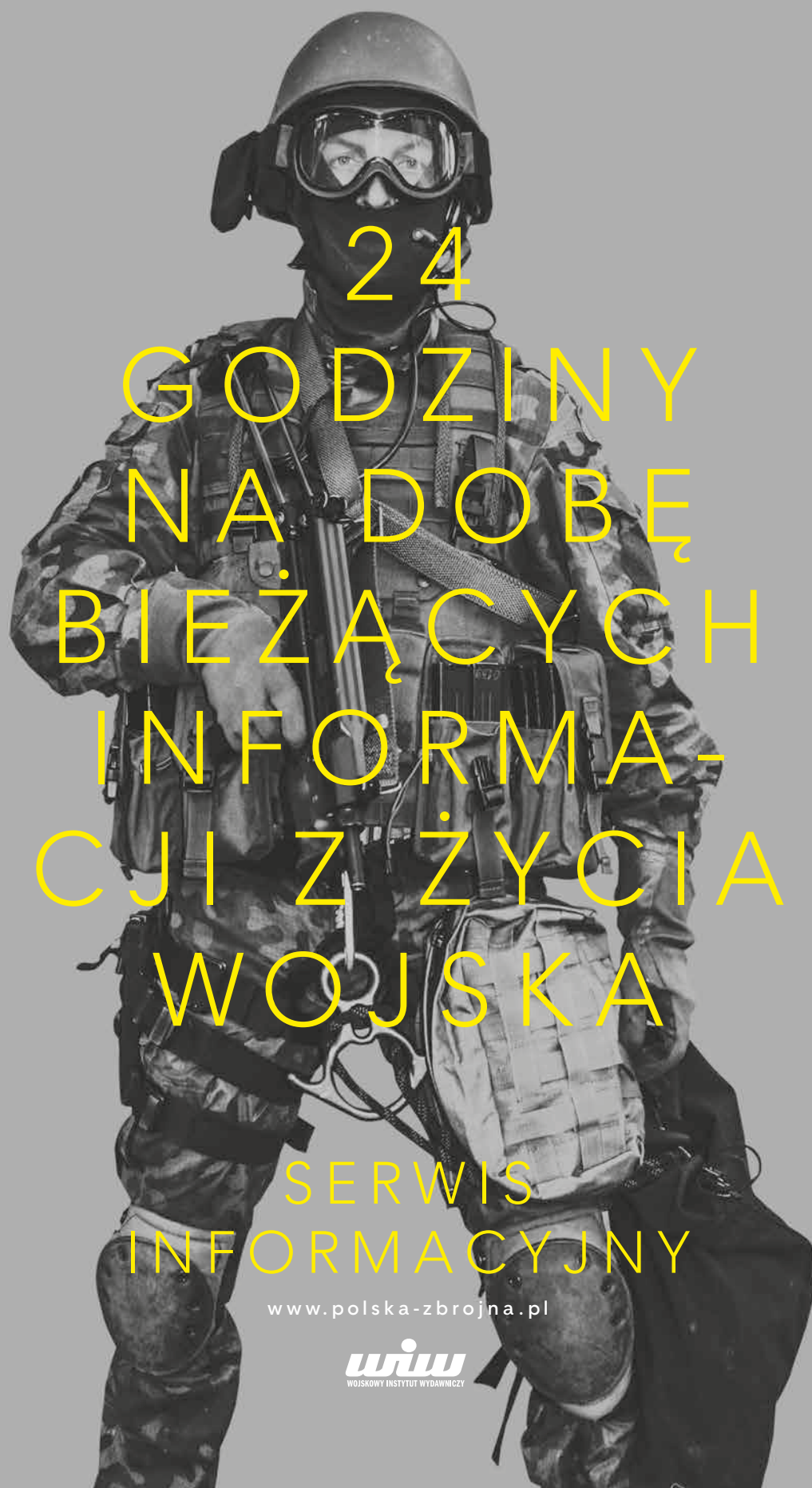
dla bezpieczeństwa kraju i jego granic

FOOTSTEP
PULL OUT

11.05.2017

www.nowoczesnetechnologie.ztw.pl

POLSKA-ZBROJNA.PL



24
GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY